

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA

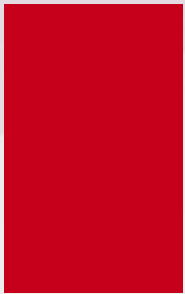


FOT. SEAWOMIR KAMIŃSKI

RAPORT
Wszystkie
pieniądze
o. Rydzka
► 8



**WYSOKIE
OBCASY**
**Pierwsza
transkobieta**
z szansą na Oscara



GAZETA

wyborcza

wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI



Sprawdź swój kredyt

Może jak tysiące Polaków masz szansę na darmowy ► 4

FOT. GETTY IMAGES

Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 3448198



Nowy Solorz
nadchodzi?
**Czwórka, która
chce kupić TVN** ► 13

FOT. KINO ŚWIAT



**Angelina „Callas”
Jolie.** Co w tym
filmie jest prawdą,
a co fantazją ► 23

7 powodów,
by znów obejrzeć
„Rękopis znaleziony
w Saragossie” ► 43

Michnik:
Gomułka to
był człowiek
wybitny ► 40

Agnieszka
Kublik

Zrzutka na szczucie

TV Republika powinna codziennie dziękować Bartłomiejowi Sienkiewiczowi za zamknięcie kanału TVP Info w grudniu 2023 r. Ta szczupnia Jacka Kurskiego (choć wtedy nie był już prezesem telewizji, to jego obniżone do maksimum standardy nadal obowiązywały) zamilkła na dziewięć dni. To wystarczyło, by uzależnieni od politycznego hajku przenieśli się do stacji Sakiewicza.

TV Republika odnotowuje świetną oglądalność. Nie tylko dzięki rewolucji na antenie TVP – gdzie dezinformacja została zastąpiona informacją – ale i dlatego, że stacji pomógł PiS. Inaczej, niż gdy był u władzy i wlewał w nią miliony publicznych pieniędzy. Teraz KRRiT zdominowana przez ludzi poprzedniego obozu władzy w ekstrasemple przyznała stacji Sakiewicza koncesję naziemną. Dostępna jest niemal w całej Polsce.

KRRiT parla do tej decyzji w nadzwyczajny sposób – przyspieszone posiedzenia, szef Maciej Świrski łączył się zdalnie, bo był na Bałkanach, byle tylko zagłosować „za”. Ale przede wszystkim Rada zlekceważyła negatywną opinię swojego departamentu, który miał wątpliwości, czy Sakiewicza na taką stację stać.

I rzeczywiście, dziś TV Republika żebrze o pieniądze – na nowe studio, na nowy wóz...

Żebrze o kilka milionów.

Stacja szczuła na Jurka Owsiaaka, że złodziej i apelowała, by nie dawać pieniędzy na WOŚP, a na ich sprzęt telewizyjny. By mogli szczuć

w wyższej jakości, przed większą widownią. Na Jurka, który zbiera na sprzęt medyczny. Dla wszystkich.

Zastanawia mnie, dlaczego stacja, która mimo marniutkiej oglądalności, zgarniała miliony z publicznych spółek skarbu państwa – jako reklamy czy sponsoring – teraz nie ma kasy?

TVN24 w reportażu Marty Gordziewicz pokazała skalę tej operacji PiSu pompowania nie swoich pieniędzy na swoje media. PiS udoskonalał tę metodę przez lata.

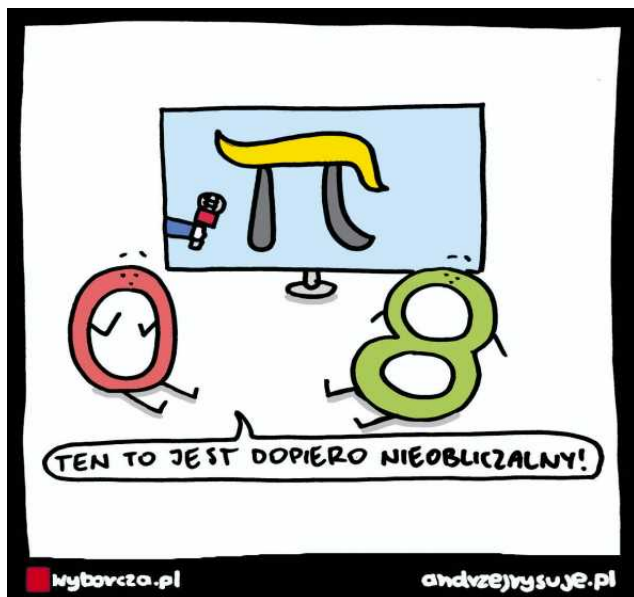
W sumie może chodzić nawet o 150 mln zł.

Gdzie jest ta kasa? Czyżby przeputali? Na co? Skoro co i rusz pracownicy tej stacji skarżyli się na niewypłacane na czas pensje, marne zresztą.

Marta Gordziewicz zapytała Sakiewicza, co zrobił z tymi milionami. Czy dostała odpowiedź? Poczytajcie sami: „Jesteście po prostu ukrytą prorosyjską, postkremłowską stacją, a pani udaje Greka, że tak nie jest. Nie rozmawiam z ubekami”.

To tylko przypomnę, że prezesem spółki Srebrna (powiązanej biznesowo i personalnie z Republiką) jest Kazimierz Kujda, zausznik prezesa PiS. Ten Kujda, który prawomocnym wyrokiem sądu ze stycznia tego roku został kłamcą lustracyjnym. Według IPN był w czasach PRL tajnym współpracownikiem Służby Bezpieczeństwa o pseudonimie „Ryszard”. ●

Andrzej rysuje



Bagdad

Nostalgia dźwięgów handlu



Sabah Al-Sudani ma dwa sklepy z kasetami magnetofonowymi w Bagdadzie. I nie narzeka. Wydawało się, że kaseeta wynaleziona w 1963 roku przez firmę Philips, została bezpowrotnie zmieciona w latach 90. przez nowe technologie. Ale wraca – jako snobizm i vintage. .

Kod dostępu
do Wyborcza.pl

Liczba tygodnia

20

ZŁOTYCH
za tyle można kupić
fałszywy mDowód. Mini-
sterstwo radzi: sprawdź,
czy flaga się rusza.
• Jak weryfikować cyfrowe dokumenty
► Wyborcza.biz

Teoria umysłu
Bonobo gra w trzy kubki

Choć wspólny przodek człowieka i dwóch gatunków szympansa żył blisko siedem milionów lat temu, to wciąż łączy nas niemal 99 proc. wspólnego DNA. Bonobo i i szympansa zwyczajny są naszymi najbliższymi kuzynami w królestwie zwierząt

W zachowaniu tych małp człekokształtnych możemy się przeglądać jak w krzywym zwierciadle. Tym, co nas łączy, jest m.in. socjalność – umiejętność tworzenia grup współpracujących ze sobą niespokrewnionych osobników i życia społecznego, w tym politykowania. Bonobo są tu ciekawym przykładem, bo tworzą matriarchalną hierarchię społeczną.

Do życia społecznego niezbędna jest empatia – umiejętność wczuwania się w stany umysłowe innych. Jej wyższą formą jest tzw. teoria umysłu: zrozumienie, że inny może czuć, myśleć i wiedzieć co innego, niż my.

W najnowszym wydaniu tygodnika „PNAS” uczeni z Baltimore zabawnym eksperymentem potwierdzają obecność teorii umysłu u bonobo. Badane małpy obserwowały, jak eksperymentatorzy umieszczali smakołyk pod którymś z trzech kubków. Następnie do stołu podchodził człowiek, który nie widział chowania smakołyku i nie wiedział, pod którym kubkiem się znajduje. Jeśli tra-



fił, smakołyk był zjadany przez bonobo. Co robiły małpy? Pokazywały człowiekowi, po który kubek ma sięgnąć.

Dla porządku: autorzy publikacji sprawdzili też, jak się zachowują bonobo, kiedy człowiek podnoszący jeden z kubków widział, jak chowano pod nim smakołyk. Wtedy też mu pomagały, ale wyraźnie mniej. Wiedziały, że nie muszą.

Powyższy eksperyment uczeni nazywają testem cudzej ignorancji. Wiedza o cudzej niewiedzy to ważna część teorii umysłu.

Naukowcy wyróżniają parę poziomów teorii umysłu i prawdopodobnie nie wszystkie są dostępne dla innych gatunków. Pierwszym jest zrozumienie, że inni postrzegają świat inaczej. Drugim – zrozumienie, że inni też rozumieją, że inni postrzegają świat inaczej.

Ludzkie dzieci nabywają teorię umysłu w czwartym-piątym roku życia. ●

Tomasz Ulanowski

W poniedziałek w „Dużym Formacie”

Dwaj panowie
i nerka

Transplantacja łączyła nas ze sobą bardziej niż obrączki, bo więzami krwi. Więc ten ślub nie jest nam tak niezbędnie potrzebny



Nie dajmy się oszukać medialnym politrukom

Kłamstwo o dziennikarskiej symetrii

„Jesteście tacy sami jak my, tylko teraz to wy jesteście przy korycie. I robicie to samo, co my”.

Protestuję, tu nic się nie zgadza

Imielski



Świat, w którym prezydentem najpotężniejszego państwa na świecie zostaje notoryczny kłamca i skazany przestępca, przestał być czarno-biały. Jest pełen szarości, a każdy – jak stwierdził Elon Musk, najbogatszy człowiek na świecie, zaufany Donalda Trumpa – ma swoją prawdę. Tak, dokładnie tak powiedział Musk, właściciel platformy społecznościowej X (dawny Twitter), którego śledzi na niej ponad 200 mln ludzi.

Wyznawców zasady „moja prawda” mamy i u siebie, w Polsce. Wielu z nich to orędownicy Trumpa i Musk. Od dawna posługują się podobnymi metodami: kłamstwem, dezinformacją, służalczością wobec politycznych mocodawców. Nie mają żadnych skrupułów ani zasad moralnych.

PiS-owskie media bulterierów
Nieprzypadkowo jest wśród nich Jacek Kurski, który dawno temu ukuł słynne powiedzenie: „Ciemny lud to kupi”. Przez lata nazywany był „bulterierem Kaczyńskiego”, bo specjalizował się w najbardziej obrzydliwych atakach na przeciwników preza PiS.

Nieprzypadkowo to Kurski został w 2016 roku prezesem TVP i zamienił publiczną telewizję w propagandowy rynsztok oraz fabrykę codziennych fake newsów. W myśl zasady „Mój pan jest zawsze dobry i piękny, a jego oponenci to samo zło, które można zmieszać z najgorszym błotem”.

Czyli zero krytyki rządów PiS, za to brutalne ataki na tych, którym z Kaczyńskim nie po drodze.

Dziś Jacek Kurski pracuje w telewizji wPolsce24 braci Jacka i Michała Karnowskich. To jedna z przybudówek PiS, do której za rządów partii Kaczyńskiego płynęły miliony złotych ze spółek skarbu państwa i państwowych instytucji. A bracia Karnowscy brylowali w TVP Kurskiego, mając intratne kontrakty.

Miliony płynęły też do mediów Tomasza Sakiewicza i różnych jego przedsięwzięć. Takich jak Puszcz TV, na którą poszło blisko 6 mln zł z publicznych pieniędzy, za co powstała skromna strona internetowa, której prawie nikt nie oglądał. Sam Sakiewicz też brylował za duże pieniądze w ówczesnych „publicznych mediach”.

To w TVP widzieliśmy kampanię nienawiści wobec prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza, zamordowanego w 2019 roku przez zamachowca uzbrojonego w nóż. Symbolem poprzedzającym tę tragedię będzie pracownik telewizji Łukasz Sitek, napa-

dający na Adamowicza przy każdej możliwej okazji.

A cóż robili mocodawcy tych medialnych politruków w latach 2015-23? Traktowali nasze państwo jak prywatny folwark, który trzeba wydoić na tyle, na ile się da. Nad ludźmi władzy roztoczono parasol ochronny: policja, CBA, prokuratura i „publiczne” media nie mogły ruszyć nikogo, kto nie wypadł z łask Kaczyńskiego czy Ziobry.

Miernoty zostawały ważnymi urzędnikami czy prezesami, prawo traktowano jak świstek papieru, niezależne media chciano zakneblować albo nawet zniszczyć, opozycję inwigilowano i prześladowano, a krnąbrne społeczeństwo obywatelskie chciało wziąć pod but.

X i META ruszyli w sukurs kłamcom

Piszę to wszystko, bo wielu ludzi ma krótką pamięć i szybko zapomina o tym, co działo się za rządów Zjednoczonej Prawicy. I co robili wtedy

łem Rachoniem czy Jarosławem Olechowskim – czują się jak ryba w wodzie. Próbujać wmówić Polkom i Polakom, że niczym nie różnią się od „Wyborczej” czy Onet.pl. Że to oni przedstawiają prawdę, a „tuskowe” media kłamią. Że ich propaganda i produkowane przez nich fake newsy są takiej samej wartości jak materiały TVN czy radia TOK FM oraz innych „mediów liberalnych”.

Co więcej, Karnowscy i Sakiewicz z ich machinami propagandowymi próbują przekonywać, że obecna władza niczym nie różni się od rządów PiS. Nawet więcej – to dziś mamy u władzy przestępców łamiących Konstytucję, bodnarowców ścigających niezależnych prokuratorów i sędziów, „pułkownika” Sienkiewicza przejmującego siłą media publiczne, wreszcie niebawale grzanie tematu „zamachu stanu”, ogłoszonego przez szefa Trybunału Konstytucyjnego Bogdana Święczkowskiego, zaufanego Zbigniewa Ziobry i byłego kandydata PiS do parlamentu. A lata 2015-

wszystko, by niezależne, jakościowe gazety czy telewizje przedstawiać jako „łże media”, podważać w każdy możliwy sposób ich wiarygodność?

Trump, a przede wszystkim Musk na swoim X robią to codziennie. Cel jest prosty – jak wbijemy ludziom do głowy, że to, co czytają i znajdują na platformach społecznościowych i w partyjnych przybudówkach medialnych, jest równie wartościowe jak informacje w „New York Times”, „Wyborczej”, TVN czy „Newsweeku”, nie będą wierzyli już w żadną sprawdzoną informację. Że powstanie jedna wielka strefa szarości, w której każdy będzie miał własną prawdę. Że taką samą wagę ma opinia uznanego naukowca, jak i zadeklarowanego antyszczepionkowca bez żadnej wiedzy na temat wirusów.

Takim społeczeństwem łatwo manipulować, łatwo przekonywać do prostych i szybkich lekarstw na każdy problem. Łatwo rozniecać emocje, znajdując coraz to nowego wroga: rzekomo skorumpowane do cna elity, imigrantów, środowiska LGBTQ, liberalne media czy sąsiednie kraje. W myśl sprawdzonej zasady „Ciemny lud to kupi”.

Medialni oszuści na garnuszku PiS

Prawdziwe dziennikarstwo ma dziś mocno pod górkę, ale jedno jest pewne – nie ma nic wspólnego z tym, co robią ludzie tacy jak bracia Karnowscy, Jacek Kurski, Sakiewicz, Rachon i Olechowski. Nie dajmy sobie wmówić, że działalność partyjnych przybudówek medialnych należy traktować na równi z pracą prawdziwych dziennikarzy i redaktorów

My odpowiadamy sami przed sobą i przede wszystkim przed czytelnikami czy widzami. Nie mamy politycznych nadzorców, często krytykujemy obecną władzę i opisujemy jej ciemne strony.

Rzeczywistymi nadzorcami TV Republika czy portalu wPolityce.pl są zaś politycy PiS. Pierwsza jest powiązana finansowo ze spółką Srebrna, biznesową perłą w koronie środowiska związanego z Jarosławem Kaczyńskim. Srebrna ma biura na wynajem w Warszawie i potężną działkę blisko centrum stolicy, wartą fortunę.

Media braci Karnowskich to zaś inwestycja związana z wpływowym senatorem PiS Grzegorzem Biereckim, twórcą systemu Spółdzielczych Kas Oszczędnościowo-Kredytowych (SKOK) i długoletniego szefa Kasy Krajowej SKOK.

Nikt też z polskich mediów nigdy w historii III RP nie był tak dotowany przez państwo, na polityczne zlecenie, jak właśnie ci Karnowscy i Sakiewicz w latach rządów PiS. Dla kontrastu – jedną z pierwszych politycznych decyzji rządu Beaty Szydło było zablokowanie wszelkich reklam spółek skarbu państwa i instytucji państwowych dla niezależnych mediów.

Ci, którzy znaleźli się w tej ostatniej grupie, mogą być z tego dumni. Ja jestem. ● **Roman Imielski**



Prawdziwe dziennikarstwo ma dziś pod górkę, ale jedno jest pewne – nie ma nic wspólnego z tym, co robią ludzie tacy jak bracia Karnowscy, Jacek Kurski, Sakiewicz, Rachon i Olechowski. Nie dajmy sobie wmówić, że działalność partyjnych przybudówek medialnych należy traktować na równi z pracą prawdziwych dziennikarzy i redaktorów

jej medialni bulterierzy, którzy dziś stracili swoją moc, ale swoich metod nie zmienili. I często są w tym skuteczni, bo przecież życie pełne jest dziś szarości.

Pomagają im w tym platformy społecznościowe. Taki X, należący do Muska, pelen jest dezinformacji, mowy nienawiści, teorii spiskowych i fałszywostek narracji. A sam Musk chwali się, że to właśnie jest prawdziwa wolność słowa, bo – przypomnę – każdy ma swoją prawdę.

Na Facebooku też niewiele lepiej, a będzie gorzej, bo właściciel platformy Meta ogłosił, że rezygnuje z moderacji. Inny wielki gracz cyfrowy Google to również rozsądni fake newsy.

Jak sprawdził przed laty naukowcy z Massachusetts Institute of Technology (MIT), kłamstwa na ówczesnym Twitterze, jeszcze przed erą Muska, rozchodziły się kilkukrotnie szybciej niż prawda. Wywoływały prawdziwą kaskadę retweetów, coś w rodzaju fali orgazmu.

Szczujnia odwraca kota ogonem

W tym bagnie prawdziwe media – choć nie bez skazy i popełniające błędy, bo wszyscy jesteśmy tylko ludźmi – mają być spychane na margines, a ich siła osłabiana.

Za to w tej mętnej wodzie tacy ludzie jak bracia Karnowscy i Sakiewicz z gwiazdami TV Republika – Micha-

23 były czasem prawdziwej wolności i praworządności.

TV Republika jak w najgorszych czasach TVP z lat rządów Zjednoczonej Prawicy jest partyjną przybudówką. Jej pracownicy nigdy nie krytykują PiS i Kaczyńskiego, za to szczują na ich politycznych rywali. A jak trzeba, wyciągną pomocną dłoń.

Ostatni przykład to ustawka z wywiadem ze Zbigniewem Ziobrą, gdy był minister sprawiedliwości miał stawić się przed komisją śledczą ds. Pegasusa. I Ziobro, i Rachon i Sakiewiczem i Olechowskim liczyli na to, że w świetle kamer policjanci siłą wyprwadzą Ziobrę, bo na jego doprowadzenie przez funkcjonariuszy zgodził się sąd. A to dlatego, że Ziobro notorycznie unikał wezwań od komisji.

Policjanci zawiedli go jednak i gwiazdy TV Republika też. Poczekali spokojnie na zakończenie wywiadu, więc Ziobro sam oddał się w ich ręce. Symbolem dnia – memicznym – był widok Rachonia z telefonem komórkowym w ręce, biegnącego za samochodem z odjeżdżającym byłym ministrem sprawiedliwości. Potwierdził po raz kolejny, że jest na łańcuchu partii. I jest z tego dumny.

Manipulatorzy „robią” prawdę

Czy można się więc dziwić, że idolem i PiS, i ich medialnych przystawek jest Trump z Muskiem? Że tak jak najpotężniejsi dziś ludzie w USA robią

Kredyty konsumenckie w sądzie

ZNAJDŹ JEDNĄ WADE

To wystarczy, żeby
podważyć posta-
nowienia umowy
z bankiem i w rezul-
tacie mieć darmowy
kredyt

FOT. DELMAINE DONSON/GETTY IMAGES

1RP

Tomasz Kwaśniewski

Na mecenasa Jędrzeja Jachirę, 32 lata, doktora nauk prawnych, trafilem, pracując nad tekstem o hipotecznych kredytach frankowych. Szukałem wtedy ludzi, którzy faktycznie wygrali z bankiem, a nie było wówczas o to łatwo. Skontaktowałem mnie ze swoimi klientami. Gdy napisałem tekst, poszedłem ich śladem. To było cztery lata temu. Gdy prowadził moją sprawę, chcąc uniknąć konfliktu interesu, nie pisałem o niczym, co byłoby z nim związane. Ale teraz nic już nas nie łączy, gdy więc zadzwonił, nie mogłem mu odmówić. I nie chciałem. Bo sprawa, którą zgłosił, jest społecznie ważna, a też nie bez znaczenia jest fakt, że sygnalizuje ją osoba, której profesjonalizm sprawdziłem. Chodzi o błędy, które banki popełniły w umowach na kredyt konsumencki. I żeby było jasne, nie mam takiego.

Diabeł tkwi w ustawie

– W trakcie procesów frankowych – mecenas Jachira poprawia się na krześle – zaczęło się mówić, że też inne umowy kredytowe mają w sobie zapisy niedozwolone. To były lata 2020–21, Jachira mówi, że w związku z tym, że mieli wtedy mnóstwo pracy z frankami, odstawili to na bok. Ale potem od tego wrócili, w kancelarii powstał niewielki dział przeglądający produkty masowo oferowane na rynku finansowym właśnie pod kątem tego, co może być w nich niezgodne z prawem.

– I w pewnym momencie odkryliśmy. – Jachira pamięta, że aż zaniemówili. Ktoś z pracowników przyniósł standardową umowę na kredyt konsumpcyjny, którą podpisał ktoś z rodziny. Skonfrontowali ją z ustawą i okazało się, że aż roi się w niej od elementów zakazanych. W dodatku pochodziła z jednego z największych banków komercyjnych, co oznaczało, że tego typu produkty podsuwane są dziesiątkom, jeśli nie setkom tysięcy osób.

– Tym, co diametralnie różni problem kredytów konsumpcyjnych od frankowych, jest ustawa – podkreśla mecenas Jachira.

Frankowicze, zmagając się z bankami, musieli bazować na przepisach ogólnych: kodeksu cywilnego, dyrektywy unijnej czy pomocniczo orzeczeń sądów, zwłaszcza Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej (TSUE).

– Tu zaś nie potrzeba dobrej prawniczej intuicji – mówi – bo ustawa o kredycie konsumenckim, która weszła w życie w 2011 roku, wszystko reguluje diabelnie precyzyjnie.

W szczególności artykuł 45. Mówi on, że w przypadku, gdy w umowie nie ma zapisów, które w niej obligatoryjnie powinny się znaleźć, albo są w nich błędy, klient ma prawo do złożenia oświadczenia o skorzystaniu bez żadnych warunków z sankcji kredytu darmowego (SKD).

– Co oznacza, że bank w konsekwencji już nie może naliczać odsetek, w ogóle żadnych dodatkowych kosztów tego kredytu – wyjaśnia Jachira. - Klient spłaca więc dokładnie tyle, ile pożyczył, sam kapitał, wciąż rozbity na tę samą liczbę rat, które w rezultacie są oczywiście sporo niższe. Otrzymuje też zwrot wszystkiego, co dotychczas nadpłacił ponad kapitał.

Z danych, którymi dysponuje m.in. Związek Banków Polskich, wynika, że obecnie w Polsce spłacanych jest około 17 mln pożyczek i kredytów konsumpcyjnych.

– Ponad 90 proc. umów, które obecnie analizujemy, ma wady prawne – mówi Jachira. I podkreśla, że spora część z nich pochodzi z tych porządných, dużych banków.

Doliczanie i dopisywanie

No dobra, powiedzą państwo, drżącą od emocji dłonią, wyjmując z teczki swoją umowę kredytu: co w niej musi takiego być, żeby móc się ubiegać o to SKD?

Odpowiedź mecenasa Jachiry jest trochę zniechęcająca, a mianowicie, że przede wszystkim warto tu skorzystać z pomocy prawnika.

– Bo to jest jednak dość skomplikowane – mówi. Uważa, że najlepiej dać umowę do analiz kilku profesjonalnym pełnomocnikom, czyli adwokatom lub radcom prawnym, po czym skonfrontować ich opinie ze sobą i to, w jakim stopniu się pokrywają.

– Ale co jest tu tym, co świadczy, że w umowie jest wada? – nie odpuszczam w imieniu tych, którzy lubią jednak wiedzieć i słyszę, że cała masa rzeczy, o których mowa w ustawie, a zwłaszcza kredytowanie prowizji.

– Czyli obliczanie całkowitego oprocentowania kredytu – wyjaśnia mecenas. – Nie tylko od kwoty kapitału, o który wnioskowaliśmy, ale też prowizji, którą bank sobie pobrał.

Wyobraźmy sobie – tłumaczy. – Że ktoś chciał wziąć kredyt w wysokości 100 tys. zł i tyle przyznał mu bank, ale, jako że prowizja od tego kredytu wynosiła 10 proc., czyli 10 tys. zł, to bank mu ją dopisał do kredytu. I teraz ta osoba płaci odsetki od 110 tys. zł. I bank pobiera te pieniądze od początku obowiązywania umowy, i będzie to robił do końca, w związku z czym każda część odsetkowa jest przez niego w umowie mylnie policzona, konkretnie zawyżona.

Inne uchybienia to na przykład nieprawidłowe informowanie o całkowitym koszcie kredytu spowodowane doliczaniem do kwoty

coś, co może to bardzo przyspieszyć, a mianowicie są zadane pytania prejudycjalne do TSUE – tłumaczy Jachira, który jest pełnomocnikiem grupy prawników, autorów polskich pytań prejudycjalnych do TSUE. Odpowiedzi spodziewane są w tym roku. Mecenas sądzi, że tak jak to było w przypadku kredytów frankowych, będą one przychylne dla konsumentów (kilkanaście dni temu, dokładnie 23 stycznia TSUE wypowiedziało się na korzyść konsumentów słowackich).

– I wtedy powtórzy się masowe unieważnianie toksycznych postanowień – przewiduje.

Związek Banków Polskich podaje, że w sądach spraw związanych z SKD jest około 10 tysięcy. – Tylko przez nas złożonych jest niespełna tysiąc – mówi Jachira. I dodaje, że teraz co miesiąc tylko z jego kancelarii będzie wpływało około 250. Skąd to wie? Bo obsługuje kilka podmiotów angloamerykańskich zarabiających na roszczeniach przeciwko bankom.

– Taki podmiot – wyjaśnia Jachira – zwraca się do kredytobiorców tak: „Bank ci dał wadliwą umowę, wiemy, bo już ją sprawdziliśmy. Ale pewnie nie chcesz iść z nią do sądu, bo cię nie stać, bo się boisz. Ale my się nie boimy, sprzedaj nam to swoje roszczenie. Otrzymasz od nas z góry jakiś procent, wszelkie koszty weźmiemy na siebie, ale co wygramy, to nasze”.

Wcześniej te podmioty interesowały się też sprawami frankowymi. – To było w 2021 roku, ale tu akurat się spóźnili – mó-

Teraz w Polsce spłacanych jest około 17 mln pożyczek i kredytów konsumpcyjnych, z szacunków specjalistów wynika, że około 3 mln może mieć wady prawne

wi. – Bo już ludzie z pomocą dobrych kancelarii w kraju nieźle sobie z tym radzili, wiele osób wolało z nimi iść do sądu, ryzykując swoje pieniądze, niż właśnie odsprzedać ewentualny zysk jakiejś firmie.

Wierzytelność kupię

Od razu widać, że to partnerzy w interesach. Obaj ciut po pięćdziesiątce, z wykształcenia ekonomiści: Waldemar Ostrowski działa w branży finansowej i budowlanej, Wojciech Jędrzejko ma kilka spółek finansowych. Razem prowadzą firmę doradczo-konsultingową, za jej pomocą obaj panowie zamierzają zewrzeć się z bankami w kwestii SKD.

– Zainteresowaliśmy się tym dlatego... – zaczyna Ostrowski.

– Jestem frankowiczem – wchodzi mu w słowo Jędrzejko. – Poszedłem z tym do sądu i się udało. Zresztą jak pan wie, nie tylko mi...

W.O.: – Poprosiliśmy rodzinę, znajomych o ich umowy na kredyt konsumencki, daliśmy je do przejrzania i okazało się, że w prawie każdej są jakieś błędy.

W.J.: – Wtedy, mając to doświadczenie frankowe, pomyśleliśmy...

W.O.: – ...że skala tych nadużyć może tu być całkiem duża.

W.J.: – Zamieściliśmy więc ogłoszenie: „Jeśli masz kredyt konsumpcyjny, jesteś zainteresowany SKD, proszę, prześlij nam umowę, przejrzymy, sprawdzimy, czy zawiera wadliwe zapisy”.

W.O.: – Ludzie zaczęli przysyłać, zresztą cały czas przysyłają, i to zaczęło się potwierdzać...

W.J.: – Wtedy pomyśleliśmy, że są tacy, co już z tym poszli do prawników, ale są też tacy, którzy nigdy tego nie zrobią, bo albo ich na to nie stać, albo się boją, albo wartość tych ich kredytów jest na tyle mała, że to się im nie opłaca...

W.O.: – Zasadniczo nasza oferta jest taka: prosimy o przesłanie nam umowy, robimy jej analizę, i jeżeli znajdujemy wady, mówimy klientowi, że jest podstawa do tego, żeby wystąpić do banku o SKD.

W.J.: – Tu ważne jest, żeby dodać, że o SKD można wystąpić nie dłużej niż rok po spłacie kredytu. I jeśli ktoś się na to zdecydował...

W.O.: – To my go prowadzimy, co ma zrobić, żeby wystąpić do banku o SKD...

W.J.: – I jeżeli ten odmówi, to pozostają dwie drogi...

W.O.: – Albo nasz prawnik prowadzi mu sprawę w trybie sądowym, czyli jedno- lub dwuinstancyjny proces, czekamy na wyrok, gdy on zapadnie – zakładamy, że korzystny – wtedy klient spłaca sam kapitał, a wszystko, co nadpłacił, jest mu zwracane.

W.J.: – Minus, rzecz jasna, honorarium prawnika.

W.O.: – Albo, jeśli ten ktoś się boi o wynik, nie chce czekać, nie ma pieniędzy, które mógłby wyłożyć na prawnika, wtedy proponujemy cesję.

W.J.: – Dokładnie to wygląda tak, że płacimy klientowi od ręki jakąś część tego, ile by zyskał, gdyby sam poszedł do sądu...

W.O.: – Po prostu jakąś część tych odsetek, prowizji, które już wpłacił do banku, a które – gdyby wygrał – zostałyby mu zwrócone.

W.J.: – Zwyczajnie kupujemy od niego tę wierzytelność...

W.O.: – ...bo wierzymy, że wygramy.

W.J.: – On dalej spłaca kredyt...
W.O.: – ...a my dalej już sami prowadzimy tę sprawę, ponosząc wszystkie tego koszty.
W.J.: – I jak wygramy, to przejmujemy to, co klient wpłacił do banku, zanim w jego imieniu poszliśmy do sądu...
W.O.: – ...ale on też ma zysk, bo – po pierwsze – od tego momentu nie musi płacić już odsetek...
W.J.: – ...a – po drugie – dostaje z powrotem lub zostaje mu odliczone od sumy kredytu to, co wpłacił do banku z tytułu odsetek w trakcie trwania procesu.
– Dużo już macie chętnych? – pytam.
W.O.: Coraz więcej.

Przecierak

Pan Mariusz z wykształcenia jest pedagogiem po Akademii Humanistyczno-Ekonomicznej w Łodzi, ma 41 lat, żonę, dziecko, studio treningowe, z którego żyje, oraz dom. Żeby go kupić, wziął kredyt hipoteczny, a żeby go wykończyć – konsumpcyjny. A w zasadzie dwa, bo jeden wziął on, a drugi żona. W dwóch różnych bankach, oba są z tych ogromnych. W sumie ponad 300 tys. zł na 8 lat i niemały procent. Za co z tytułu miesięcznych rat płaci około 5 tys. zł.

– Kredyty wzięliśmy pod koniec 2021 roku – opowiada. – Jakiś czas później znajomy mi podsunął temat SKD, powiedział: „Przytnieś kiedyś swoją umowę, moja kancelaria ją sprawdzi, zobaczymy, czy wszystko jest z nią w porządku”.

Pan Mariusz mówi, że trochę z tym zwlekał, ale w końcu zaniósł i po tygodniu dostał odpowiedź, że weryfikacja jest pozytywna, umowa spełnia warunki SKD.

– No i jeszcze troszkę się z tym miotalem – opowiada, a mięśnie drgają mu pod koszulką. – Czy wstąpić z tym na drogę sądową? Bo nie wiedziałem, jakie to będzie miało konsekwencje. Czy na przykład nie bę-

dę musiał tego kredytu spłacać od razu, no wiadomo, są takie obawy...

– Że jak pan uderzy w bank...
– ...to on uderzy we mnie. Ale kancelaria zapewniła, że nic takiego się nie stanie.

Pan Mariusz nie pamięta dokładnie, jakie są te błędy w jego umowie, bo też nie musi, tym zajmuje się przecież kancelaria. Za to pamięta dobrze, że jak poszedł do banku złożyć stosowne w związku z wystąpieniem o SKD dokumenty, to nie obyło się bez kłopotów. Kiedy pouczony przez prowadzących jego sprawę prawników i uzbrojony w przygotowane i wypełnione w kancelarii pisma stawiał się przy bankowym okienku, żeby je wręczyć, usłyszał dobiegający go z drugiej strony zdziwiony głos pracownicy: „A co to takiego?”.

– Wyjaśniłem, a ona nadal zdziwiona – opowiada pan Mariusz. – Potem mówi, że system tego nie widzi, ona nie wie, co z tym zrobić. Wtedy ja zgodnie z instrukcjami prawników powiedziałem: „Proszę to ode mnie wziąć, wy tu działacie jedynie na zasadzie biura podawczego: pieczętka, numer sprawy, i tyle”. Trzy razy mnie spławiali – wspomina. – Dopiero za czwartym dyrektorem oddziału te pisma ode mnie wziął.

W rezultacie jeden kredyt pana Mariusza jest już w sądzie, a jego sprawę prowadzić będzie ta zaprzyjaźniona kancelaria.

– A jeśli chodzi o drugi kredyt – mówi. – To podpisałem umowę cesji, inna kancelaria będzie tę sprawę prowadzić przez sąd. I tu już pewne środki zostały mi wypłacone, oni sobie to odbijają, jak wygrają, a ja już wtedy nie będę musiał spłacać odsetek.

Pan Mariusz tłumaczy, że rozdzielił sprawę, bo dzięki środkom uzyskanym w wyniku cesji ma pieniądze, by tę drugą prowadzić samodzielnie. Co przekładając na koszty, prezentuje się następująco: ok. 4 tys. zł brutto musi zapłacić za prowadzenie procesu sądowego w pierwszej instancji, 3 tys. zł – jeśli będzie się trzeba udać do drugiej, plus wynagrodzenie dla kancelarii.

– Ale to już z ewentualnego zysku, dokładnie 12 proc. – mówi.

Pan Mariusz poza tym jeszcze wie, że może odzyskać nawet 140 tys. zł. Oraz że będzie musiał w związku z tymi sprawami stać się w sądzie. Ile razy, tego już nie wie.

– Tu w ogóle niewiele wiadomo – mówi. – Wraz z prawnikami przecieram szlak, można więc powiedzieć, że czuję się jak przecierak.

Totalny przełom

– No dobra, a dlaczego banki to tak robiły? – pytam mecenasa Jachirę.

– Bo czuły się bezkarne – nawet się nie zastanawia nad odpowiedzią. – A tak się czuły, bo nigdy nie ponosiły konsekwencji za to, co robiły, od regulatora. Obrywały dopiero, jak sprawy trafiały do sądów.

Czy ktoś kiedyś słyszał, by tak zwany normalny bank, czyli nie parabank, oberwał od regulatora za prowizję, marżę, oprocentowanie, brak wyliczenia kosztu kredytu?

– Ale przecież było wiadomo, że prędzej czy później...

– Było i nie było. – Mecenas się uśmiecha. – Jak zaczynaliśmy walczyć o kredyty frankowe, to prawie wszyscy mówili, że to jest skazane na przegraną. Pomijając już wątpliwości prawne, bo po prostu nikt wcześniej nie wygrał z bankami. A nie wygrał dlatego, że brakowało prawnikom odwagi, zresztą klientom też, żeby pójść do sądów.

Sprawy frankowe to był totalny przełom. One pokazały, że jeżeli klient ma rację i się odważy, to, czy to będą franki, czy nieuczciwa umowa leasingu, wadliwe postanowienia związane z kredytem konsumenckim itd., można z bankiem wygrać.

– A wracając do tego, dlaczego tu tak się to potoczyło – kontynuuje mecenas Jachira. – To tego rodzaju problemy powstają przede wszystkim, kiedy nie ma ścisłej regulacji i kontroli. Dziś Komisja Nadzoru Finansowego, wcześniej Komisja Nadzoru Bankowego, UOKiK to są podmioty, które powinny nad tym czuwać. A jak zapala się czerwone światło, to interweniuować. Czyli karać. Nie dla Kowalskiego, tylko dla ogółu.

– To te urzędy o tym nie wiedziały?
– One spały. I zresztą nadal śpią. Tak samo jak wcześniej w przypadku franków. Jeżeli mamy ustawę działającą od 2011 roku, a dopiero teraz KNF i UOKiK zaczynają się tym poważnie interesować, bo do sądów trafiło w ciągu roku ok. 10 tys. spraw, to chyba jest coś nie tak?

Regulator powinien być jak policjant, który bije pałą wtedy, kiedy ktoś łamie prawo. Tymczasem nasz regulator spotyka się na kolejnych konferencjach, kongresach, forach ekonomiczno-gospodarczych z przedstawicielami banków, pije dobrą kawę i się uśmiecha.

– Ale jak myślisz, dlaczego tak to jest?
– Przede wszystkim dlatego, że te środowiska się bardzo przenikają. Często przedstawiciele banków później znajdują pracę u regulatora i odwrotnie. Stąd zresztą m.in. brało się to przekonanie, że z bankami nie można wygrać.

Co to znaczy karać banki?

– Za chwilę o SKD będzie zdecydowanie głośniej, emocje będą nakręcały kliknięcia – przewiduje Tomasz Kopyściański, doktor nauk ekonomicznych od lat związany z wrocławskim Uniwersytetem WSB Merito (niegdyśjsza Wyższa Szkoła Bankowa), gdzie jest pracownikiem dydaktyczno-badawczym oraz zastępcą kanclerza. – Z jednej strony będą osoby, które mają kredyty konsumpcyjne – kontynuuje – w związku z czym będą zainteresowane promowaniem przekonania, że banki to złodzieje, znów naciągali ludzi, można więc pójść przeciwko nim z roszczeniem. Z drugiej będą przedstawiciele banków oraz zwyczajni obywatele, którzy kredytu nie mają, ale obawiają się, że jak banki poniosą stratę, to oni za to zapłacą. Będą więc szli w retorykę: „Znowu chcą naciągnąć banki. Najpierw cwaniaki nabrały kredytu, a teraz nie chcą płacić odsetek”.

Doktor Kopyściański obawia się, że tego typu przekazy jako najłatwiejsze staną się dominujące, a on nie chciałby iść ścieżką emocji, tylko rozmawiać o SKD z perspektywy merytorycznej. A ta jest taka, że banki popełniły błędy w umowach na kredyt konsumencki, wciąż niestety je popełniają, i w końcu muszą się nauczyć, jak tego nie robić.

– Zresztą taka była intencja wprowadzenia SKD w ustawie o kredycie konsumenckim – mówi. – Czemu towarzyszyło przekonanie, że konsument, i tak po prostu jest, nie musimy tego dowodzić, jest stroną słabszą w tej relacji, więc regulacje prawne mają go tu wspierać.

– Przekładając artykuł 45. tej ustawy z prawniczego na ludzki – rozwija dr Kopyściański. – On mówi bankom, zresztą nie tylko im, w ogóle pożyczkodawcom, żeby starannie konstruowali umowy, uważnie analizując to, co wskazują w niej konsumentowi. W szczególności – żeby w jasny sposób było w nich powiedziane: jaka jest kwota kredytu, oprocentowanie, w jaki sposób ono się może zmieniać, jakie są zasady spłaty itd. To ma być czytelne, nie budzić wątpliwości. Zwalaszca w kontekście korzyści, którą bank mógłby osiągnąć ze zwykłego niezrozumienia przez klienta zapisów w umowie. Bo jeśli, banku, tego nie dopełnisz, to podważymy tę umowę i w konsekwencji klient będzie mógł spłacać kredyt bez jakichkolwiek dodatkowych kosztów. Czyli sensem regulacji było zwiększenie presji na banki – kontynuuje – żeby staranniej konstruowały umowy. I moim zdaniem dobrze, że takie przepisy regulacyjne się pojawiły. Ale też tym jest większe moje zdziwienie, ale myślę, że nie tylko moje, bo wielu ekspertów ze środowiska ekonomiczno-finansowego również, że banki, chociaż ten przepis funkcjonuje od lat, ciągle sobie go lekceważą. A przecież mają już bolesną lekcję – jaką są kredyty frankowe – co się dzieje, jeżeli nie zabezpieczymy zapisów umowy tak, aby zachowywały równowagę między pożyczkodawcą a konsumentem.

W związku z tym, jeżeli istotnie mamy na rynku umowy, które zawierają klauzule niedozwolone...

– A podobno jest ich dużo – wtrącam.

– No więc to jest kwestia dyskusyjna.
– Doktor Kopyściański podnosi do góry palec. – Chodzi mi o to, że klient zawsze będzie twierdził, że coś w umowie jest nieprecyzyjne, a bank będzie się bronił, że wręcz przeciwnie, klient się czepia o przecinki. Rozstrzygać to będzie sąd. Zresztą taka właśnie będzie linia obrony banków, że to jest próba czepiania się o przecinki, bo przecież od dawna było oczywiste, że kancelarie prawne, odszkodowawcze będą wspierać konsumentów, zbijając fortunę kosztem banków. Może tak, może nie, dla mnie to w sumie bez znaczenia. Ja bym chciał, żebyśmy sobie wreszcie uświadomili to, że za błędy w gospodarce rynkowej trzeba płacić. A szczególnie banki, jeżeli popełnią błędy w umowach, muszą płacić. I to nie jest kwestia tylko tego, że teraz jakiś tam kredytobiorca, który ma wadliwy kredyt, na tym skorzysta. Tylko to jest kwestia interesująca nas wszystkich: pana, mnie, kogokolwiek, kto nawet nigdy nie brał kredytu.

– Dlaczego?
– Bo wszyscy trzymamy pieniądze w bankach. I jeżeli takich lub innych błędów one mają na swoim koncie więcej, to za chwilę może się okazać, że staną się niewypłacalne, i wtedy zapłacimy za to wszyscy. Dlatego my naprawdę mamy prawo wymagać od banków, a w razie błędów je karać, żeby je zmotywować do działania całkowicie zgodnego z prawem.

– A co to znaczy „karać banki”?
– W znaczeniu, że jeżeli popełniły błąd i mamy jasne przepisy, które to stwierdzają, to nie możemy tego interpretować na ich korzyść, bo są instytucjami zaufania publicznego.

– No ale paradoks polega tu na tym, że to jest właśnie ta korzyść dla wszystkich, którzy nie są z bankami w sporze, że one nie są karane – mówię, czemu dr Kopyściański z powagą przytakuje, bo jak stwierdza, rzeczywistość tak to niestety jest, choć nie powinno, że koszty bankowych błędów oraz chęciństwa w konsekwencji ponosimy wszyscy.

– Może więc dobrze by było – konsekwentnie rozwijam myśl. – Gdyby za tego typu błędy banków, niezależnie od kwestii odszkodowawczych, odpowiadał ktoś personalnie, na przykład prezes banku?

– Rzecz jasna – mówi dr Kopyściański – często jest tak, że jak mówimy o błędach, karze, to lubimy dociec personalnie, kto jest winien. Rozczaruję tu pana od razu, w tej sprawie, czyli braku umiejętności banków konstruowania prawidłowych, transparentnych umów, nikt personalnie nie jest winien, za tym kryje się pewien mechanizm, z którego banki już chyba coraz bardziej zdają sobie sprawę. A polega on na tym, że te umowy, które oferują banki, powstają we współpracy z kancelariami prawnymi, które obsługują owe banki. A one, przygotowując wzorce umowne dla swoich klientów, mają zwyczaj, aby konstruować zapisy trochę na zasadzie mętnej wody. Chodzi mi tu o to, i to jest, proszę pana, klasyka w biznesie, że zwykłe umowy tworzy się tak, by pozostawić sobie pewne furtki, na wypadek gdyby. Tylko te kancelarie tu zapominają, że w relacji bank – konsument trzeba dbać o równowagę stron. Bo konsument jest tu stroną słabszą, za którą państwo zawsze będzie się ujmować.

Ile jest wadliwych umów?

– Oczywiście – tak dr Tomasz Kopyściański odpowiada na pytanie, czy kiedykolwiek widział wadliwą umowę na kredyt konsumpcyjny. – Ja w ogóle tych umów kredytowych widziałem w liczbach idących w pięć cyfr. Z czego do ponad tysiąca napisałem opinie.

Bo dr Kopyściański jest też biegłym sądowym przy sądzie okręgowym we Wrocławiu, dla którego analizuje kwestie m.in. kredytowe.

– I powiem panu: to jest zadziwiające, bo jak się czyta taką umowę, to fakt, że jej konsument nie rozumie, to jest jakoś zrozumiałe, chociaż właśnie tak być nie powinno. Ale to, że bank konstruuje zapisy, których eksperci zajmujący się od lat finansami, mówię też o sobie, nie rozumiem, to już naprawdę jest słabe. A najgorsze jest to, że często sam

bank nie rozumie swoich zapisów. W sensie – aktualni pracownicy.

A wracając do tych wadliwych umów na kredyt konsumpcyjny, które widział dr Kopyściański, to konkretnych uchybień jest w nich, jak twierdzi, wiele, poza tymi, które już w tym tekście zostały wymienione...

– Klasyczną rzeczą jest to – mówi – że jak zawieramy umowę, to w niej jest wpisane aktualne oprocentowanie, dajmy na to 10 proc. Tylko że ono jest zmienne, bo co i raz NBP zmienia stopy procentowe, co wpływa na oprocentowanie. Ale bank już nie dookreśla, na jakich zasadach ono się u niego zmienia.

Oczywiście ktoś powie: ale gdzie tu jest problem, przecież wiadomo, że jak zmieniają się stopy, to bank zmieni oprocentowanie. No dobra, ale kiedy? Niektóre banki zmieniają oprocentowanie od następnego miesiąca, inne biorą średnią za trzy miesiące itd. W rezultacie faktyczny sposób naliczeń nie odzwierciedla tego, co jest zapisane w umowie.

– A czy te błędy w umowach na kredyt konsumencki widzi pan dopiero teraz, kiedy prawnicy się do tego wzięli, czy też wiedział pan o nich już wcześniej? – pytam i słyszę, że oczywiście dr Kopyściański widział je wcześniej i nie tylko on je widział.

– To dlaczego nikt nie reagował?
– Odpowiem – dr Kopyściański draapie się po policzku. – I będzie to odpowiedź obiektywna, znaczy: bez względu na miejsce, w którym się siedzi. Otóż przez długie



FOT. MATTHIAS KULKA GETTY IMAGES

lata wiedza o tym, że w licznych umowach na kredyt konsumencki są błędy, była znana. Oczywiście, żeby sprawa była jasna, nikt w tym momencie nie jest w stanie odpowiedzieć, bo nikt się temu dokładnie nie przyrzal, czy to dotyczy 50 proc. umów. W mojej ocenie na pewno nie. Myślę, że to jest maksymalnie 15 proc., bo nie demonizujemy, że w każdej umowie jest błąd...

– No ale skoro tych umów jest około 17 mln, to oznacza, że tych wadliwych...
– ...jest około 3 mln.
– Też nieźle, prawda?

– Zdecydowanie. I tu dochodzę do odpowiedzi na pana pytanie: otóż nikt się tym wcześniej specjalnie nie interesował, dlatego że, nawet jeśli ktoś już wiedział, że jego umowa jest wadliwa, a co za tym idzie, może i wygrałby z bankiem, bo SKD zostałoby zastosowane, to jaka tu mogła być korzyść w wymiarze kwotowym? Tak samo jest dzisiaj. Z reguły to jest kilkaset złotych. Bo najczęściej jest tych niewielkich kredytów na telewizor, pralkę. Zresztą nawet jakby to było kilka tysięcy złotych, choć takich kredytów jest zdecydowanie mniej, to wiele to nie zmienia, bo jakby pan zatrudnił kancelarię, to ona i tak wzięłaby od pana więcej. Wielu klientów nie chciało się o to szarpać, bo i po co?

– Nawet jeżeli wiedzieli...
– Tak, że bank ich orznął na kilkaset, a nawet kilka tysięcy złotych.

Żeby to borykanie się z bankiem miało sens, to musimy mówić o kredytach na naprawdę wysokie kwoty, a więc przynajmniej powyżej 100 tys. zł. Ewentualnie, i to jest często nawet ważniejsze kryterium, że ten kredyt mamy na długo. Bo jeżeli on jest roczny, czyli szybko go spłacamy, to odsetki nie zdążą się nam nabić.

– No ale dlaczego teraz jest o to szum?
– Właśnie.
– Jak mówilem wiele negatywnego o bankach, tak trzeba też powiedzieć, że kancelarie teraz wchodzą w skalę masową.

Wcześniej, czyli te pięć, sześć lat temu, jak jeszcze nie wiedziały, że można na jakimś produkcie zrobić masę, to jak przychodził do nich klient i mówił: „Mam tu kredyt na 15 tys. zł, wziąłem go trzy lata temu, w umowie mam wadliwe zapisy, o proszę”, i kancelaria nawet to sprawdzała, nawet się z tym zgadzała, to jak wyliczała, jaki mógłby być zysk, przy jakim nakładzie pracy, to zwyczajnie go miała w nosie.

Ale po doświadczeniach frankowych prawnicy zaczęli myśleć: „Dobra, ta jedna sprawa nie jest opłacalna, ale jak nabędziemy ich kilka tysięcy, to już się robi z tego biznes”.

Z innej strony – mówi dr Kopyściński – trzeba dodać, że banki często perfidnie z tego przez lata korzystały na zasadzie, że czasem nawet miały świadomość, że coś tu jest kontrowersyjne, ale nawet jak ktoś to odkryje, to co nam robi, przecież nie będzie mu się opłacało walczyć o te 100, 200, tysiąc, 2 tysięcy złotych.

– No ale przecież jest też coś takiego jak prawo – wtrącam.

– No właśnie – kiwa głową dr Kopyściński i dodaje, że niezależnie od tego, gdzie dyskusja, jak do tego doszło, nas zaprowadzi, nadzór finansowy, czego nie zrobił w sprawach frankowych, już powinien interweniować. – Bo przecież już wyraźnie wi- dać, że problem jest, pozwy wpływają, i nie

Czytam w niej, że problem z coraz większą liczbą postępowań w kwestii SKD wynika – po pierwsze – ze zbyt szerokiej regulacji prawnej, a – po drugie – z „aktywności firm odszkodowawczych, które instrumentalnie wykorzystują obecną konstrukcję prawną SKD, chcą stworzyć kolejny wehikuł do masowego kwestionowania umów kredytowych”.

Ani słowa o tym, że banki nie trzymały się prawa, które jakkolwiek byłoby kiepskie, to jednak je obowiązuje aż do momentu jego zmiany. Zamiast tego prezes Bialek pisze, że „zarzuty podnoszone przez wyspecjalizowane podmioty są błahe, a często również absurdalne, przez co całkowicie wypaczają sens regulacji, która miała chronić konsumentów (...)”. Zauważa też, że to nie klienci zgłaszają masowo roszczenia z tytułu SKD, ale „firmy odszkodowawcze prowadzą agresywną politykę akwizycyjną, poszukując klientów (...)”. Kierują się przy tym zasadą: daj nam umowę, a my w niej coś znajdziemy!!!”.

W związku z czym, jak informuje prezes Bialek, ZBP 2 lipca 2024 roku w piśmie do Ministerstwa Sprawiedliwości, UOKiK oraz KNF zaproponował zmiany legislacyjne. Główne postulaty to: „Wskazanie, że roszczenie wynikające z art. 45 ustawy o kredycie konsumenckim nie może być przedmiotem swobodnej sprzedaży. Doprecyzowanie, że naruszenie obowiązków informacyj-

– No dobrze, ale co będzie, gdy się okaże, że jednak banki zaczną gremialnie przegrywać w sądach? – pytam, bo w głowie mam to, że banki są krwiobiegiem gospodarki, a tu może dojść do zawału.

– Będzie to skutek porównywalny lub nawet większy do tego, który spowodowały franki – odpowiada Agnieszka Wachnicka. – Dlatego rozmawiamy z naszymi regulatorami o tym, żeby zmienić formułę SKD.

I znów powtarza to, co prezes Bialek zawarł w swoim raporcie, czyli że należy zmniejszyć katalog przewin, za który należy się SKD, zminimalizować skutki naruszeń dla banków.

– Jeżeli klient został wprowadzony w błąd, wskutek czego podjął decyzję, której normalnie by nie podjął, to koszty kredytu powinny zostać istotnie pomniejszone, ale nie do zera – precyzuje.

Argumentem za zmianami jej zdaniem jest to, że kiedy 13 lat temu wprowadzano SKD, realia prawne i gospodarcze były zupełnie inne.

– Firmy pożyczkowe nie były poddane regulacji, w ogóle cały rynek kredytu konsumenckiego był poza nadzorem – mówi. – A dzisiaj jest już inaczej, mamy silną kontrolę ze strony KNF i UOKiK.

Przypomina, że prezes UOKiK bada wzorce umowne umów i jeżeli stwierdzi, że są w nich uchybienia, a przecież wszystkie umowy są zawierane na podstawie

tów za ich ułamkową wartość, np. 5-10 proc., a niekiedy nawet mniej. Które potem pozycją banki, co już naprawdę niewiele ma wspólnego z ochroną konsumentką.

– A z czym, skoro konsument nie ma kompetencji, a też zwykle go nie stać, by samemu się upomnieć o swoje? – pytam.

– Ale on przecież na tym nie zarobi. Sprzedał za 100 zł roszczenie, które wynosi 5 tys. zł.

– Ale to swoje 10 proc. dostanie, plus mniejsze raty, a tak to nie będzie miał nic.

– Ale to 90 proc. powędruje do firmy z zagranicznym kapitałem, które masowo wkraczają na polski rynek.

– A tak 100 proc. weźmie bank. To ja już wolę to pierwsze.

– No jeżeli pan redaktor woli, żeby na polskich konsumentach zarabiała firma z Rosji...

– Czyli to jest kwestia narodowości firmy?

– Nie, różny kapitał tu wchodzi: fundusze z Meksyku, z innych, dosyć egzotycznych lokalizacji...

– Słyszałem, że też z Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych...

– Tak, również. Clou problemu jest takie, że konsumenci, którzy w istocie nie ponieśli szkód w związku z kredytami, są instrumentalnie wykorzystywani przez zagraniczne podmioty, którym chodzi nie o ochronę konsumentów, tylko o robienie biznesu.

Misja

– No i co jest twoją misją? – pytam mecenasa Jachirę, który przez całe nasze spotkanie aż się palił, żeby móc to powiedzieć.

– Przede wszystkim robić to, do czego jako adwokat zostałem powołany. – Uśmiecha się. – Czyli pomagać ludziom, którzy zostali pokrzywdzeni. Gdyby nie nasze środowisko zawodowe, zainspirowane przez takie społeczne inicjatywy jak stowarzyszenie Stop Bankowemu Bezprawiu, frankowiczom nie udałoby się odzyskać pieniędzy z banków. Tymczasem przylepiono nam łatkę ludzi, którzy się na tym...

–...nachapali.

– Właśnie, ale my przecież też ryzykowa- liśmy, żeby to się udało. Mówię to, bo narra- cja niektórych banków w kwestii SKD idzie dziś w stronę, że to wszystko jest nakręca- ne przez prawników, którzy się, no właśnie, nachapali przy frankach i teraz chcą to kontynuować, ale kurczę, to przecież nie my stworzyliśmy te wadliwe umowy. I ja myślę, że tego mleka, które się już rozlało, inaczej posprzątać się nie da niż w sądzie. Bo ciężko byłoby wypracować tu coś, jakąś usta- wę, która miałaby to wyregulować wstecz. Ale można sprawić, żeby w przyszłości to się już nie powtórzyło. I to jest właśnie moja misja: wypracujmy umowę wzorcową, być może w kilku wariantach, w której już nie będzie niedozwolonych klauzul i postanowień. I która będzie przestrzegała praw konsumentów. I niech ona zostanie narzu- cona bankom z góry przez regulatora.

– A jeśli chodzi o te umowy, które już zostały zawarte...

– Wnosząc o historii kredytów franko- wych, najrozsądniej by było jak najszybciej wypracować model ugody. Czyli nie nego- wać rzeczywistość, jak to było w przypadku franków, tylko osiąść do rozmów z klientami i zaproponować im jakiś kompromis. Wciąż jest na to szansa, bo wielu naszych klientów jeszcze nie jest aż tak rozgoryczonych, to nie są frankowicze, którzy przyciśnięci do ściany przez lata musieli walczyć o swoje.

A wracając do mojej misji: oferuję peł- ne wsparcie dla aktualnego ministra spra- wiedliwości, profesora Bodnara, i jego peł- nomocniczki ds. ochrony praw konsumen- tów, dr Anety Wiewiórowskiej-Domagal- skiej, w systemowym rozwiązaniu tego pro- blemu. Co oznacza, że osobiście się polecam i kilku innych pełnomocników z doświadczeniem w podobnych sprawach: panie mi- nistrze i pani pełnomocnik, proszę z nas skorzystać, my naprawdę chętnie się za- angażujemy, bo też, kurczę, zależy nam na tym, żeby nasze dzieci, w ogóle ludzie, mo- gły pożyczać od banku pieniądze zgodnie z prawem i na uczciwych warunkach. ●

Prawnicy już mówią o tysiącach pozwów, ale prawdziwa lawina dopiero ruszy

są to małe liczby.

– A dlaczego nie interweniuje? – Sam chciałbym wiedzieć. Domysł mój jest taki, że stoi za tym zwyczajne instytu- cjonalne lenistwo. Chodzi mi o to, że w Pol- sce niestety często jest tak, że nadzór jest re- aktywny, a nie aktywny. Czyli że interweniu- je się wtedy, kiedy sprawa zaczyna być gło- śna, masowa, a nie tak, że z wyprzedzeniem podejmuje się czynności.

Proszę się nie dać zmanipulować

Jedyne, o co mnie prosi dr Przemysław Barbrich, dyrektor Zespołu Komunikacji i PR Związku Banków Polskich, zanim umówi mnie z kimś od siebie na rozmowę, to abym, zgłębia- jąc temat SKD, nie dał się zmanipulować kan- celariom odszkodowawczym. Bo pod płasz- czykiem SKD mogą chcieć naciągać klientów.

Z kolei Jacek Barszczewski, dyrektor De- partamentu Komunikacji Społecznej KNF, w krótkim mailu pisze: „Nie będziemy ja- ko Urząd KNF szeroko odnosić się do tema- tu sankcji kredytu darmowego. Na potrze- by planowanej przez Pana publikacji mo- gę przekazać poniższy komentarz: »Urząd KNF zwraca uwagę, że sankcja kredytu dar- mowego może być nadużywana, zwłaszcza przez tzw. kancelarie odszkodowawcze sku- pujące od klientów roszczenia o SKD za uła- mek wartości«”.

Cóż za zbieżność ze stanowiskiem Zwią- ku Banków Polskich, odnotowuję po pierw- sze. A po drugie odpisuję, że należy mi się chyba jakieś wyjaśnienie, dlaczego w kwe- stii SKD KNF ma jedynie tyle do powiedze- nia. Na co dostaję odpowiedź, że „nadzór fi- nansowy monitoruje temat SKD, a jednym z dostrzeganych zagadnień jest wspomnia- ne instrumentalne wykorzystywanie tych przepisów przez kancelarie odszkodowaw- cze. Rozwinięcie tego wątku znajdzie Pan m.in. w publicznie dostępnej prezentacji ZBP (...)” – i tu następuje odesłanie do teźże autorstwa dr. Tadeusza Białka, prezesa ZBP.

nych przez kredytodawcę musi mieć nega- tywny wpływ na sytuację finansową kredo- tobiorcy. Ograniczenie katalogu informacji objętych SKD tylko do tych mających istot- ny wpływ na sytuację kredytobiorcy oraz ustalenie proporcjonalnych sankcji w zależ- ności od istotności naruszenia”.

No ale co z tymi umowami, które już poszły do klientów? O tym prezes Bialek w swojej publikacji niestety nie pisze.

Zarobią Rosjanie

Agnieszka Wachnicka, wiceprezeska Zwią- ku Banków Polskich, zapewnia mnie, że ban- ki zdają sobie sprawę z narastającego proble- mu związanego z SKD.

– Natomiast pewnie pan też zauważył – mówi – nieprzypadkową tu zbieżność cza- sową: ustawa o kredycie konsumenckim obowiązuje od 2011 roku, a dotychczas kwe- stia SKD nie była jakoś specjalnie podnoszo- na. Wysycha źródło frankowe, więc kance- larie szukają nowych, łatwych obszarów za- robku.

Zasadniczo powtarza to, co prezes Bialek zawarł w swojej publikacji, w szczególności to, że katalog błędów, za który przysługuje SKD, jest zbyt rozległy i drobiazgowy.

– Łącznie z tym, że pomyłka w adre- sie też jest objęta SKD – mówi Wachnicka. – W ogóle jakkolwiek pomyłka, również ta- ka, co jest już zupełnie absurdalne, która jest na korzyść klienta.

A tak w zasadzie, uważa moja roz- mówczyni, to banki nie robią tu nic złego, w szczególności jeśli chodzi o kwestię kre- dytowania prowizji. Bo to jest problem, który z inicjatywy ZBP został rozstrzygnięty już w 2012 roku przez prezesa UOKiK i banki do tego rozstrzygnięcia się dostosowały.

– Oczywiście nie wiemy, jak ostatecznie będą tu orzekać sądy – zastrzega się Wach- nicka. – Ale z pewnością nie możemy po- wiedzieć, że jest to praktyka niezgodna z prawem.

tych wzorców, to powinien interweniować. A skoro nie interweniuje, to ZBP uznaje, że nie ma przesłanek do SKD.

– I oczywiście nie twierdę – znów za- strzega się wiceprezes Wachnicka. – Że in- cydentalnie nie dochodziło do błędów w umowach. Natomiast z pewnością to się nie działo na masową skalę, nie miało cha- rakteru świadomego i celowego.

Po czym wraca do ulubionego lejtmoty- wu, czyli tego, że wszystko to wina kancela- rii prawnych, które szukają nowego po fran- kach sądowego złota. Na co zwracam jej uwagę, że jest tu jednak pewna istotna róż- nica, a mianowicie to, że w przypadku fran- ków ryzyko było głównie po stronie klien- tów, a tu kancelarie wykładają własne pie- niądze, muszą więc być pewne swoich racji.

Na co słyszę, że zupełnie jej to nie dziwi, bo gdy sankcja sformułowana jest zero-je- dynkowo, sąd właściwie nie ma możliwości, żeby inaczej orzec; jeśli nastąpiła pomyłka, to sankcja się materializuje.

– I dlatego rozmawiamy z regulatora- mi, żeby zmienić prawo, zrationalizować je – tłumaczy. – Bo też zgodnie z dyrektywą unijną sankcja powinna być proporcjonalna, a dziś nie jest. Nie powinno też dochodzić do instrumentalnego jej wykorzystywania.

– Ale na razie nie zostało to zmienione, więc jak rozumiem, trzeba zacząć liczyć, ile będzie kosztować to, co z tytułu naruszeń trzeba będzie zapłacić?

– Na razie liczymy też na to, że sądy będą oddalać sprawy wnoszone na podstawie ce- sji, wskazując, że to cesje naruszają intere- sy konsumentów.

– A jak zaczną masowo przyznawać SKD, słowem: wybuchnie to tak jak franki?

– To będziemy musieli sobie z tym radzić. Ale mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. My po prostu wiemy, że nasi regulatorzy ma- ją świadomość, że SKD jest źle sformułowa- na i instrumentalnie wykorzystywana przez podmioty skupujące roszczenia od klien-

WSZYSTKIE PIENIĄDZE O. RYDZYKA •



Dobiegający dziś osiemdziesiątki ksiądz redemptorysta Tadeusz Rydzyk od młodości miał smykalkę do interesów. Dorabiał się na imporcie niemieckich aut i organizacji pielgrzymek, by z czasem przejść wyłącznie do gromadzenia datków na Dzieło Nowego Tysiąclecia, czyli swoje imperium w Toruniu. Z latami zauważył, że choć „dewocyjne babcie najlepiej się goli z forsy” (cytat z jego współpracownika, ojca redemptorysty Stanisława Kwiatkowskiego), to jeszcze lepiej wyciskać pieniądze z rządów PiS. Politycy tej partii dawali od razu miliony i o nic nie pytali – chcieli być tylko chwaleni w „Naszym Dzienniku”, Radiu Maryja, Telewizji Trwam oraz na hucznych imprezach w Toruniu i Częstochowie.

Pieniądzy przybywało, z czasem zaczęły krążyć o nich legendy, więc mimo przeciwności różne osoby usiłowały zajrzeć do szkatuły Ojca Dyrektora.

Próbował tego przewodniczący Komitetu Ratowania Stoczni Gdańskiej – powołanego przez Radio Maryja – Bolesław Hutyra. Hutyra zginął jednak w wypadku, gdy jechał z Gdańska do Warszawy na spotkanie z ministrem skarbu państwa w rządzie AWS Andrzejem Chładowskim w sprawie zwrotu stoczniowych pieniędzy z konta Radia Maryja.

Próbowała tego bydgoska prokuratura, która wszczęła śledztwo w sprawie unikania opłat celnych przez współpracowników księdza Tadeusza, ale też się poddała. Próbowała Sieć Obywatelska Watchdog Polska, która złożyła wniosek o wgląd w finanse Rydzykowej fundacji Lux Veritatis, ale ugrzęzła w bataliach sądowych z prawnikami ośrodka toruńskiego.

Teraz próbuje tego Prokuratura Regionalna w Rzeszowie, która bada, na co właściwie poszło 218 mln 944 tys. zł dotacji od PiS-owskiego ministra kultury Piotra Glińskiego dla Rydzykowego Muzeum „Pamięć i Tożsamość” im. św. Jana Pawła II.

JEZU, DAJ MI JAKIEŚ ŚRODKI!

„Bardzo ciężko wyciągnąć ludziom pieniądze z portmonetki”

– mówił w 2011 r. dyrektor Radia Maryja.

Mimo trudności jakoś mu się jednak ta sztuka udaje.

Lata 2015-23 były tłuste jak nigdy

Piotr Głuchowski

REPORT CZ.1.



Nie miałem nawet na cukierki

Odwi­dzi­łem ten przy­bytek pa­trio­tyzmu (a za­ra­zem ho­tel dla wy­bra­nych go­ści Ojca Dy­rek­to­ra) w czwar­tek 12 gru­dnia ub.r. Mi­na­łem zam­knię­te na kłód­kę wej­ście do wy­mar­le­go pa­rku Pa­mie­ci Na­ro­do­wej, czy­li pol­skie­go Yad Va­shem, które kosztowało ponad 20 mln zł, po czym prze­kro­czy­łem wej­ście do MPiT im. św. JPiI, by stwier­dzić, że jestem jedynym go­ściem. W do­dat­ku nie miałem czego podziwiać – nie licząc prze­noś­nej wy­stawy foto­gra­mów przed­sta­wia­ją­cych pon­ty­fi­ka­ta Jana Pawła II i wiel­kie­go ki­li­mu z por­tre­tem pol­skie­go pa­pie­ża. Pró­żno szu­kać w mu­zeum słyn­ne­go „mie­cza z czasów Miesz­ka I”, bo nie ma tu żad­nych ek­spo­na­tów.

W pu­stym gmachu sie­dzą ty­lko ochro­nia­rz i pa­ni re­cep­cy­o­nistka ka­su­ją­ca po 10 zł od wcho­dzą­ce­go. Wszak Ojciec Dy­rek­tor czę­sto powtarza na an­te­nie: „liczy się każdy grosz”.

Mo­że dla­te­go, że na po­cząt­ku nie miał żad­nych pie­niądzy.

Nie­ślub­ny syn Bronisława Kordasze­w­skie­go i Sta­ni­slawy Rydz­yk, wdowy po zmar­łym w trak­cie nie­mieckiej oku­pa­cji Fran­ci­s­z­ku Rydz­yku, przyszedł na świat w Ol­ku­szu pięć dni przed za­koń­cze­niem II woj­ny światowej, a wy­cho­wy­wał się w su­te­renie przy­za­kłado­we­go fa­mi­lo­ka na­le­żą­ce­go do Ol­kuskiej Fabryki Nacz­yń Emaliowanych. Tata Bronisław wię­cej się wło­czył, niż za­ra­biał, do tego lubił wy­pić, w ko­ńcu Sta­ni­slawa wyrzu­ciła go za drzwi i dalej sama utrzy­my­wała pię­cio­ro po­tom­stwa: Ma­rię, Sta­ni­slawa, Mi­ro­slawa (dzieci Fran­ci­s­z­ka Rydz­yka) oraz Zy­gmunta i Ta­deu­sza (dzieci Kordasze­w­skie­go). Wszys­cy poza przyszłym Oj­cem Dy­rek­to­rem zostali robotnikami.

On rów­nie­ż miał pra­co­wać w Emalii. Nie dostaw­szy się do liceum, po­szedł do przy­fabrycznej za­wo­dów­ki, ale wy­trzy­mał ledwo kilka mie­się­cy. W roku 1960 za sprawą starsze­go o dwa lata kole­gi, mini­stranta Leszka Gajdy wy­brał ju­wenat, czyli do­stęp­ne dla kan­dy­da­tów bez ma­tu­ry niższe se­mi­na­rium duchowne oj­ców re­dem­p­to­ry­stów w od­leg­łym o nie-

• Spotkanie w Galerii Porczyńskich w Warszawie, na którym ojciec dyrektor Radia Maryja ogłosił kwestę na uratowanie Stoczni Gdańskiej. 25.03.1997 r.

FOT. JACEK PIOTROWSKI/ AGENCJA WYBORCZA.PL

co ponad 100 km od Ol­ku­sza ma­ło­polskim Tucho­wie. Po­tem był drugi mo­na­ster (w Braniewie na Ma­zurach Ta­deu­szowi u­da­ło się z tru­dem zo­bić ma­tu­rę) i wreszcie w 1971 r. po­sa­da ka­techety przy klaszto­rze w Toru­niu.

– Pa­mie­ta­m, że nie miałem nic – wspomni po la­tach Ojciec Dy­rek­tor. – Szafa, biurko i to wystar­czy­ło. Nie miałem pie­niądzy na­wet na to, żeby ku­pić swoim uc­zniom cu­kie­rki. Na nic nie miałem. Mó­wi­łem więc do Je­zu­sa: „Daj mi jakieś środ­ki, żeby­m cho­ciaż mógł dać mini­strantom pil­kę czy zo­rganizować wy­cieczkę”.

I Je­zu­ś­ czasem coś da­wał. 27-letni ka­techeta ku­pił mo­to­cy­kl Jawa – w tamtym czasie marzenie każdego młodzi­er­ca – do tego gitarę i ma­g­ne­to­fon ka­se­to­wy.

– Był po­stę­po­wy tech­nicz­nie i ideowo – wspomina toru­nianin, profesor Andrzej Tyc, w la­tach 70. dzia­ła­cz Klubu In­te­li­gencji Ka­to­lic­kiej, po roku 1989 woje­woda toruński. – Spot­kał się z młodzi­e­żą przy og­ni­sku, grał na tej gitarze, puszczał róż­no­rod­ną mu­zy­kę ch­rze­ści­jańską.

Obrotny pielgrzym

Nie został jednak w Toru­niu (na razie). Jeszcze w la­tach 70. zgromadzenie skierowało go do klasztoru w Szczecinku, a po 1980 r. w Krakowie, gdzie zakon­nik zaczął orga­ni­zo­wać za­graniczne pielgrzymki.

– Wtedy już miał pie­niądze – mówi mi doskonal­e znający Ojca Dy­rek­to­ra re­dem­p­to­ry­sta rówieśnik.

– Orga­ni­zo­wa­nie pielgrzymek, cho­ć­by do Rzymu, da-



• Demon­stra­cja w ob­ro­nie likwidowanej „Kolebki Solidarności” z udziałem szefa Regionu Mazowsze Macieja Janickiego i szefa „S” Mariana Krzaklewskiego. Warszawa, 20.03.1997 r.

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

wało nie­złe do­cho­dy, po­nie­waż w tam­tych czasach trudno było się wy­do­stać na Zachód in­dy­wi­du­al­nie, a z pielgrzymką – łatwiej. W la­tach póź­nej ko­mu­ny lud­zie się cie­szy­li, że mogą po­łą­czyć be­ne­fi­ty duchowe z ma­te­ri­al­nymi: czymś za­han­dlo­wać, coś przy­wieźć. Ufali księdzu, jeśli chod­zi o roz­liczenia.

Mie­dzy 1981 a 1986 r. (czyli rów­nie­ż w stanie wojennym) ojciec Ta­deu­ś­ jeździł z pielgrzymami – a czasem i bez nich – do Ju­go­ślawii, Fran­cji, Włoch, Austrii, Niemiec zachodnich i In­di­i. Miał już wów­czas konto de­wi­zo­we, a na nim prawie ty­siąc do­la­rów. Dziś to kwota nie­wie­lka, lecz wów­czas za 500 zie­lo­nych można było ku­pić mieszkanie.

W jaki sposób po­zy­ski­wał de­wi­zy?

Ksiądz Jerzy Ga­liński, były re­dem­p­to­ry­sta: – Raz w­zi­ą­łem, jak przeszedł się po au­to­bu­sie pełnym pa­tni­ków i ze­brał od ka­ż­de­go po 100 do­la­rów „na cele orga­ni­za­cy­jne”. A po­tem wysiadł i tyle go pielgrzymi widzieli.

Babcie najlepiej się goli, robota przy tym żadna

We wrześniu 1986 r., wracając z kolejnej pielgrzymki do Rzymu, przyszły dyrektor radia wysiadł z autobusu na austriackim parkingu autokarowym, pojechał pociągiem przeszło 400 km do Norymbergi i tam – w parafii poznanego przy okazji wcześniejszych wy­jazdów ewan­ge­lic­kie­go księdza Richarda Staudigela – poprosił o azyl polityczny.

Pro­bo­sz­cz norymberskiej parafii św. Marcina przyjął uciekiniera, lecz go nie utrzymywał.

– Ksiądz Rydz­yk mieszkał przy naszej plebanii około trzech mie­się­cy na koszt własny – mówi ko­ścielny w świątyni St. Martin w Norymberdze Reiner Faupel. – Krótko przed Bo­żym Na­ro­dze­niem 1986 r. pro­bo­sz­cz Staudigel poleciał do generała re­dem­p­to­ry­stów w Rzymie, by spytać, co ma dalej zo­bić z pol­skim re­zy­den­tem. Usłyszał, że nie może go trzymać, bo Rydz­yk to uciekinier ze zgromadzenia. Z tego, co pa­mie­ta­m, przez kolejne mie­sią­ce roku 1987 ojciec

• ZA TYDZIEŃ ► drugi odcinek raportu

W latach późnej komuny lud­zie się cie­szy­li, że mogą po­łą­czyć be­ne­fi­ty duchowe z ma­te­ri­al­nymi: czymś za­han­dlo­wać, coś przy­wieźć. Ufali księdzu, jeśli chod­zi o roz­liczenia

Tadeusz mieszkał w wynajętym pokoju przy Roll­nerstrasse, a jeszcze później – w jakimś mieszkaniu w Süd­stadt [Norymberga Południowa]. Nie wiem, kto za niego czynsz pła­cił, ale nie nasz pro­bo­sz­cz.

Kiedy pie­niądze się skończyły – w po­łowie 1987 r. – zakonnik zbieg po­je­chał do Monachium, by pro­sić o pomoc księ­ży z tam­tej­szej misji ka­to­lic­kiej. Po­tem były liczne zwroty ak­cji: polski pro­win­cj­ał re­dem­p­to­ry­stów ob­ło­żył na­wet Rydz­yka za­ka­zem po­slu­gi, ale sprytny zakonnik nie odebrał sus­pen­sy. W ko­ńcu pro­win­cj­ał Ba­wa­rii za­la­twił mu po­sa­dę ka­pe­la­na u sio­str prowadzących dom dzie­cka w po­da­l­pejskim ku­ror­cie Oberstaufen. I to tam Ta­deu­ś­ Rydz­yk zaczął ro­bić pierwsze poważne in­te­re­sy.

– Orga­ni­zo­wał wy­syłki róż­nych dóbr do Pol­ski – przyzna później siostra prze­ło­żona sierocińca w roz­mo­wie z TVP (dokument Jerzego Mo­ra­wskiego „Imperium ojca Rydz­yka” z 2002 r.). – Wy­sy­łał między in­nymi sa­mo­cho­dy, bo pro­sił mnie o pie­czątkę. Cho­dziło o sprawy celne.

W la­tach 1989-93 polskie cła na używane wozy sprowadzane z krajów ka­pi­ta­li­stycz­nych były tak wy­so­kie, że czasem prze­kra­czały wartość samego au­ta. Istniała jednak luka: zwolnienie z opłat cel­nych podmiotów ko­ściel­nych. Jeśli na umowie kupna-­sprzedaży po­ja­wiła się z jednej strony pie­częć zakon­nic z Oberstaufen, a z drugiej jakiejś polskiej pa­ra­fii – opel albo volkswagen wjeżdżał zwolniony z cła.

– Rydz­yk roz­kre­cił także in­ny bi­z­nes: pielgrzymki do Me­dziu­go­rie – mówi ksiądz Ga­liński. – Któregoś dnia przyjechał do mnie do Monachium nasz współ­brat Sta­ni­slaw Kwiatkowski. Do Niemiec ściąg­nął go Rydz­yk, po­nie­waż Kwiatkowski mówił po niemiecku. Za­trudnił go przy wy­ja­zdach z niemieckimi piel­grzymami. Kwiatkowski siadł u mnie i mówi: „Na­wet nie wiesz, jak to wszyst­ko świetnie gra. Jeźdź sobie, robota jest przy tym żadna, a takie de­wo­cyjne bab­cie naj­le­piej się goli z forsy. Z jednego przy­ja­zdu przywo­zimy wię­cej niż wszy­scy nasi mi­sjona­rze przez rok”.

10 tysięcy franków szwajcarskich od Vassuli Ryden

Niedaleko Oberstaufen leży miejscowość Balder­schwang. W la­tach 80. działało tam ka­to­lic­kie Radio Maria In­te­rna­zionał. Utrzymywało się z dat­ków i po­za modlitwami atakowało imigrantów, niemiecką le­wicę, ruchy emancypacji seksualnej i ideologię New Age. Ojciec ka­pe­lan Rydz­yk, od­wie­dziwszy redakcję, doznał – jak sam później mówił – ilu­mi­na­cji. Po­sta­nowił za­ło­żyć coś takiego w Polsce.

Tylko skąd w­ziąć pie­niądze?

Przyda się poznany w Me­dziu­go­rie człowiek, który ma dojścia do lud­zi na­praw­dę bogatych – były konsul Włoch w Niem­czech An­ge­lo Iwano Pietrobelli. Ten nawrócony ka­to­lik z lewicowej rodziny jeszcze w la­tach 80. od­wie­dzał ZSSR, a po­tem próbował wy­sy­łać Rosjanom egzemplarze Biblii.

Tadeusz Rydz­yk przekonuje go teraz, że naj­lep­szym sposobem ewan­ge­li­za­cji Wschodu nie jest wy­sy­lanie świętych ksiąg – bo ile An­ge­lo Iwano może ich wy­sy­łać ręcznie? Ty­siąc, dziesięć ty­się­cy? Tym­cza­sem radio, które „będzie gło­sić Do­brą Nowinę z Pol­ski na cały świat”, dotrze do milionów.

Pietrobelli łapie przynętę. Kon­tak­tuje re­dem­p­to­ry­stę z grupą bogatych Szwajcarów skupionych wokół ch­rze­ści­jańskiej mistyczki związanej z Cer­kwią pra­wo­ślaw­ną Vassuli Ryden, która w la­tach 80. prze­po­wie­działa m.in. „wskrzeszenie Świę­tej Rosji”. Ryden przeprowadza zbiórkę wśród znajomych i wręcza polskiemu mnichowi 10 ty­się­cy franków szwajcar­skich – kwotę, za którą można w Polsce ku­pić kamie­nicę. Ojciec Dy­rek­tor zdradzi później, że właśnie za te pie­niądze postawił pierwszy maszt Ra­dia Maryja.

Jest rok 1990. Pro­win­cj­a­łem pol­skich re­dem­p­to­ry­stów zostaje stary przy­ja­ciel ojca Rydz­yka z Ol­ku­sza, ksiądz Leszek Gajda. Od­wie­dza współ­bra­ta w Ober­staufen i po roz­mo­wie w ja­dalni sio­str zakon­nych wy­daje ich ka­pe­la­nowi zgodę na „au­to­rskie” radio, które nie będzie własnością zakonu, lecz „osobnym pod­miotem podat­ko­wym” zlo­ka­li­zo­wanym przy znanym księdzu Ta­deu­szowi klasztorze w Toru­niu.

„Dyrektorem Ra­dia Maryja mianuję o. Ta­deu­sza Rydz­yka, który będzie także pełnomocnikiem Pro-

winciała upoważnionym do samodzielnego działania i zaciągania zobowiązań w sprawach dotyczących rozgłośni” – pisze w akcie erekcyjnym ksiądz Gajda.

Ojciec Tadeusz pakuje rzeczy do czerwonego audi i rusza z Bawarii do Torunia.

Akty darowizny

Jak się rodziło radio, nie będę opisywał, rzecz jest powszechnie znana. Po dwóch latach działalności toruńskiej stacji słuchał już prawie milion osób, a Ojciec Dyrektor do wszystkich kierował prośby o pieniądze. Zbierane po parafiach i w rodzących się kołach słuchaczy złotych i dewizy najczęściej wędrowały – bez opodatkowania – z ręki do ręki. Jakie to były kwoty? Rąbka tajemnicy uchyla zdarzenie z roku 1995, gdy bydgoszczanka Stefania Biernacka, wolontariuszka Radia Maryja, zgłosiła na policji kradzież reklamówki z 230 tysiącami marek niemieckich. W tamtym czasie podobna kwota wystarczała na zakup całej pierzei kamienic.

Pieniądze należały nie do bydgoszczanki, ale do ojca Rydzyka, który polecił nabyć za to sprzęt dla stacji. Przesłuchiwana Biernacka zdradziła policji, że już wcześniej woziła walutę do Niemiec, gdzie inny mieszkaniec Bydgoszczy – elektrotechnik Piotr Rozwowski – kupował urządzenia radiowe w firmie Alfred Knitter GmbH. Gdy towar docierał na przejście w Kolbaskowie, importerzy przedstawiali pismo z pieczęcią dyrektora stacji: „Zwracam się z prośbą o zwolnienie z opłat celných sprzętu antenowego przywiezionego z Niemiec, daru dla Radia Maryja od przyjaciół w Szwajcarii. Z góry dziękuję. Szczęść Boże! Bóg zapłać”.

Ponieważ zgodnie z przepisami zwolnione z cla były dary, ale już nie zakupy (zaś Rozwowski sprzęt u Alfreda Knittera kupował), śledczy uznali, że ktoś tu „unika opłat celných przez posługiwanie się fałszywymi aktami darowizny”. Bydgoska prokuratura poprosiła Ojca Dyrektora, by podał „dane personalne osób zajmujących się w Radiu Maryja księgowością”, ale ten odmówił. Nie stawiał się też na przesłuchanie. Nagłośnił za to sprawę na własnej antenie:

– Żeby pograć księdza, propaganda zarzuca najczęściej trzy rzeczy: seks, alkohol, pieniądze. Jest to specjalna manipulacja, w której chodzi o to, żeby ludzi zniechęcić do Radia Maryja. Należałoby zapytać raczej, co skradziono narodowi i co dalej się kradnie. Najgłośniej krzyczy złodziej!

Zbyszta prokuratura umorzyła śledztwo w sprawie cla. A policja w końcu odnalazła rabusia – okazał się nim słuchacz seminarium duchownego i znajomy Biernackiej, Michał W. Większość dewiz roztrwonili, ale na tym etapie rozwoju biznesu ojca Tadeusza nawet strata ćwierci miliona marek nie była już zagrożeniem. Kłopot sprawiła natomiast zbiórka na Stocznę Gdańską.

Na Solidarnych nie wpłacać, lepiej na konto radiowe

Kolebkę „Solidarności” postawił w stan upadłości rząd SLD-PSL (1993-97). Według Radia Maryja był to „kolejny rozbiór Polski”. Z likwidacją nie zgadzało się także stowarzyszenie Solidarni ze Stoczną do którego weszli m.in. inicjator strajku z 1980 r., stocznowiec Jerzy Borowczak, przewodniczący „S” Marian Krzaklewski i prezydent Gdyni Franciszka Cegielska.

Borowczak: – Kiedy dostaliśmy od rządu zgodę na zbiórkę pieniędzy, by ratować zakład, o. Rydzyk polecił, żebyśmy jechali do Torunia. Gdy poinformowaliśmy, już ze studia, że mamy zezwolenie, zabrał nam mikrofon. Zaczął mówić, by na Solidarnych nie wpłacać, lepiej na subkonto radiowe. Kto nie miał wolnych pieniędzy, mógł przysłać do Torunia świadectwo udziałowe Programu Powszechnej Prywatyzacji.

Kwity PPP (jednostki uczestnictwa Narodowych Funduszy Inwestycyjnych) rok wcześniej sprzedano wszystkim chętnym dorosłym Polakom po 20 zł. W roku 1997 ich wartość osiągnęła 160 zł za sztukę.

Ksiądz Tadeusz świadectwa od słuchaczy przyjął, nie zamierzał ich jednak odda-



• „Po Panu Bogu najbardziej kocham Polskę”. Pod tym hasłem w lipcu 2015 roku odbyła się 24. Pielgrzymka Rodzin Radia Maryja na Jasną Górę. FOT. MACIEJ KURON/WYBORCZA.PL

wać Gdańskowi – podobnie jak zebranych na ten sam cel pieniędzy. Założył własny Społeczny Komitet Ratowania Stoczni. Jego prezesem został były kapitan Żegluga Wielkiej Bolesław Hutry, postać w Trójmieście szanowana. Jako żołnierz odmówił w 1970 r. strzelania do robotników. Działal w „Solidarności”, był internowany.

– Ile zebrał toruński komitet? – pytał Borowczak.

– Około 200 mln zł.

Hutry nie chciał się zgodzić na pozostawienie tych pieniędzy u Ojca Dyrektora. Razem z grupą stoczniovców – obecnych i emerytowanych – wystąpił do Rydzyka o zwrot pieniędzy z subkonta. 15 września 2000 r. miał w tej sprawie interwieniować u ministra skarbu Andrzeja Chronowskiego. Niestety zginął w wypadku samochodowym po drodze do Warszawy. Syn Hutry Tomasz wielokrotnie powtarzał, że po tym, gdy ojciec zaczął domagać się zwrotu pieniędzy, „ksiądz Rydzyk go zaszczuł”.

Co się stało z zebranymi 200 mln? Zasiliły Dzieło Nowego Tysiąclecia, a część została utracona na giełdzie przez ojca Jana Króla, ekonoma Radia Maryja i najbliższego współpracownika dyrektora stacji.

Ta sprawa również była opisywana, zatem jak najkrócej: ksiądz Jan zlecił biurowi maklerskiemu Eastbrokers zamianę nadesłanych świadectw udziałowych PPP/NFI na akcje, którymi można będzie obracać na giełdzie. Pracownik biura, z którym rozmawiałem 20 lat temu, wspominał, że na niektórych świadectwach widniały jeszcze ręczne dopiski: „dar dla Radia Maryja”.

Spośród akcji dostępnych na GPW ojciec Król wybrał szczecińską spółkę ESPEBEPE. Firma budowała m.in. most autostradowy na Wiśle pod Toruniem i miejski szpital dziecięcy. Być może ojcowie Rydzyk z Królem na widok wielkich budow uznali, że to musi być mocne przedsiębiorstwo. W 2001 r. ekonom RM był już właścicielem jednej trzeciej firmy. I wtedy cena akcji spadła 30-krotnie, ESPEBEPE wypadło z giełdy, sąd ogłosił upadłość zakładu. Kasa ze świadectw darów ostatecznie przepadła, choć jak się okaże – niecała.

Wyjdzie to na jaw dopiero w roku 2015, gdy ktoś wybierze 0,5 mln z rachunku inwestycyjnego Radia Maryja w biurze maklerskim Banku BGŻ. Oszust zadzwoni do biura, korzystając z syntezy mowy, poda się za pełnomocnika szefa rozgłośni, wyrecytuje hasła dostępu, a potem zleci kupno akcji mało znanej i groszowo wycenianej spółki należącej do pary małżonków – Janusza i Aliny B.

Gdy informację o przeprowadzonym w białych rękawiczkach rabunku poda Radio RMF, zakonnicy wydadzą oświadczenie: „Konto, o którym mowa, to rachunek gdzie były zdeponowane świadectwa udziałowe NFI подарowane przez słuchaczy, które zgodnie z obowiązującymi przepisami zostały później zamienione na akcje”.

Najhojniejszymi sponsorami Radia Maryja są Polonusi z USA, Kanady i Australii. Ojciec Dyrektor często lata do nich po datki osobiście, lecz nigdy nie zdradza, ile przywiózł. Woli mówić o kosztach stacji

Rodzą się pytania: skoro kwity PPP/NFI zamieniono na akcje ESPEBEPE, skąd się wzięła gotówka na koncie?

Czyżby po upadku szczecińskiej firmy ojciec Król dalej grał na giełdzie pieniędzmi słuchaczy? Czy ksiądz Rydzyk wiedział? Czy skradzione 0,5 mln było resztką po dawnej giełdowej wtopie, czy to inne pieniądze? I czyje?

Odpowiedzi brak, bo jak dotąd żaden dziennikarz w Polsce nie zdołał ustalić: ile Ojciec Dyrektor zebrał „na Stocznę”, ile z tego przepadło, a ile zostało w Toruniu?

Udało się natomiast zidentyfikować osobę, która użyła syntezy mowy, by dokonać kradzieży przez telefon. Jak się okazało, był nią luźno związany z ośrodkiem toruńskim Janusz B., który w ten sposób sprzedał redemptorystom – bez ich wiedzy – swą podupadłą spółkę.

Cieżko ludziom wyciągnąć pieniądze z portmonetki

Zwolennicy Ojca Dyrektora często powtarzają, że jest niegodziwością wypominać mu, ile na czym zarobił, ponieważ nie są to jego prywatne pieniądze, lecz środki Kościoła. Nieprawda. Znakomita większość aktywów Dzieła Nowego Tysiąclecia należy do osób fizycznych skupionych w fundacjach założonych przez księdza Tadeusza jeszcze w latach 90.

Przykładowo: prywatna szkoła średnia i księgarnia wysyłkowa w Szczecinku oraz miesięcznik „W Naszej Rodzinie” należą do fundacji Nasza Przyszłość, której prezesem jest pracownik Radia Maryja, redemptorysta Grzegorz Moj.

Telewizja Trwam, Akademia Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu oraz pobliski odwiert geotermalny z ciepłownią należą z kolei do fundacji Lux Veritatis będącej własnością trzech osób – Tadeusza Rydzyka (beneficjent rzeczywisty), Jana Króla i ich księgowej Lidii Kochanowicz-Mańk.

Ogólnopolska gazeta „Nasz Dziennik” należy do spółki Spes, którą tworzą dwie osoby świeckie – Marcin Nowina-Konopka i jego żona Ewa (właścicielka Spes).

Telefonia komórkowa w Rodzinie należy w większości do spółki Bonum ojca Jana

Króla, która zajmuje się także produkcją telewizyjną na rzecz TV Trwam.

Z pozostałymi „dziełami wyrosłymi przy Radiu Maryja” – w tym fundacją Servire Veritatis wydającą kwartalnik „Cywilizacja” – sytuacja wygląda podobnie. Do Kościoła nie należy tu nic.

– Wszystko jest tak skonstruowane, że bez ojca Rydzyka nie zadziała – tłumaczy ks. Kazimierz Sowa, były dyrektor kanału Religia.tv i duszpasterz stołecznych środowisk twórczych. – Wszędzie tam, gdzie ojciec Rydzyk jest fundatorem, istnieją zapisy statutowe, które czynią go nieusuwalnym – jak w Lux Veritatis. W innych przypadkach umieścił w fundacjach ludzi gotowych za nim iść w ogień. Nie podlegają władzom kościelnym, nie poddają się żadnej kontroli, gwarantują też to, że gdyby ktoś nagle zapragnął ojca Rydzyka usunąć, to może się następnego dnia obudzić z problemem nie do rozwiązania. Organizacyjno-finansowym albo technicznym. I jakieś dzieło przestaje funkcjonować, bo coś, co wydawało się, że należy do Radia Maryja, powiedzmy jakieś studio, tak naprawdę należy do fundacji Nasza Przyszłość. Albo coś, co miało być własnością redemptorystów, należy do Lux Veritatis. Obie fundacje są nicią przeplecioną przez wszystkie dzieła księdza Tadeusza.

Największym z dzieł pozostaje oczywiście Radio Maryja, które nominalnie utrzymuje się z datków od słuchaczy w Polsce i za granicą. Wzorem radia z Balderschwangu toruński sekretariat stacji stworzył komputerową bazę wszystkich osób, które wpłaciły pieniądze. Zawiera imiona, nazwiska, adresy, kwoty i daty wpływu na konto stacji.

Podczas największych uroczystości – pielgrzymek Radia Maryja na Jasną Górę i urodzin stacji w Toruniu – redemptoryści często apelują, aby gotówkę przekazywać tylko w podpisanych kopertach. W efekcie każdy, kto ofiarowuje 10 i więcej złotych, co miesiąc dostaje listowne podziękowania. Ci, którzy podają adres e-mailowy, odbierają wyrazy wdzięczności przez internet.

– To jest też jedna z form kontroli, czy ofiary dochodzą – mówił przed laty ksiądz Rydzyk.

Dzięki niej udało się ustalić dane kolejnego oszusta.

Mężczyzna pojawiał się pod koniec lat 90. w różnych polskich miastach – a także w skupiskach Polonii na Zachodzie – i utrzymywał, że zbiera na rozgłos. Zde-maskowała go zakonnica, która wpłacała pieniądze za jego pośrednictwem, ale dopiero gdy sama przelała ofiarę na konto stacji, dostała podziękowania. Co wzbudziło jej słuszne podejrzenia.

Najhojniejszymi sponsorami radia są Polonusi z USA, Kanady i Australii. Ojciec Dyrektor często lata do nich po datki osobiście, lecz nigdy nie zdradza, ile przywiózł. Woli mówić o kosztach stacji. Te w roku 1998 wyniosły 14 mln zł, w tym 2,3 mln opłaty za częstotliwości zagraniczne i 800 tys. za krajowe, dalej 855 tys. za dzierżawę łączu satelitarnych plus 836 tys. opłat stałych. Reszta (prawie 10 mln) to koszty osobowe łącznie z podróżami.

25 lat później (w 2023 r.) Ojciec Dyrektor podsumował na antenie łączny koszt utrzymania radia, telewizji i radiomaryjnych stron internetowych – tym razem określił swe wydatki na „około 60 mln rocznie”.

– Z utrzymaniem Radia Maryja jest tak jak z naszymi rodzinami – opowiadał przy innej okazji. – Starcza zaledwie do pierwszego (...). Media głównego nurtu mają ogromne pieniądze, niektóre nawet po 3 mld rocznie! Radio Maryja ma te kilka milionów z tego, co nam dajecie. Na Jasnej Górze, gdy spotykamy się w lipcu, są różne pieniądze: i 5 zł, i 2 zł, i 10, i 20 – rzadko jakieś większe. Pielgrzymów jest na placu dużo, są setki tysięcy, a wszystkich ofiarodawców naliczyliśmy zaledwie 26 tys... Możemy powiedzieć sobie: tam są ludzie najbardziej gorliwi, czujący Kościół, ojczyznę. Ale żeby złożyć ofiarę... niestety nie wszyscy. Słuchaczy mamy miliony, ofiarodawców – raptem dziesiątki tysięcy. Bardzo ciężko ludziom wyciągnąć pieniądze z portmonetki... ●

Dynamika

Nie tylko sformułowanie „polityka międzynarodowa” jest w niedawnej wypowiedzi Karola Nawrockiego mało stosowne, ale przede wszystkim określenie „bardzo dynamiczna”.



Michał Rusinek

W 1983 roku na ekrany kin wszedł film Johna Landisa „Trading Places”, którego tytuł dość niefortunnie został przetłumaczony jako „Nieoczekiwana zmiana miejsc”, bo chodzi nie o zmianę, a o zamianę, nie mówiąc już o kompletnie zagubionej grze słów związanej z handlem. Tak czy owak, dwaj bracia Duke’owie, zamożni potentaci rynkowi, zakładają się o to, czy środowisko społeczne ma wpływ na jednostkę. Jednego z pracowników wrabiają w defraudację i działalność przestępczą, przez co trafia on do społecznych nizin, natomiast lokalnego żebraka zatrudniają na jego miejscu.

Film jest dość lekką komedią, był bardzo popularny (także w Polsce), ale i doczekał się wielu interpretacji socjologicznych i filozoficznych, bo można w nim znaleźć echa teorii Marksa czy Althussera. A także dostrzec literacki motyw znany chociażby z powieści Marka Twaina „Księżę i żebrak” oraz jeden z wyznaczników komizmu sytuacji (zamiannę ról). Śmieszy nas, a w każdym razie dziwi, jeśli ktoś się zachowuje inaczej niż sądzimy, że zachować się powinien; gdy wychodzi poza swoją rolę, a szczególnie kiedy zamienia się rolami z kimś innym. Także w sensie językowym.

Rolę gra się dobrze, jeśli się w nią wejdzie i jeśli oprócz zachowań przyjmie się adekwatny do niej język. Wygląda na to, że zachowań nauczyć się łatwiej niż języka. Jeśli zostanie komuś na przykład narzucona rola obywatelskiego kandydata na prezydenta popieranego przez PiS, to powinien on mówić językiem „dobrej zmiany”, a więc posługiwać się takimi określaniami, jak „ideologia gender”, „ideologia LGBT”, „zmiana płci”, „lewactwo”, „seksualizacja dzieci” i „pornografia”. To jest stosunkowo proste.

Jeśli natomiast pojawiają się wobec kogoś takiego zarzuty, że wykorzystywał do prywatnych celów apartament w Muzeum II Wojny Światowej, wówczas może zasłonić się jakąś poważną i istotną z punktu widzenia polskiej racji stanu oraz dobra wszystkich obywateli funkcją, bynajmniej nie prywatną. Tymczasem nasz kandydat przyznał, że korzystał z rzeczzonego apartamentu, ale po to, by prowadzić w nim „bardzo dynamiczną politykę międzynarodową”.

Prowadzenie polityki międzynarodowej brzmi godnie. Nawet nieco zbyt godnie i patetycznie, bo o wiele bardziej przekonujące byłoby stwierdzenie, że odbywał tam rozmowy z zagranicznymi gośćmi. Politykę międzynarodową w zasadzie prowadzą ministrowie spraw zagranicznych i prezydenci, a nie dyrektorzy muzeów, którzy jeszcze nie zostali nawet kandydatami na prezydenta. Być może jednak kiedy ktoś zostaje takim kandydatem, to musi sobie – i nam – wmówić, że właściwie całe życie przygotowywał się do tej roli, że właściwie był prezydentem od urodzenia.

Nie tylko „polityka międzynarodowa” jest jednak w tym stwierdzeniu mało sto-

sowna, ale przede wszystkim określenie „bardzo dynamiczna”. Przymiotnik „dynamiczny” oznacza ruchliwy, prężny, żywiołowy lub powstający na skutek działania sił. W przypadku polityki jest to więc metafora, ale co właściwie opisująca? Jakie ruchy, siły czy żywioły? Gdyby kandydat na prezydenta uznał, że przymiotnik jest mu potrzebny, by śmiertelnie zawstydzić niedowiarków, mógł posłużyć się choćby słowem „intensywna” lub określeniem „szeroko zakrojona”. To także metafory, ale bardziej zleksykalizowane i – w przeciwieństwie do zdumiewającej i komicznej „dynamicznej polityki międzynarodowej” – pozostawiające nas w sferze abstrakcji i metafizyki, a nie kierujące naszą niezdrową wyobraźnię ku fizycznej dynamice ciał w przestrzeni. W dodatku w wymiarze międzynarodowym.

Pozostaniemy w sferze dynamiki, acz tym razem w wymiarze historycznym, bo między historykami. I wróćmy do kwestii zamiany ról. Na niedawnym spotkaniu wspomnianego kandydata na prezydenta z wyborcami w Ciechanowie, ks. dziekan Jan Józwiak, proboszcz lokalnej parafii, zwrócił się do Karola Nawrockiego następującymi słowami: „Co do pana ma profesor Dudek? Radzę panu, żeby pan mu prawy prosty albo lewy wymierzył, jak go pan spotka”, po czym dodał coś nieartykułowanego o Terlikowskim i kazał obywatelskiemu kandydatowi na prezydenta wspieranemu przez PiS bronić „życia i dzieci”, a wtedy wygra na pewno. Słyszając te słowa doktor Nawrocki uśmiechnął się z wdzięcznością i powiedział: „Bóg zapłać, księżu dziekanie. Dziękuję za te słowa i za to wsparcie. Bóg zapłać”.

Pomijając fantazjowanie o nokautowaniu osoby o wyższym stopniu naukowym (profesor) przez osobę o stopniu niższym (doktor) jako przypuszczalną realizację kompleksu Edypa i odreagowanie traum uniwersyteckich, zwróćmy uwagę na dwie kwestie językowe.

Po pierwsze, ks. Józwiak posłużył się czasownikiem „wymierzać”, który rzadko łączy się z „prostym” czy „sierpowym”, a częściej z „policzkiem”, a tym samym z Ewangelią według św. Mateusza (5, 39), a ściślej: Kazaniem na Górze: „Jeśli cię kto uderzy w prawy policzek, nadstaw mu i drugi!” (w przekładzie protestanckim Piotra Zaremby wers ten brzmi: „Temu, kto ci wymierzy prawy policzek, nadstaw również lewy”). Można więc powiedzieć, że było to połączenie języka biblijnego z językiem komentatorów sportowych. Przy czym nawet bez szczególnego obycia w kwestiach teologicznych zauważyć można sprzeczność między słowami Jezusa a słowami kapłana.

Po drugie, nastąpiła tutaj zdumiewająca i komiczna zamiana ról: duchowny mówił językiem bokserkim i zachęcał do walki (bo przecież nie do przemocy, prawda?) kandydata na prezydenta – który sam uprawia boks. Nawrocki natomiast posłużył się de facto językiem kościelnym.

Ksiądz mówi jak bokser, a bokser mówi jak ksiądz. Czy to oznacza, że chcieliby zamienić się miejscami? Czy opresyjne społeczeństwo narzuciło im rolę, w których czują się niekomfortowo? Jeden marzy o tym, by być bokserem, a drugi – by zostać księdzem. Zmuszając się do nadludzkiej empatii pewnie byłibyśmy w stanie wyobrazić sobie ich dyskomfort i może nawet pozwolilibyśmy im się zamienić. Jeśli wśród czytelników tego felietonu są filmowcy, to nie nachalnie podpowiadam pomysł: jeśli nie na sequel, to przynajmniej na rodzimą wersję „Nieoczekiwanej zmiany miejsc” – którą, by dodać jej pikanterii, powinna być też „dynamiczna”. ●

Propaństwowość autoerotyczna



Musimy być naprawdę zdegenerowanym obywatelsko społeczeństwem, jeśli zachowanie Ziobry choćby niektórym wydaje się normalne.

Marcin Matczak

Chyba najgorszą cechą rządów PiS była ich bezczelność. Ciągłe powtarzanie, że „nie ma świętych krów”, przez ludzi, którzy sami uważali się za święte byki. Środek pandemii, zamknięte cmentarze, a tu podjeżdża limuzyna Kaczyńskiego i otwiera się zaryglowana dla wszystkich brama, bo jego ból jest większy niż twój, jego żaloba jest nadzwyczajna i wymaga specjalnej troski.

Dzisiaj ta bezczelność powraca z Ziobrą. Musimy być naprawdę zdegenerowanym obywatelsko społeczeństwem, jeśli jego zachowanie choćby niektórym wydaje się normalne. Te lata zaborów i komunizmu wyżyły w naszych duszach wielką dziurę – nie mamy w środku zrozumienia dla autorytetu państwa, bo od kiedy pamiętamy, było ono nam wrogiem. Zawsze trzeba było je oszukiwać, zawsze w dobrym tonie było być przeciw.

Oglądamy więc serial „Zbyszek przeciw komisji”, jakbyśmy oglądali na przykład „Co mi zrobisz, jak mnie złapiesz?,” w którym ludzie kibicują przestępcy uciekającemu przed władzą. Spryt u nas zawsze w cenie, kombinowanie naszą narodową cechą. W tym sensie pan Zbyszek jest arcykowski.

Im dłużej jednak oglądać będziemy życie publiczne z popcornem w rękę, zadowoleni, że coś się dzieje, tym dłużej zamiast potęgi będziemy mieli tu nad Wisłą republikę bananową. W tej ostatniej historii Ziobry jest moment, który mrozi krew w żyłach: gdy ten człowiek lekkim głosem tłumaczy, że wprawdzie ma cały arsenał broni, ale jak policja po niego przyjdzie, nie będzie go używać, choć „dalby radę” się obronić.

Ta wypowiedź jasno pokazuje, że Ziobro jest na wojnie z państwem polskim, czyli z nami wszystkimi – bo zgodnie z art. 1 Konstytucji Rzeczpospolita Polska to dobro wspólne wszystkich obywateli. Facet zamieszany w aferę, w której rząd potraktował swoich własnych obywateli jak terrorystów, jasno oświadcza, że gdyby chciał, sterroryzowałby albo zastrzelił policjantów.

I zasadniczo przechodzi to gładko – a wielu chętniej po tej wypowiedzi na takiego kozaka zgłaszuje. Walka prawicy o niepodległość trwa: demokratycznie wybrana władza jest wrogiem, którego trzeba unicestwić. Trzeba publicznie kpić z policji, która wpada w psychologiczną pułapkę: albo będzie czekać na pana Zbyszka, który udziela wywiadu, i zostanie pokazana przez TV Republika jak banda frajerów, albo zareaguje ostrzej i zostanie oskarżona o brutalność. Ciekawe, co zrobi następnym razem.

Ale o to przecież w tym wszystkim chodzi – żeby sprowokować wojenkę, żeby grać albo szeryfa, albo męczennika, a jedynym efektem tego wszystkiego jest osłabianie państwa. Ostatecznie największymi frajerami okazują się ludzie, którzy głosowali na Zjednoczoną Prawicę jako na ugrupowanie, które jest jakoby propaństwowe.

A to ugrupowanie szanuje państwo tylko wtedy, gdy samo jest państwem. Jego propaństwowość jest więc autoerotyczna.

Przestrzegają tylko takich praw, które sami uchwalili, wierzą tylko w takiego boga, który ich grzechy uzna za najwyższe cnoty.

Jakiś skarżypyta pisze do Elona Muska na platformie X, że policja w prywatnej stacji telewizyjnej chce zakuć w kajdanki lidera opozycji. „To przecież prawda”, mówią. Współczesna propaganda nie polega na kłamstwie, bo ono jest zbyt ordynarne. Polega na tym, jak pisał Noam Chomsky, żeby zawęzić pole dyskusji i w jego ramach rozbudzić wielkie emocje.

Propaganda smoleńska pomijała pytanie, dlaczego Lech Kaczyński nie kazał zawracać – dyskutowała to, że Polska oddała śledztwo Rosji. Nie chciała rozmawiać o tym, co zostało ustalone – dyskutowała to, co do czego były wątpliwości. Zawężyła pole dyskusji – „na tym się skup”, mówiła, i nie wychodzi poza granice.

Podobnie zawężyła pole dyskusji propaganda pegasusowa. „Policja atakuje lidera opozycji!”. Nie dyskutuje, dlaczego PiS zaatakował własnych obywateli i potraktował dziennikarzy, prawników i polityków opozycji jak terrorystów. Bo w świecie PiS, w którym białe jest czarne, kat jest ofiarą, a ofiara katem.

Ludzie analizują sekwencję czasową wejścia Ziobry do Sejmu i badają, czy wniosek o areszt przegłosowano, kiedy już czekał, czy nie. Dyskusja skupia się na sześciu minutach. Rzucamy snop światła na ten moment, reszta nas nie obchodzi. Ziobro, który od miesięcy kpi sobie z państwa, czyli z nas wszystkich, jest teraz poszkodowany.

Pojawiają się chwytliwe metafory – że gdyby zaproszono go do programu telewizyjnego i spóźniłby się, wypadałoby na niego zaczekać. Oczywiście! Bo komisja śledcza to nie organ państwa, które zasługuje na szacunek, ale doskonale miejsce na kolejny telewizyjny występ.

Ziobro wytłumaczyłby pewnie dziewczynie, że mimo czterokrotnego niepojawienia się na randce za piątym razem, gdy on udziela wywiadu w telewizji w godzinie, w której się umówili, jej psim obowiązkiem jest wiernie czekać. Ktoś by pomyślał, że dziewczyna się nie szanuje – ale nie ci zachwyceni bezczelnością swojego lidera.

Ziobro mógłby być studentem, który temu profesorowi cztery razy wyznaczał termin, a który nie przyszedł piąty raz, bo brylował w tym czasie w mediach. Wtedy zrobiłby profesorowi dyscyplinarkę, że ten na niego nie poczekał. Albo uznałby, że wygrał egzamin, bo profesor się go wystraszył.

Według Zjednoczonej Prawicy państwo i prawo zasługują na szacunek tylko wtedy, gdy jest całkowicie ich. Tylko takie przepisy pandemiczne mają sens, które nie stosują się do Kaczyńskiego, tylko takie wyroki sądowe wiążą, które są po ich myśli – a gdy jest inaczej, Ziobro znowu, jak to robił wiele razy, po prostu zacznie grozić sędzi, która kazała go doprowadzić do Sejmu.

Bo Ziobro, jak Kaczyński, gardzi polskim państwem i zasadami, które wspólnie ustaliliśmy. Nie potrafi żyć w demokracji, chce być jedynowładcą, panować nad nami, mówiąc: „Państwo to ja!”.

Tacy ludzie, gdy mają władzę, atakują swoich obywateli arsenałem publicznym, na przykład Pegasusem. A kiedy ją tracą, grożą użyciem arsenału prywatnego. I w jednym, i w drugim przypadku zwalczają Polskę. Bo jeśli państwo i prawo nie należą do Zjednoczonej Prawicy, trzeba wypowiedzieć im wojnę. I jest to wojna w ścisłym sensie tego słowa domowa. ●

CZY NADCHODZI NOWY SOLORZ

Do rywalizacji o zakup stacji TVN stanęło czterech oferentów. W tym najbogatszy Polak.

Dominika Wielowieyska

Przyszłość stacji budzi emocje w świecie biznesu i polityki. Latem 2024 roku dziennik „Financial Times” poinformował, że Warner Bros. Discovery chce sprzedać polską stację, bo ma problemy finansowe i liczy na poprawę wyników grupy. Aktywa polskiej telewizji, według Bloomberga, warte są ok. 1,2 mld dol., czyli ok. 5 mld zł.

Gdy pod koniec zeszłego roku Warner Bros. wynajął JP Morgan do przygotowania tej transakcji, emocje sięgnęły zenitu. Były szef Orlenu europoseł PiS Daniel Obajtek sugerował, że za chwilę będzie prezesem stacji. Pojawiły się nieoficjalne informacje, że do tego wyścigu stanie biznesmen z kręgu Viktora Orbána – József Vida. I pod Vidę chciał się podczepić PiS i Obajtek, który dosłownie przed chwilą zrobił interes z węgierskim, państwowym koncernem MOL, sprzedając mu aktywa Lotosu. I relacje z otoczeniem Orbána ma świetne.

Także w grudniu zeszłego roku pojawiła się informacja, że kupnem TVN interesuje się najbogatsza Czeszka Renata Kellnerova i jej grupa PPF, która jest współwłaścicielem InPostu, stworzonego przez Rafała Brzozkę. Kellnerova kontroluje niecałe 30 proc. firmy. Brzozka – ponad 12 proc.

Do końca stycznia zaproszeni inwestorzy mieli składać wstępne, niewiążące oferty i ostatecznie tylko trzech graczy się na to zdecydowało, ale nie ma wśród nich ani Vidy ani Kellnerovej. Zresztą już na początku listopada zeszłego roku bliski współpracownik nieżyjącego już Petra Kellnera, obecnie prezes PPF Jirí Šmějce w rozmowie z Reutersem zaprzeczył, że planuje kupno TVN. Także Brzozka powiedział Bloombergowi, że nie zamierza angażować w tę transakcję.

Potencjalnych nabywców mogła zniechęcić zeszłoroczna zapowiedź premiera Donalda Tuska wpisania TVN-u i Polsatu na listę firm, które są pod ochroną państwa polskiego i na ich przejęcie musi się zgodzić rząd.

– Chcę potwierdzić te plotki czy pogłoski o tym, że na Wschodzie odnajdujemy zainteresowanych ewentualnym przejęciem mediów albo wpływaniem na pracę mediów w Polsce. Ta sprawa jest bardzo poważna – mówił premier.

Z rozporządzenia rządowego wynika, że Warner Bros. będzie musiał zawiadomić ministra aktywów państwowych o zamiarze sprzedaży i o nabywcy, a rząd prze-

analizuje akcjonariat potencjalnego nowego właściciela. Ma to zapobiec wstąpieniu tylnymi drzwiami na polski rynek medialny kapitału rosyjskiego czy chińskiego. Tymczasem Departament Stan USA stwierdził, że planowany przez polski rząd środek ochronny „nie może być nadużywany do wewnętrznych celów politycznych”.

Koniec końców Węgrów i Czechów wśród oferentów nie ma, być może nie mieli ochoty na to, aby rząd polski prześwieślał ich biznesowe powiązania.

Czterech poważnych oferentów

Kapitał tych, którzy złożyli oferty zakupu stacji, nie budzi wątpliwości. Z moich informacji, wynika, że oferty są cztery. Pierwszą złożył najbogatszy Polak, miliarder Michał Solowow, potentat w branży wyposażenia wnętrz, a także chemicznej i energetycznej. Drugą – konsorcjum kilkunastu polskich inwestorów, którym twarz daje Wirtualna Polska. Trzecią – Pier Silvio Berlusconi i jego koncern medialny MFE-MediaForEurope. Berlusconi inwestuje w telewizję i radio w całej Europie m.in. w Niemczech. Czwartym oferentem jest grecki medialny koncern Antenna Group (telewizja, radio, usługi cyfrowe, edukacyjne, telekomunikacja), należący do Theodore M. Kyriakou.

Warner Bros. może teraz zdecydować, z kim rozpocznie negocjacje. Współpracownicy Solowowa liczą, że zostanie on wybrany na zasadzie wyłączności.

Konsorcjum kilkunastu inwestorów, któremu szyld zapewnia Wirtualna Polska (jej rzecznik nie potwierdza, ani nie zaprzecza tej informacji, nie ujawniono także nazwisk inwestorów), powstało na zasadzie pospolitego ruszenia. – Jest oczywiste, że WP nie dysponuje tak dużymi pieniędzmi, by sprostać takiej transakcji – podkreśla jeden z moich rozmówców.

W zeszłym roku w organizacjach biznesowych i kręgach inwestorskich mówiono, że stacja telewizyjna powinna wrócić do polskich właścicieli. Rozesłano więc, odbyto rozmowy w kręgu najbogatszych Polaków. Nie wszyscy chcieli przystąpić do przedsięwzięcia. Z różnych powodów: jedni planowali właśnie działania związane z akwizycją nowych spółek ze swojej branży. Inni mieli wątpliwości czy jest sens inwestować w telewizję, bo to biznes – w związku z popularnością streamingu – schodzący. Ale ostatecznie konsorcjum powstało.

– Także dlatego, że znalazły się fundusze inwestycyjne, które uważają, że telewizji nie należy jeszcze chować do grobu i warto w nią inwestować, tym bardziej że każda stacja może rozwijać swój segment



streamingu – mówi jeden z moich rozmówców.

Od innych usłyszałam, że w organizacji tego przedsięwzięcia pomagał Brzozka, bo idea była mu bliska. – Ale ostatecznie to Kellnerowa mu doradziła, by formalnie stał z boku – słyszę z moich źródeł.

W ostatnim wywiadzie Brzozki dla „Wyborczej” można przeczytać następującą wymianę zdań.

„Sebastian Ogórek: Krążą informacje, że chcesz kupić TVN.

Rafał Brzozka: – Dziś skupiam się na prowadzeniu swojego biznesu – 100 proc. czasu poświęcam na InPost. To, co mówisz, to tylko plotki.

Poważni ludzie mówili, że rozmawiałem w tej sprawie z innymi najbogatszymi Polakami. Na przykład Pawłem Marchewką z Techlandu czy Jerzym Starakiem z Polpharmy.

– To od razu prostuję: z Pawłem rozmawiałem ostatnio jakiś rok temu. Z Jurkiem na tematy zupełnie inne – pół roku temu.

To może rozmowy były jeszcze z czeskim funduszem PPF, który ma udział w InPost. On także jest w grze o TVN.

– Nie jestem ani we władzach, ani strukturach tego funduszu. Odsyłam bezpośrednio do niego w tej sprawie.

(...)

– Stawiam dobrą butelkę wina, że ta telewizja nie zostanie sprzedana w najbliższej przyszłości – takie jest moje odczucie. Koncern Warner Bros/Discovery wychodzi bardzo powoli, ale na prostą i ma coraz lepsze wyniki z każdym kwartałem. Dużo będziemy dyskutować, a finalnie może być tak, że teraz do żadnej transakcji nie dojdzie.

Widzę, że zaskakująco dobrze znasz wyniki finansowe właściciela TVN, jak na kogoś, kto nie chce tej spółki kupować.

– Bez komentarza (śmiejch)”.

Gwoli uzupełnienia: z moich informacji wynika, że w konsorcjum nie ma Jerzego Staraka. Scenariusz, jaki kreśli Brzozka, jest możliwy. Jeśli Warner Bros. nie wynegocjuje interesującej ceny, wycofa się z całej operacji. Takie przeświadczenie panuje we władzach stacji.

Współpracownicy premiera Tuska przyglądają się sytuacji. Z ich punktu widzenia, a także interesów samej stacji jako miejsca pracy dziennikarzy, lepszym wyjściem byłby wybór konsorcjum, które siłą rzeczy – ze względu na rozdrobnienie – nie będzie

koncentrować się na ręcznym sterowaniu informacją i publicystyką we własnym biznesowym interesie. Pojawiły się nawet dywagacje, że z mniejszościowym wkładem w inwestycję mógłby wejść państwowy Polski Fundusz Rozwoju, aby wspomóc polski kapitał w przejęciu stacji. Mogłyby też pomóc w kredytowaniu tego przedsięwzięcia państwowe banki. Na razie nie ma informacji, by taka decyzja została podjęta.

Zakup przez konsorcjum byłby alternatywą dla wariantu nowy Solorz.

Kolejna telewizja dla miliardera?

Zygmunt Solorz, właściciel Polsatu – w zależności od tego, kto był u władzy – zmieniał kierownictwo segmentu informacji i publicystyki, by czynić pozytywne gesty wobec rządzących.

Za rządów PiS pierwsze skrzypce grała Dorota Gawryluk, pozostająca w dobrych relacjach z PiS, szczególnie z otoczeniem Mateusza Morawieckiego. A gdy do władzy doszła Koalicja 15 Października, Gawryluk została odsunięta od kluczowych stanowisk, ma jeden program, ale nawet on został przesunięty na piątek z atrakcyjnego pod względem oglądalności czwartku. Co więcej, ma się zajmować sprawami społecznymi i gospodarką, a nie polityką.

Polsat to aktywa, których miliarder używa w grze z rządzącymi. To karta przetargowa, która ma sprawić, że w biznesach, które zahaczają o decyzje państwa, będzie mógł liczyć na przychyłność, a przynajmniej neutralność administracji.

– Pojawienie się Solowowa w grze o TVN tak właśnie interpretujemy. Pojawia się nowy Solorz. Solowow ma interesy z Orlenem, chce mieć swoją kartę przetargową – słyszymy w kręgach rządowych. Na początku urzędowania Koalicji 15 Października perspektywy Solowowa nie wyglądały najlepiej. A to dlatego, że w 2021 roku stworzył z ówczesnym prezesem Orlenu Danielem Obajtkiem spółkę, która miała budować małe reaktory atomowe tzw. SMR.

Orlen Synthos Green Energy to spółka, w której po połowie udziałów mają Orlen oraz prywatny chemiczny koncern Synthos, należący do Solowowa. OSGE planuje budowę floty reaktorów GE-Hitachi BWRX-300.

Rok temu na posiedzeniu Rady Gabinetowej Donald Tusk ostro wypowiedział się o tej inwestycji. Wcześniej ten wątek po-



W organizacjach biznesowych i kręgach inwestorskich mówiono, że TVN powinien wrócić do polskich właścicieli. Rozesłano wici, odbyto rozmowy w kręgu najbogatszych Polaków. Nie wszyscy chcieli przystąpić do przedsięwzięcia

jawił się w jego expose, co świadczyło, że premier traktuje sprawę bardzo poważnie. – Służby wielokrotnie zwracały uwagę, że spółka, która ma zajmować się małymi reaktorami, powstała ze szkodą dla interesów państwa – stwierdził podczas Rady. I dodał, że przygotował informacje dla prezydenta na temat sporu Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego z OSGE i zauważył, że sytuacja jest „dramatyczna”. – Te informacje były na biurkach Kaczyńskiego i Morawieckiego – podkreślił. Nie wróżyło to dobrze planom Solowowa.

Miliarder zbudował zespół lobbystów i PR-owców, który miał pomóc przekonać rząd, że spółka z Orlenem to dobra inwestycja. Zabiegał o spotkanie z premierem, ale Tusk z zasady nie spotyka się z miliarderami, aby omawiać takie sprawy. Ma od tego ludzi i do spotkań ze współpracownikami premiera doszło w zeszłym roku. Solowow chciał wyjaśnić wszystkie nieporozumienia związane z OSGE, i, choć nie przepada za udzielaniem wywiadów ani bywaniem na imprezach, w zeszłym roku po deklaracji Tuska zdecydował się na rozmowę z Forbsem. Chciał udowodnić premierowi, że nie jest człowiekiem PiS-u i Obajtka, i tak naprawdę sam był na celowniku ekipy Kaczyńskiego.

Za co Kamiński gnębił Solowowa

O negatywnej opinii ABW Solowow powiedział: „Ja mam ogromne zaufanie do polskich służb, niezależnie od urzędującej opcji politycznej. Uważam, że pracuje tam wielu prawdziwych patriotów, którzy dbają o interes Polski. Nie chcę, aby »negatywna opinia ABW« została zanonimizowana podpisem »służby«. Tu chodzi o jednego człowieka, Mariusza Kamińskiego. To on prowadził tę sprawę od początku do końca, nawet kiedy nie pełnił już formalnie żadnych funkcji. Również wtedy wydawał w tej sprawie opinie i miał dostęp do tajnych dokumentów. Moje nazwisko nigdy nie padło z ust tego pana. Ale sam sobie zadaję pytanie, o co w tym wszystkim chodzi, i nie znajduję racjonalnej odpowiedzi. Nie wiem, dlaczego można być tak zawziętym i działać na szkodę Polski. Dlaczego to robił i dalej robi? Nie mam zielonego pojęcia, ale poziom jego agresji nie może być motywowany tylko niechęcią do Obajtka”.

Solowow tłumaczył, że Kamiński nienawidził i tępił PiS-owskiego prezesa Orlenu. „Za co? Za proste sprawy: za to, że nie chciał mu się podporządkować, że nie zatrudniał jego ludzi, że połączył Orlen z PGNiG, zabierając jemu i Piotrowi Naim-

• **O tym, że Warner Bros. Discovery chce sprzedać TVN, wiadomo od lata 2024 roku. Według Bloomberga telewizja jest warta około 5 mld zł**

FOT. MACIEK JAŻWIECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

skiemu obszar wpływów. Nienawidził go również za sukces z prostej zazdrości i za wiści”.

Wedle tej opowieści Naimski, długoletni współpracownik Kaczyńskiego, miał być entuzjastą budowy wielkiej elektrowni atomowej z udziałem USA, dlatego torpedo- wał wszelkie inne przedsięwzięcia. Naimski pełnił w rządzie funkcję pełnomocnika rządu d.s. strategicznej infrastruktury energetycznej, przeciwstawiał się połączeniu Lotosu z Orlenem. Był oskarżany o zbytnią uległość wobec Amerykanów. W 2022 roku został pozbawiony stanowiska, bo w tej batalii wygrał Obajtek.

„Moim zdaniem wszystko zmierzało do tego, żeby nie tyle wydać negatywną opinię, ile by nie wydać jej w ogóle. Jej brak zablokowałby nasz projekt. Opinia została wydana dopiero po wyborach, kiedy dla tych panów stało się jasne, że przegrali” – tłumaczył Solowow. I podkreśla, że opinię wydał „kumpel Kamińskiego, pod jego – Kamińskiego – dyktando”. „Budowa floty SMR-ów to prywatny projekt, do którego przystąpił Orlen na warunkach, które my byliśmy gotowi zaakceptować. Orlen nie chciał inwestować w »duży atom«, nie wierzył w jego ekonomię, mimo że był intensywnie do tego nakłaniany. Orlen uznał, że technologia reaktorów GE Hitachi, na którą mamy wyłączność, i cały nasz projekt, są dla niego atrakcyjne biznesowo. Zresztą nie tylko Orlen. Wcześniej i równolegle w tym samym czasie prowadziliśmy rozmowy z innymi podmiotami z branży energetycznej. Dano nam jednak do zrozumienia, że bez państwowego partnera nie będziemy w stanie sami wybudować w Polsce SMR-ów. Miałem zatem umiarkowany wybór tego, co mogę i czego nie mogę zrobić”.

Solowow pytany o słowa Tuska na temat SMR-ów stwierdził: „Sam premier bardzo trafnie opisał tę sytuację jako podziemną wojnę na śmierć i życie między pisowskimi koteriami. Ja też uważam, że ta część exposé premiera nie dotyczyła nas, tylko PiS-u i Orlenu. Teraz kiedy panowie Kamiński i Wąsik nie mają już narzędzi do tworzenia fałszywych oskarżeń, planujemy robić swoje, wybudować 24 reaktory w siedmiu lokalizacjach.”

Metoda „na Porowskiego”

Nie ulega wątpliwości, że Solowowa nie można określić mianem oligarchy PiS-u, przeciwnie miliarder czuł się zagrożony przez rozmaite postępowania prokuratorskie, które miały mu zaszkodzić. Kilku przedsiębiorców znalazło się w aresztach albo wzywano ich na przesłuchania, dziś przekonują, że pielgrzymował do nich człowiek, który oferował za łapówkę święty spokój ze strony PiS.

O tej postaci mówił w wywiadzie dla „Wyborczej” biznesmen Przemysław Krych, który był ścigany przez prokuraturę Ziobry. „Pojawia się u nas w biurze niejaki Krzysztof Porowski – śląskibiznesmen o wątpliwej reputacji. Oświadczają, że interesują się nami służby, ale jeśli zapłacimy 1,5 mln euro, które on wyliczył jako procent aktywów, którymi zarządzamy, to problemy znikną. Twierdzi, że jest umocowany przez kogoś, kogo określił trzema koordynatami.” Miał mieć wpływ w prokuraturze i w CBA. Krych sporządził w tej sprawie notatkę dla swoich inwestorów. Porowski odszedł z niczym, Krych dostał zarzuty prokuratorskie, bo śledczy zarzucali mu korumpowanie senatora PiS Stanisława Koguta. Pół roku spędził w areszcie.

„Porowski odwiedzał nie tylko mnie. Z podobnymi propozycjami był jeszcze u innych znanych przedsiębiorców, którzy zachowali się na trzy różne sposoby. Jeden – tak jak ja – miał podobne kłopoty. Inny spakował manatki i wyjechał z Polski do

Stanów. A trzeciego żadne przykrości nie spotkały, a nawet wręcz przeciwnie” – opowiadał Krych.

Jeśli chodzi o Solowowa, to wyniósł się na dwa lata do Austrii, bo ma obywatelstwo tego kraju. – Deal z Obajtkiem miał mu dać poczucie bezpieczeństwa, bo Obajtek był na wojnie z Kamińskim, ale miał dobre przełożenie na Ziobrę, a to dawało szansę na względny spokój ze strony prokuratury – wyjaśnia jeden z moich rozmówców. – Ale nie, prokuratura cały czas ryla pod Solowowem. Obajtek nie był w stanie spokoju zagwarantować – słyszę w otoczeniu miliardera.

Te wyjaśnienia i ofensywa PR spowodowały, że Orlen w sierpniu rozpoczął z Solowowem negocjacje. Prezes Orlenu Ireneusz Fąfara stwierdził publicznie, że koncern nie zrezygnuje z rozwoju SMR. Jest jednak jeden warunek: musi zostać zmieniona umowa z Synthosem.

– Orlen nie zadbał o to w przeszłości. Będziemy konsekwentnie bronić naszego stanowiska. Jeśli osiągniemy porozumienie, to podjęliśmy decyzję, że pierwsza lokalizacja SMR-ów będzie we Włocławku – zapowiedział Fąfara. W OSGE większe wpływy miała mieć jedna ze spółek. Prezes OSGE Rafał Kasprów przekonywał, że rzeczywiście jej prezes w momencie jej założenia „otrzymał prawo głosu rozstrzygającego”, ale miało to dotyczyć „spraw drobnych i organizacyjnych”, a samą umowę zmieniono w grudniu 2023 r. i tego zapisu już w niej nie ma. Do porozumienia między Orlenem a Synthosem doszło w listopadzie.

31 stycznia Generalny Dyrektor Ochrony Środowiska określił zakresy raportów środowiskowych, jakie spółka OSGE ma przedłożyć w ramach postępowania o wydanie decyzji środowiskowych dla budowy elektrowni jądrowych z reaktorami BWRX-300 w Ostrołęce i Włocławku.

To sygnał, że Solowow odwojował swój zły wizerunek, i po tym jak trochę się posunął w sprawie SMR, może iść do przodu. Choć jego ludzie zarzekają się, że w umowie o współpracy z Orlenem nie ma rewolucyjnych zmian.

Wygląda na to, że się dogadali

W relacjach z obecnymi władzami Orlenu mogła Solowowowi zaszkodzić jeszcze inna sprawa.

– Daniel Obajtek i jego ludzie wpuścili do inwestycji, od której zależy przyszłość Orlenu, prywatną firmę kontrolowaną przez miliardera Michała Solowowa; pretekstem miały być oszczędności – informował w zeszłym roku portal wp.pl.

Jak ustalili reporterzy Wirtualnej Polski i TVN24 efekt tego „wpuszczenia” jest taki, że „kosztem 3,7 proc. inwestycji Orlen straci wyłączną kontrolę nad instalacją zabezpieczającą przyszłość finansową paliwowego giganta”.

Publicznie zaprzeczył temu jednak prezes Synthosu Zbigniew Warmuz.

Zarząd Orlenu wypowiada się na ten temat wstrzemięźliwie i nadmiernie nie dramatyzuje.

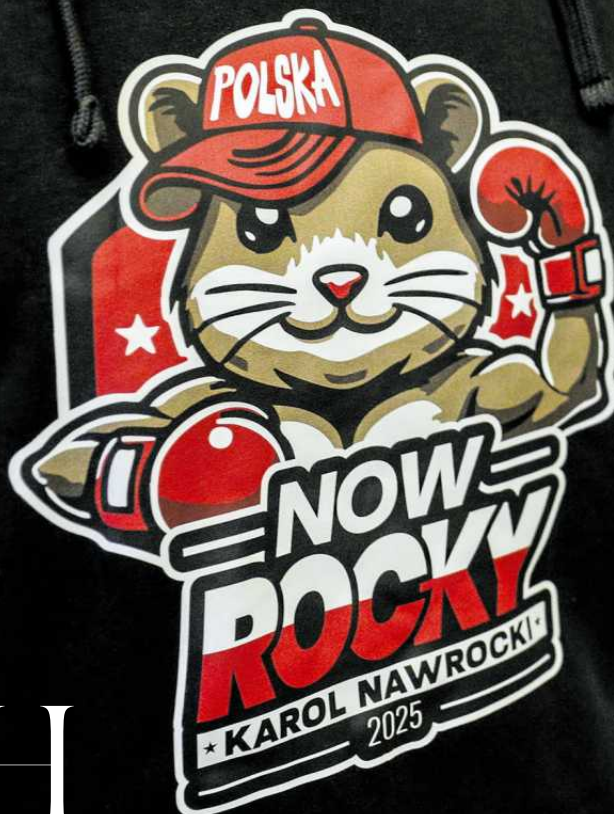
Wygląda więc na to, że relacje z rządem Tuska zostały względnie ułożone. Premier publicznie mówi o rozwoju SMR. Ale w tym układzie uderza podobieństwo z sytuacją właściciela Polsatu, który też ma swoje inwestycje energetyczne i też ma to związek z państwem. – Solowow będzie nowym Solorzem? – pytam.

Mój rozmówca przekonuje mnie, że inwestycje Solowowa są w interesie Polski i Orlenu. I odpowiada: „Każdy to może komentować tak, jak uważa”.

Nawet jednak jeśli porównania do Solorza pojawiają się w kręgach rządowych, to nie ma mowy, aby ktoś przeformatował TVN na inny kurs. Choćby nieznaczna zmiana może oznaczać dla stacji odpływ widzów i olbrzymie straty. Żaden z trzech oferentów nie wygląda na kogoś, kto chciałby po prostu utopić miliard dolarów tylko dlatego, aby zaprząć TVN do obrony swoich interesów. ●

Karol Nawrocki
w kampanii pokazuje,
jak ważna jest dla niego
siła fizyczna. Naga siła.

CZAS PRAWYCH PROSTYCH



Z PROF. KRYSZYNA SKARŻYŃSKĄ,
PSYCHOLOGIĄ SPOŁECZNĄ
ROZMAWIA AGNIESZKA KUBLIK

Kiedyś raziło nas wałęsowskie „Zbij pan termometr, a nie będziesz pan miał temperatury”. Pamięta pani to jeszcze?

– Tak, to było posiedzenie Komitetu Obywatelskiego, czerwiec 1990 r. Lech Wałęsa atakował wówczas rząd Tadeusza Mazowieckiego. Wałęsa rzucił to zdanie do Andrzeja Wielowiejskiego, ostrzegającego przed igraniem z nastrojami społecznymi.

Pamiętamy, bo to jednak było coś nieoczekiwanego. Przez dekady życie polityczne w PRL nie było dla nas dostępne tak bezpośrednio. Docierały do nas różne plotki o tym, kto komu coś przykrego powiedział, że pod stołem toczy się ostry bój o wpływy. Ale nie było bezpośredniej transmisji z obrad najwyższej władzy.

Słowa Lecha Wałęsy traktuję raczej jako wyraz niegrzecznej mowy, niż agresji przynoszącej szkodę, czy stratę osobie, do której ta wypowiedź była kierowana. Była złamaniem pewnej normy publicznego zwracania się do znanych i zasłużonych osób, ale także była metaforą, a nie jawną zniewagą czy wulgaryzmem.

Potem już było ostrzej i więcej jawnej agresji. Pamiętam, jak Andrzej Lepper i Jarosław Kaczyński mówili do siebie „chamstwo” i „warcholstwo”. Były i takie określenia, jak np. „płatni zdrajcy, pacholki Rosji”, to Leszek Moczulski o dawnej PZPR; „różowe hieny”, to Zygmunt Wrzodak o KOR-ze; „kanibalizm polityczny”, „wykształciuchy, „bure suki” to Ludwik Dorn o opozycji; „łże-elity” to Jarosław Kaczyński; „moherowa koalicja”, to Donald Tusk o koalicji PiS-LPR-Samoobrona; „pornogrubas” to Stefan Niesiołowski o Ryszardzie Kaliszu; „dyplomatolki”

to Władysław Bartoszewski o PiS-ie; „kaczyzm”, to Joanna Senyszyn o PiS-ie. Czy rzeczywiście dziś to już tak nie razi, raczej rozbawia?

– Mnie nie bawi. Wtedy dziwiło i niepokoiło, że pro-demokratyczna elita słabo na to reaguje. Badania socjologów już wtedy pokazywały, że polskie społeczeństwo, bardziej niż inni Europejczycy, aprobuje ekstremizmy polityczne. Ja także przypuszczałam, że obrażająca przeciwników politycznych ostra mowa to krótko terminowy przejaw odzyskanej wolności słowa.

W 2010 r. po zabójstwie w łódzkim biurze PiS Jarosław Kaczyński przywoływał wypowiedzi Radosława Sikorskiego o „dorzynaniu watahy” i Janusza Palikota, że „Bronisław Komorowski pójdzie na polowanie na wilki, zastrzelimy Jarosława Kaczyńskiego, wypatroszymy i skórę wystawimy na sprzedaż w Europie” jako o podżeganiu do zbrodni. To były groźby śmierci?

– Nie, to była złośliwa, ironiczna, niepotrzebna i groźna społecznie wypowiedź. Groźna, bo ironia jest pośrednią formą agresji słownej, którą ludzie mogą czytać dosłownie a politycy – choć ironię tej wypowiedzi raczej dostrzegają – wykorzystują tę wypowiedź przez wiele lat, by wykazywać agresję i złe zamiary politycznych przeciwników.

Pamiętam niezwykle chamskie komentarze prawicy o Ewie Kopacz. „Gazeta Polska” pisała o niej np. „Chytra baba na światowych salonach”, „Ciotka od łoda”. Inni publicyści z tamtej strony komentowali, że „jej tępa folwarczność sprawia, że Polak wstydzi się za swój kraj”.

A o prezydencie Bronisławie Komorowskim pisali: „Mamy za prezydenta buraka, troglodytę, nieokrzesanicę, pozbawionego kultury, taktu i rozumu”. To bardziej brak kultury, chamstwo zwykłe czy agresja?

– To przykłady obraźliwej mowy, ukierunkowanej na zniesławienie przeciwnika, odebranie mu godności, kompetencji, moralności. Ponieważ intencjonalnie szkodzą osobom, do których są kierowane – są agresją. Prymitywną, bezpośrednią agresją.

I są społecznie szkodliwe. Tworzą klimat aprobata dla agresji w życiu społecznym. W końcu roku 2014 Polacy w zdecydowanej większości deklarowali brak akceptacji dla agresji między politykami, ale częściej aprobowali różne przejawy agresji (także ataki fizyczne na biura poselskie, wysyłanie gróźb pod adresem polityków), zwłaszcza „gdy politycy źle rządzą”.

Czy teraz jest inaczej? Czy agresja jest bardziej niebezpieczna? Do szerzenia nienawiści wobec Jurka Owsiaaka już się

przyzwyczailiśmy. Prawica, czy rządzi, czy w opozycji, nie jest w stanie znieść jego sukcesu – finansowego i wspólnotowego. Ani swojej przy tym porażki, bo choć chcieli nie stworzyli nigdy nic podobnego. Ale w tym roku, ci, którym Owsiaak się nie podoba, bo naoglądali się kłamliwych reportaży o WOŚP, sięgnęli po groźby śmierci. „Jestem w posiadaniu karabinu szturmowego i dwóch granatów, jutro o 17:00 dokonam zamachu na Jurka Owsiaaka, proszę mu przekazać, że wystrzelam całą jego rodzinę”. Ktoś inny na Facebooku oferował 100 tys. zł za jego zastrzelenie. Jak to się stało, że nienawieść Owsiaaka zamieniło się w chęć mordu i to deklarowaną publicznie, pod nazwiskiem?

– Czy rzeczywiście osoby grożące śmiercią Jerzemu Owsiaakowi i jego rodzinie chcą to zrobić – nie wiem. Ważne jest jednak zrozumienie, dlaczego piszą czy wypowiadają agresywne zamiary i obelgi, co je do tego skłania, co chcą osiągnąć.

I przede wszystkim – co w rezultacie publikowania takich gróźb i zniewag staje się złego, nie tylko dla atakowanej osoby i jej bliskich, ale też dla klimatu życia społecznego.

Zastanówmy się, czy rzeczywiście osoby deklarujące chęć mordu czują nienawiść do osoby, której grożą, czy atakują ją, bo zagraża jakimś ich wartościom lub interesom, czy chcą jakoś publicznie zaistnieć, zdobyć sławę. A może są silnie pobudzone, zaniepokojone, sfrustrowane – z zupełnie innych powodów niż działania WOŚP-u?

Tak czy inaczej – ich zachowania zwiększają ogólne poczucie zagrożenia, a im częściej są publicznie omawiane – tym bardziej mogą tworzyć normę: tak, wolno atakować przeciwników, każda cenzura wypowiedzi jest niedemokratyczna.

Z badań, które już cytowałam, wynika, że przyzwolenie na agresję wobec poli-

*Widać konserwatywny „powrót do przeszłości”:
priorytetem polityki już nie są prawa człowieka,
ale bezpieczeństwo, sprawczość i siła*



• Stoisko z gadżetami wyborczymi Karola Nawrockiego na spotkaniu z mieszkańcami Radlina w Miejskim Ośrodku Kultury. 3 lutego 2025 r.

FOT. DOMINIK GAJDA / AGENCJA WYBORCZA.PL

tyków czy osób publicznych jest związane z łatwością, stałą gotowością jednostki do reagowania agresją na pobudzenie emocjonalne, ale tylko wtedy, gdy pobudzeniu towarzyszą pewne schematy świata społecznego. Czyli przekonanie, że agresja jest powszechną normą w życiu społecznym. Uznanie, że świat społeczny jest dżunglą, w której liczy się tylko siła i bezwzględność. Oraz cynizm polityczny – przekonanie, że polityka jest wyłącznie grą o władzę i pieniądze.

Dlaczego dzisiaj jest więcej deklarowanej nienawiści i chęci fizycznego ataku?

Po pierwsze, mamy coraz więcej i częściej przekazywanych w mediach informacji o przemoc, a wyrażanie złych emocji i agresywnych zamiarów wobec innych osób jest łatwe (i najczęściej bezkarne) dzięki mediom społecznościowym.

Po drugie, żyjemy w czasach niepewności, zmian kulturowych, kryzysów, mniej lub bardziej widocznych zagrożeń. Agresja staje się łatwą formą reakcji na doznawane frustracje, stresy, życiowe porażki. Tym bardziej jest to prawdopodobne, im ktoś racjonalizuje czy usprawiedliwia swoje niepowodzenia i strachy uogólnioną wizją złego świata, w którym tylko przemoc jest środkiem do życiowego sukcesu.

Wojna przy granicy i wojna polsko-polska „na górze” też się przyczynia do wzrostu społecznej wrogości. Czyli postawy ogólnej niechęci do otoczenia, gotowości do agresji.

Nawet oglądanie codziennych politycznych wiadomości tworzy negatywny afekt, ogólne pobudzenie emocjonalne, które łatwo przechodzi w różne formy wrogości w stosunku do osób publicznych oraz do instytucji. I jeszcze jedna przyczyna: narastający brak tolerancji dla różnicy w postawach politycznych, orientacjach życiowych, stylach życia.

Zwykle wiązany jest z afektywną polaryzacją polityczną. Ja dodaję potrzebę pozostawania w sferze komfortu, brak tolerancji na dysonans poznawczy, na różnicę zdań czy opinii. Wiele przypadków agresji i wrogości w rodzinie, w pracy, w publicznych dyskusjach wynika z braku tolerancji na krytykę.

Łatwo się obrażamy, bez próby zrozumienia odmiennego zdania.

Wybitny badacz stosunków międzyludzkich, Roy Baumeister, dowodzi, że istnieje zjawisko tzw. wyprzedzającej agresji, czyli atakowanie, negowanie kompetencji, przypisywanie złych intencji komuś, o kim sądzimy, że może nas krytykować lub mieć

odmienną od naszej opinię w danej sprawie.

Większą skłonność do takich zachowań mają osoby narcystyczne, czyli z wysoką, ale niezbyt pewną samooceną, zależną od opinii innych osób.

Karol Nawrocki, kandydat obywatela Jarosława Kaczyńskiego autoryzuje przemoc. Z pomocą Kościoła. Cynicznie zakłada, że mu się to wyborczo kalkuluje? Na spotkaniu wyborczym w Ciechanowie wysłuchał słów miejscowego proboszcza, który radził mu, by „wymierzył prawy albo lewy prosty” prof. Antoniemu Dudkowi za komentarz, że Nawrocki jest człowiekiem „niebezpiecznym”. Nawrocki po prostu powiedział: „Bóg zapłać, dziękuję za wsparcie. Bóg za-

*Łatwo się obrażamy,
bez próby zrozumienia
odmiennego zdania*

pląć jeszcze raz”. A gdy na Jasnej Górze kibole wspierali go okrzykiem „raz sierpem, raz młotem czerwoną hołotę”, ripostował, że „kocha tę spontaniczność kibicowską i te momenty, w których jest z nimi”. Podziękował im nawet, że „biorą odpowiedzialność za Polskę”.

– Karol Nawrocki całym dotychczasowym stylem prowadzenia kampanii pokazuje, jak ważna jest dla niego siła fizyczną. Naga siła. Przez kolejne tygodnie widzimy to samo: ekspozycję własnej cielesnej siły. Z radosnym uśmiechem pokazuje, że trenuje w towarzystwie umięśnionego golasa.

Akceptuje, a nawet werbalnie wzmacnia agresywne wypowiedzi osób, z którymi się spotyka. Ale nie tylko to jest niebezpieczne dla demokratycznego społeczeństwa. Polityka historyczna wobec Ukrainy, deklaracja utrzymanie restrykcyjnego prawa dotyczącego aborcji, powtarza konserwatywne slogany Prawa i Sprawiedliwości, nie rozmawia o sprawach ważnych dla obywateli.

Wydaje się być skrajnym narodowym i populistycznym pseudo-konserwatystą. Podkreśla swój antyelitaryzm, mówi, że zna i wspiera „zwykłych chłopaków”; wobec proboszcza zachęcającego do użycia siły wobec przeciwników politycznych (określonych

w sposób skrajnie obraźliwy) jest uprzedzająco grzeczny, prawie całuje go po rękach.

Jaki wpływ taka ostentacyjna pochwała agresji przez kandydata na najwyższy urząd RP może mieć na ludzi, którzy to słyszą, oglądają? To przesuwą granice tolerancji wobec przemoc, werbalnej a potem i fizycznej?

– Prawdopodobnie tak, ale raczej wpływa to na postawy jego zwolenników, bo umacnia ich w przekonaniu, że brutalność w międzyludzkich relacjach jest ceniona, a w każdym razie – dozwolona. Często nie pamiętamy, że idea liberalnej demokracji nie toleruje przemoc w żadnej formie życia społecznego. Proponuje rozwiązywanie sporów i konfliktów przez rozmowy, negocjacje, deliberacje – prowadzące do uzgodnienia stanowisk lub kompromisu, który powinien prowadzić do maksymalizacji dobra członków społeczeństwa, ale też w bliskich, codziennych relacjach.

I rzeczywiście: badania historyczne dowodzą istotnych zmian w skali przemoc i stosunku do niej, towarzyszących obecności liberalnej myśli w systemach demokracji (por. np. Gutmann, 2001; Pinker, 2011, Szacki, 1994). Więcej demokracji na świecie – mniej przemoc i większa dla niej dezaprobat społeczna. Choć widać okresy nasilenia przemoc: wojny i okupacje.

Dziś obserwujemy rozczarowanie liberalną demokracją. Wiele demokratycznych mechanizmów kontroli nad przemocą w makroskali i w mikroskali – rzeczywiście zawiodło.

Efektom tego procesu jest m.in. zwycięstwo Trumpa, czyli populizmu, wspieranego dążeniem do maksymalizacji władzy i dominacji w wielu sferach życia oraz wspomnieniami o świetlanej przeszłości, złotym wieku Ameryki.

W Europie także widać swoisty konserwatywny „powrót do przeszłości”: priorytetem polityki już nie są prawa człowieka, ale bezpieczeństwo, sprawczość i siła.

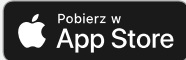
Jeśli i nasze społeczeństwo odrzuci idee liberalnej demokracji, wybierze w kolejnych wyborach silnych narcystycznych mężczyzn, przemocowców (silaczy) pragnących władzy, a nie dobra obywateli i demokratycznego państwa, wojna polsko-polska nabierze siły i rozpędu.

A w pokojowych relacjach międzynarodowych potrzebna jest nie tylko siła, ale także kompetencje społeczne, między innymi gotowość i umiejętność rozmowy, dostrzegania różnych perspektyw i zainteresowania nimi. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

34360759

Sprawdź, jak wygodnie
czyta się w **Aplikacji
Wyborczej**



POZNAJ WSZYSTKIE
FUNKCJE APLIKACJI!



wyborcza

PIENIĄDZE
Ile kosztuje miłość?
Nawet 800 zł na nowe relacje.
Ale kiedy jesteś w związku,
oszczędzić

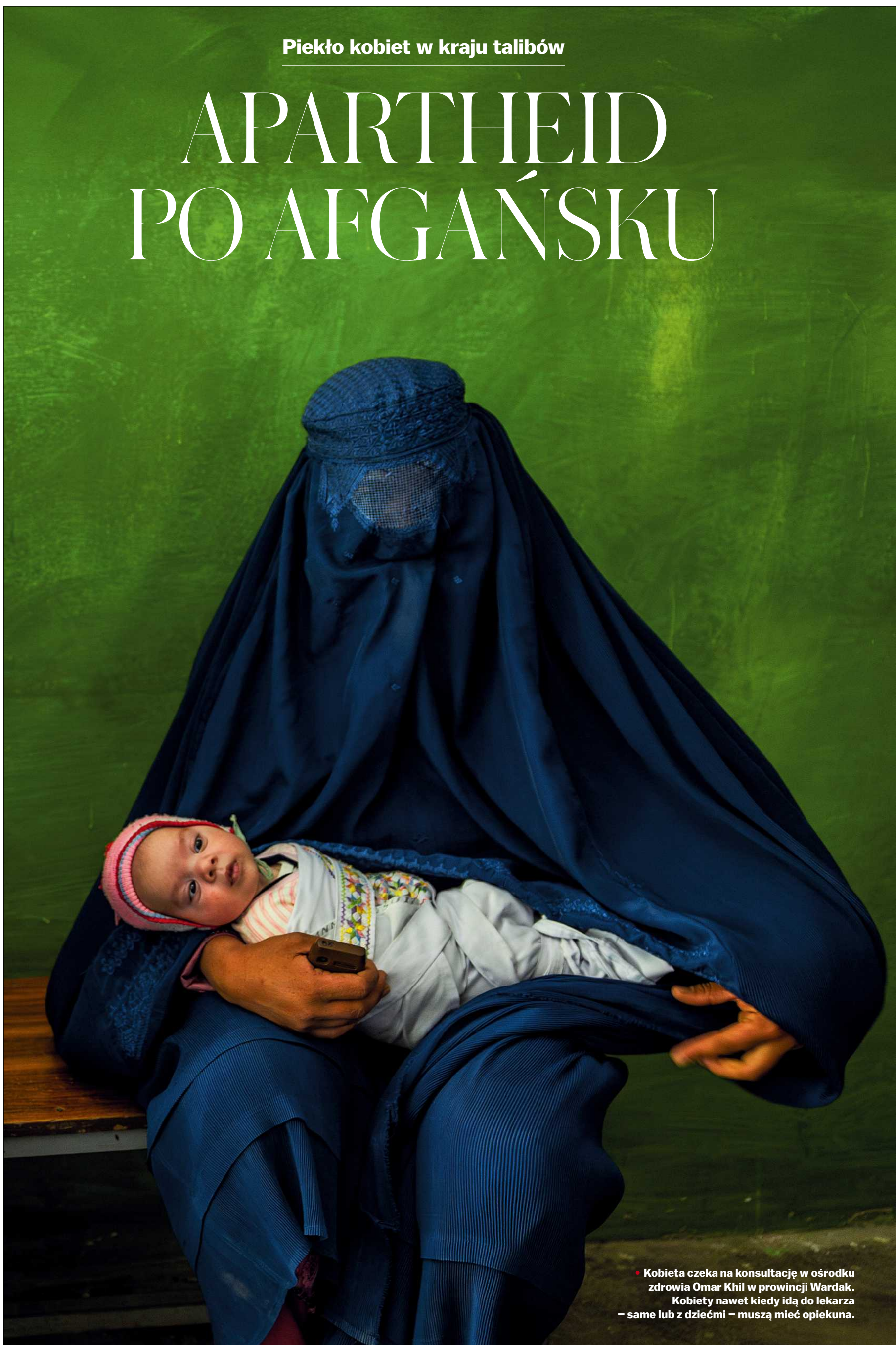


TECHNOLOGIE
Sztuczna inteligencja
już oszukuje i manipuluje
ludźmi - piszą naukowcy



Piekło kobiet w kraju talibów

APARTHEID PO AFGAŃSKU



• Kobieta czeka na konsultację w ośrodku zdrowia Omar Khil w prowincji Wardak. Kobiety nawet kiedy idą do lekarza – same lub z dziećmi – muszą mieć opiekuna.

Powrót talibów do władzy w Afganistanie spowodował największy na świecie kryzys praw kobiet. Odbiliśmy podróż z Kabulu do odległych prowincji, aby zrozumieć życie w państwie upadłym, w którym doskonale działa tylko jedno: mizoginia.

Jesús Rodríguez
Zdjęcia Samuel Sánchez

EL PAÍS

Jak mogę się czuć, będąc kobietą w Afganistanie? Jakby skradziono mi życie. Spójrz tylko, jak jestem ubrana – oni zmuszają mnie do noszenia tych okryć, zakrywania twarzy na ulicach. Ja tego nie wybrałam!”

Jesteśmy w szpitalu na obskurnych obrzeżach Kabulu. Lekarka, która wypowiada te słowa w doskonałym angielskim, jest od stóp do głów okryta grubym czarnym materiałem, który odsłania wyłącznie owal jej twarzy.

Spod swojej abai wyciąga telefon komórkowy i pokazuje zdjęcie uśmiechniętej młodej dziewczyny w dżinsach, białej bluzce i z rozwianymi włosami: to ona zaledwie trzy lata temu. „Zostałyśmy poza systemem, bez projektu na życie, jak martwy ciężar. Czuję się jak lokatorka cmentarza marzeń”.

20 lat emancypacji na darmo

Ponad trzy lata temu, między 15 a 30 sierpnia 2021 r., ostatnie oddziały armii USA i ich sojuszników, zaangażowanych w trwającą dwie dekady afgańską interwencję militarną, opuścili kraj. Odleciały z lotniska w Kabulu i pozostawiając tysiące Afgańczyków próbujących uciec wraz z nimi. Zostawili bowiem także otwartą drogę talibom, którzy przejęli władzę i narzucili z powrotem swój islamistyczny reżim.

W ciągu tamtych 15 dni chaosu z kraju uciekło ok. 130 tys osób. Dla świata to wycofanie Ameryki miało posmak kapitulacji. Było rezultatem porozumienia podpisanego w katarskiej Dosze w lutym 2020 r. przez pierwszą administrację Trumpa z przywódcami talibów – między dyplomatami w garniturach a mullami w turbanach. W obu delegacjach nie było ani jednej kobiety.

Zachodni dyplomata przez lata pracujący w Afganistanie mówi: „W Katarze nie negocjowano niczego na temat praw kobiet, ogólnych praw człowieka i ochrony ludności cywilnej; chodziło wyłącznie o zapewnienie przeciwdziałania terroryzmowi. To talibowie ustalali warunki. A świat po prostu odwrócił głowę i odszedł. Żadne państwo nie uznało oficjalnie rządu talibów; nałożono sankcje techniczne i finansowe, a fundusze afgańskie za granicą – jakieś 8 mld euro – zostały zamrożone, ale zapomnieliśmy o mieszkańcach tego kraju. Afganistan nie jest już w naszej agendzie, zniknął z pola widzenia”.

Kłeska z 15 sierpnia 2021 r. poszła na konto Joe Bidena – ale był to zatraty prezent od Donalda Trumpa. Przemawiając w Kongresie w grudniu ub.r. Antony Blinken, sekretarz stanu za kadencji Bidena, przeprosił za gwałtowne opuszczenie Afganistanu i powtórzył, że jego szef nie miał wyboru. Blinken nie przyznał jednak, że ta militarna i dyplomatyczna porażka wywołała najgorszy kryzys praw kobiet na świecie.

To, czego doświadczają 23 miliony afgańskich kobiet, ONZ nazywa „apartheidem płciowym”. Z tego powodu niektóre kraje naciskają na Międzynarodowy Trybunał Karny, by ścigał talibów za zbrodnie przeciwko ludzkości. Bo celem talibów, którzy są jednocześnie duchownymi, ustawodawcami, policjantami i sędziami, jest systematyczne eliminowanie kobiet ze sfery publicznej i skazywanie ich na areszt domowy.

Powinny zajmować się domem, rodzić dzieci (antykoncepcja jest nielegalna), być tanią siłą roboczą – i pozostawać niewidzialnymi. Minister spraw wewnętrznych Sirajuddin Haqqani (kiedyś za jego głowę FBI oferowała 10 mln dol. nagrody) tak uzasadnił politykę afgańskiego rządu wobec kobiet: „Chcemy bronić ich honoru, reputacji i bezpieczeństwa”.

Ministerstwo Zapobiegania Złym Obyczajom

To powrót do punktu wyjścia – po 20 latach wojny, dwóch milionach zabitych i setkach miliardów euro straconych w tym zapomnianym zakątku środkowej Azji. Cała gospodarka nadal opiera się tu na rol-

• **Wioska Koz Dawlatkhil w prowincji Paktia. Działa tu Centrum Przyspieszonego Kształcenia, które jest częścią wspieranego przez UNICEF programu edukacji społeczności lokalnej. Do klasy uczęszcza 35 dziewcząt. Na zdjęciu, od lewej do prawej, Arzo (9 lat), Shamima (11), Zuhra (10) i Latifa (10)**



23 miliony afgańskich kobiet doświadcza „apartheidu płciowego”. Są eliminowane z życia publicznego. Mają siedzieć w domu, rodzić dzieci, być tanią siłą roboczą i pozostawać NIEWIDZIALNYMI

nictwie (z naciskiem na uprawę opium), a 45-milionowa populacja żyje w cieniu surowych gór, wciśnięta między Pakistan, Iran i Chiny oraz trzy byłe republiki radzieckie. W Afganistanie poległy kolejno potęgi z każdego rozdziału historii najnowszej: najpierw kolonialna Anglia w XIX w., potem Rosjanie w latach 80 XX w., a wreszcie Amerykanie.

Ale izolacja kraju ma skutki wykraczające poza niemoc imperiów. Aby zrozumieć obecną brutalną likwidację praw kobiet w zakresie swobodnego poruszania się, wyrażania opinii i poglądów, dostępu do wymiaru sprawiedliwości i kultury, udziału w życiu publicznym i gospodarce, dostępu do edukacji, opieki zdrowotnej, praw seksualnych czy rynku pracy, wystarczy spojrzeć na fatwy wydawane za pierwszych rządów talibów z połowy lat 90.

To czas przed atakiem na WTC i amerykańską inwazją na Afganistan w ramach operacji „Enduring Freedom”, której celem było wyeliminowanie terrorystów Al-Kaidy ukrywających się w tym kraju. Późniejsza operacja międzynarodowych sił ISAF z udziałem państw NATO (130 tys. żołnierzy) miała ustabilizować sytuację w regionie. Nie osiągnięto ani jednego, ani drugiego – a rezultatem 20 lat wojny był właśnie powrót do punktu wyjścia.

Ten powrót do przeszłości oznacza m.in.: burki kobiet, AK-47 w rękach mężczyzn, publiczne chłosty i egzekucje, biedę, postępującą izolację. Życie w Afganistanie przypomina dziś koszmarną wersję Dnia Świątaka.

A przecież okres przez powrotem talibów niósł nadzieję dla kobiet, które pod protektorem społeczności międzynarodowej szybko się emancypowały. W kraju istniało 18 tys. świeckich szkół. Prawie trzy miliony dziewcząt uczęszczało do szkół podstawowych. Dziesiątki tysięcy studiowało na uniwersytetach. W pewnym momencie 27 proc. miejsc w parlamencie zajmowały kobiety, a kilka z nich piastowało stanowiska ministerialne.

Kobiety były również sędziami, prokuratorami, dyrektorkami szpitali, chirurgami, nauczycielkami, pilotami, artystkami, nadawczyniami telewizyjnymi i piosenkarkami. W 2009 r. opracowano przełomowe przepisy dotyczące przemocy ze względu na płeć, uznające za przestępstwo aż 22 formy przemocy, od gwałtu i aranżowania małżeństw dzieci po przymusowe małżeństwa i okaleczenia. Utworzono nawet Ministerstwo Spraw Kobiet.

Gdy talibowie przejęli władzę w 2021 r., ministerstwo zlikwidowali i utworzyli w tym gmachu Ministerstwo Zapobiegania Złym Obyczajom i Promowania Cnoty, które ma własną policję obyczajową. W ciągu kilku dni zakazano kobietom pracy zarobkowej, zaczynając od sektora publicznego. Jedyne wyjątki dotyczyły służby zdrowia, nauczycielek szkół podstawowych oraz (w niektórych przypadkach) personelu organizacji pozarządowych.

W ciągu kilku tygodni zlikwidowano 14 tys. miejsc pracy dla kobiet w budżetówce. Ostatecznie pracę straciła ponad 60 proc. kobiet. W sumie o mi-

liard eura rocznie spadły dochodów i tak już zubożałych gospodarstw domowych. W marcu 2022 r. 1,5 miliona dziewcząt w wieku 12 lat i starszych zostało wykluczonych ze szkół średnich. Kilka miesięcy później zamknięto dla nich bramy uniwersytetu, ich ostatnie schronienie.

Minister edukacji, weteran wojenny Muhammad Nadim, skomentował to tak: „Studentki nie przestrzegały islamskiego kodeksu ubioru, uczęszczały na zajęcia bez męskiego opiekuna, uczyły się w tej samej klasie co studenci płci męskiej i podróżowały z jednej prowincji do drugiej bez przyzwolenia. Nie możemy pozwolić, by uniwersytet stał się narzędziem destabilizacji i podważania autorytetu rządu”.

Prywatne szkoły pielęgniarские zamknięto pod koniec 2024 r. – w kraju, gdzie wskaźnik umieralności niemowląt i matek w pociąg jest najwyższy na świecie. „Jeśli tylko kobiety lekarze i pielęgniarki mogą zajmować się pacjentkami w szpitalach, a kobiety nie są już kształcone, to kto będzie nas leczył?”, pyta jedna z afgańskich lekarek.

Trzy typy talibów

Wylądowaliśmy o świcie na opustoszałym lotnisku w Kabulu. Obecnie obsługuje tylko kilka lotów dziennie: z Dubaju, Iranu, Arabii Saudyjskiej i Pakistanu. Od razu widać, że talibowie rządzą Afganistanem tak samo, jak w latach 1996-2001. Wszędzie brodaci uzbrojeni mężczyźni, którzy poruszają się na małych motocyklach. To władza totalna tego kraju, jego armia i policja.

Afgański politolog dzieli ruch talibów na trzy grupy: „Elita jest niezłe wykształcona, lub przynajmniej świadoma sytuacji na świecie. To ludzie, którzy mieszkali zagranicą i chcieliby wskrzeszenia gospodarki i międzynarodowego uznania, oferując w zamian zapewnienie, że Afganistan nie będzie już schronieniem dla terroryzmu. Kolejna grupa to biurokraci, ludzie, którzy pochodzą wprost z poprzedniego reżimu i nie uciekli, zmienili ubiór i dostosowali styl życia – i są niezbędni, jeśli kraj ma się nie rozpaść, bo obecni talibowie nie mają żadnego doświadczenia w rządzeniu krajem. Wreszcie, dolny krąg to analfabeci, których dzieciństwo i młodość przypadły na lata wojny, mają rygorystyczne wychowanie religijne – jeśli mułlowie rozkażą im zabijać, będą zabijać. Bez mrugnięcia okiem”.

To tych ostatnich spotykamy na lotnisku w Kabulu. Tradycyjne ubrania łączą z dodatkami militarnymi oraz karabinami na ramieniu. Jesteśmy przesłuchiwani w kabinie ze sztucznego drewna. Jedynymi kobietami na lotnisku są trzy pracownice sprawdzające ewentualne pasażerki. Procedura wjazdu do kraju nie jest długa, ale nasze paszporty zostają zabrane na 48 godzin. Jeszcze tego samego dnia zatrzymują nas w ulicznym punkcie kontrolnym ludzie którzy nie mówią w żadnym obcym języku. Zostajemy zwolnieni po interwencji urzędników ONZ, a nazajutrz mówiący po angielsku urzędnik bezpieczeństwa uspokaja: „Dziennikarze nie są obecnie celem wojskowym. Trzymajcie się programu, to nie będzie kłopotów”. Witamy w Islamskim Emiracie Afganistanu.

Jak prawidłowo nosić zasłonę

Na ulicach w Kabulu wszędzie flagi z wypisaną szahadą, filarem islamu: „Nie ma boga prócz Allaha”. W 5-milionowym mieście ponad połowa populacji doświadcza ubóstwa, a zarazem aż 40 proc. mieszkańców ma mniej niż 14 lat.

Jest tu mnóstwo targowisk i straganów, z których sprzedaje się warzywa, owoce i kurczaki. Przecinająca miasto rzeka jest ściekiem, do którego spływają miejskie nieczystości. Na zapylonych ulicach dominują stare toyoty corolle (wiele z kierownicą po prawej stronie, są importowane bezpośrednio ze zrotów w Japonii), są setki bezpańskich psów, stadka owiec, żebrzące dzieci, symfonia klaksonów.

Główne aleje, zwłaszcza w Zielonej Strefie, w której mieściły się zachodnie ambasady (obecnie zamknięte lub zawieszane), zostały pocięte punktami kontrolnymi i niekorzystają-



• **Uczniowie w szkole Abobaker Sedique w prowincji Wardak. Dziewczętom nie pozwolono pozować do zdjęcia. Mogą się uczyć tylko do 12 roku życia. Talibowie reaktywowali medresy (szkoły koraniczne), uczęszcza do nich prawie 100 tys. kobiet. Dla nich to jedyna opcja nauki, choć to edukacja oparta na radykalnym islamie.**

• **Nieliczne kobiety pojawiające się na ulicach noszą burki. Nie wolno im zakładać butów sportowych, ani obcasów, prowadzić auta, używać smartfonów i podróżować samotnie. A z innymi kobietami bez przeszkód mogą się spotykać na pogrzebach i weselach.**

mi się rzędami betonowych modułów (T-wałów) chroniących przed ostrzałem i bombami samochodowymi. Na wielu z nich namalowano wersety z Koranu albo polityczne slogany. Ale najczęściej widać tabliczki informujące kobiety, jak prawidłowo nosić zasłonę.

Mur otaczający amerykańską ambasadę jest pokryty dużym graffiti przedstawiającym gwiazdzysty sztandar, który rozpada się pod naporem wielu rąk, plus tekst: „Nasz naród pokonał Amerykę z Bożą pomocą”. Ale nikt nie wydaje się zwracać na to większej uwagi.

W reklamach sklepów czy salonów fryzjerskich nie ma przedstawień twarzy – to zabronione. Ostatnie usługowe punkty kosmetyczne dla kobiet przestały działać w zeszłym roku. To były ostatnie miejsca, w których afgańskie kobiety mogły na parę godzin uciec od domowego zamknięcia.

Porządku obyczajowego pilnują patroli, ludzie uzbrojeni w kalasznikowy polepione taśmą klejącą, ale bardziej elitarnie „szwadrony śmierci”, które poruszają się nonszalancko w opancerzonych pick-upach, mają amerykańskie karabiny M16 i M4.

Nieliczne kobiety przemijające się ulicami noszą burki, nie wolno im zakładać butów sportowych, wysokich obcasów i jakichkolwiek białych elementów stroju. Zresztą przykazań dotyczących ich prawidłowego zachowania jest bez liku – a ich nieprzestrzeganie może prowadzić, bez żadnego procesu, do tortur i więzienia.

To ustęp z tych przepisów: „Kobieta musi zakrywać całe ciało. A także twarz, aby zapobiec nieporządkowi społecznemu. Głosy kobiet (w piosence, nawet nagraniu hymnu) muszą być ściśnione. Kobięcie ubrania nie powinny być cienkie, krótkie ani obcisłe”. Afgańskie kobiety mają zakaz korzysta-



nia z publicznych toalet, parków, kin, stadionów, siłowni, transportu publicznego razem z mężczyznami oraz uprawiania sportu w miejscach publicznych. Nie mogą używać smartfonów i prowadzić samochodu. Kiedy idą do lekarza, musi im towarzyszyć opiekun. Nie mogą podróżować samotnie dalej niż 72 km od miejsca zamieszkania. Oczywiście nie mogą opuszczać kraju.

Talibowie to nie monolit

Chociaż większość mężczyzn w Kabulu jest bardzo młoda, nie widać strojów sportowych ani koszulek piłkarskich – futbol to sport zakazany. Sportem narodowym jest krykiet. Ale zabrania się „naśladowania ludzi Zachodu pod względem wyglądu lub zachowań”. Zalecany jest tradycyjny afgański strój (salwar kameez): długie rękawy, luźny krój, sięga poniżej kolan. Broda musi mieć długość na co najmniej jednej zaciśniętej pięści. Wobec sztywnych reguł ubioru popularną formą ekspresji stały się kolorowe maty modlitewne wożone na siedzeniach motocykli. Męskie nakrycia głowy, to małe okrągłe czapki z Kandaharu (ultrakonserwatywnego regionu, z którego wywodzi się ruch talibów), które są popularne wśród młodych i czarne turbany, po których rozpoznaje się wyższych rangą. Miękka czapka z daszkiem pakul, powszechna wśród mudżahedinów walczących z Sowietami, jest źle widziana przez nowy reżim. Członkowie sił specjalnych noszą obowiązkowo czarne okulary marki Oakley.

Aby dostać się do naszego hotelu, przeznaczonego głównie dla korpusu dyplomatycznego w Kabulu, trzeba przejść przez pięć punktów kontrolnych, z przeszukiwaniem podwozia auta, wężącymi psami, prześwietleniami rentgenowskimi i wykrywaczami metalu. W hotelu płacić można tylko gotówką – i w dolarach: na reżim na-

łożono sankcje wykluczające go z międzynarodowego obiegu finansowego, a więc i z systemu płatności bezgotówkowych.

Ten hotel-bunkier talibowie zaatakowali w styczniu 2008 r., zginęło wtedy osiem osób. O tamtym ataku zdecydował obecny minister spraw wewnętrznych Sirajuddin Haqqani. „Przywódcy talibów powiedzą, że Afganistan jest znacznie bezpieczniejszy niż w 2021 r., kiedy zginęło tu aż 35 tys. ludzi”, mówi nam pewien afgański intelektualista, „i to prawda: nie ma już rebelii, bo to rebelianci są u władzy. Produkcja opium została zmniejszona o 90 proc. – to także cieszy międzynarodową społeczność. Dużym problemem talibów jest jednak ISIS-K, oddział Państwa Islamskiego, z którym nieustannie walczą. A na terytorium Afganistanu działa ok. 20 innych grup terrorystycznych”.

Niedawno minister rządu i członek potężnego klanu Haqqani został zamordowany w samobójczym ataku w biurze w centrum stolicy przez Państwo Islamskie.

Także podziały wewnątrz ruchu talibów wydają się być głębokie. Z jednej strony istnieje dość tajemnicze religijne skrzydło, kierowane przez mułłę Haibatullaha Ajundzadaha (mało kto go w ogóle widział), który dyktuje prawa, ale nie występuje publicznie. Z drugiej strony, w Kabulu jest wielu talibów, którzy byliby skłonni zgodzić się np. na edukację dziewcząt.

Ruch talibów nie jest monolitem, składa się – jak cały kraj – z mieszanek plemion i klanów. Jak karykaturalnie ujął to jeden z zachodnich kontrahentów w Kabulu: „Talibowie przypominają mi film Monty Pythona, w którym Judeański Front Wyzwolenia nie może się dogadać z Frontem Wyzwolenia Judei. Spaja ich pragnienie władzy. Ten kraj z pewnością nie jest tak pod-



Największym źródłem cierpienia kobiet jest obecnie odcięcie od edukacji. W Afganistanie masz dwa wyjścia: albo stawiasz opór albo popełniasz samobójstwo

porządkowanym i spacyfikowanym miejscem, jak głosi to propaganda rządu, który nie chce, żeby Afganistan był postrzegany jako państwo upadłe i bandyckie”.

UNICEF wyręcza rząd

Wjechaliśmy tu dzięki UNICEF-owi. Siedem głównych agencji ONZ nie opuściło kraju w sierpniu 2021 r., tak, jak właściwie wszystkie misje dyplomatyczne. Pozostały w Kabulu – ok. 150 ludzi – w otoczonym murem kompleksie przy drodze do Jalalabadu, który przypomina więzienie o zaostrzonym rygorze.

UNICEF ma uniwersalny mandat: jest globalnym adwokatem dzieci i ich matek. Pracownicy agencji w Kabulu nie mogą bez ochrony opuszczać terenu ogrodzonego drutem kolczastym w obawie przed porwaniami i atakami. Są tu bez rodzin. Ale mimo wszystko docierają tam, gdzie nie dociera afgański rząd. Oplacają pensje 27 tys. pracowników służby zdrowia, wspierają finansowo kolejnych 30 tys. i pokrywają koszty leków, sprzętu i szkoleń w 2400 ośrodkach zdrowia.

W skali roku zapewniają dostęp do opieki zdrowotnej 20 milionom ludzi, dostarczają czystą wodę (biegunka to główny powód zgonów małych dzieci) dwóm milionom osób, szczepią 1,4 miliona dzieci i ratują przed śmiercią 715 tys. poważnie niedożywionych dzieci. Plus zapewniają edukację 686 tys. dzieci (60 proc. to dziewczynki). „Dlaczego talibowie mieliby wyrzucić UNICEF, skoro wykonuje za nich połowę roboty?” – pyta jeden z dyplomatów.

Ale równie istotna jest ich rola „świadków oskarżenia”. Są świadkami zbrodni i nadużyć, których doświadczają afgańskie kobiety. Poruszają się w szarej strefie ciągłych negocjacji z talibami, „w któ-

rych trzeba być dyskretnym”, wyjaśnia osoba z ONZ zaznajomiona z sytuacją w Afganistanie. „Rząd nie może ich lekceważyć, ale muszą być ostrożni. Edukacja dziewcząt jest czerwoną linią rządu talibów: nie można z nimi o tym wprost rozmawiać. Ale w międzyczasie da się robić różne rzeczy po cichu, bez rozgłosu. Oferować kobietom wsparcie w swoich ośrodkach, nieoficjalnie. Są to bezpieczne miejsca, w których dziewczęta są chronione, a kobiety mogą się spotykać i rozmawiać; gdzie dba się o ich zdrowie psychiczne, gdzie omawia się zdrowe praktyki życiowe, opiekę nad dziećmi i podstawową edukację. Tylko w tej strefie cienia da się dziś w Afganistanie zapewniać ludziom lepsze życie”.

– A jaka jest rola afgańskich mężczyzn, mężów, ojców, braci w tym procesie?

– Ich podstawowe wsparcie polega na umożliwieniu żonom czy córkom udania się do tych ośrodków.

Afgański pracownik UNICEF-u w szpitalu publicznym wyjaśnia: „Mamy tu dodatkowy problem: pogruchatane psychiki. Dwunastoletnie dziewczynki załamują się, gdy są zabierane ze szkoły i zamykane w domu. Nie mają żadnych opcji, poza poświęceniem kogoś, kogo nawet nie mogą same wybrać. Cierpią na stany lękowe, depresję, bezsenność. Jedna trzecia dorastających dziewcząt w tym kraju ma anemię”.

„Ale – dodaje – to wszystko kobiety także hartuje. Dziś naszym narzędziem oporu są media społecznościowe, ponieważ na ulicach jesteśmy bezpośrednim celem talibów, a wszelkie demonstracje zostały ograniczone do minimum”.

Połowa samobójstw dotyczy bardzo młodych dziewcząt. Lekarka z Kabulu opowiada: „Każdą kobietą jest torturowana

w inny sposób, zarówno psychicznie, jak i fizycznie. Największym źródłem cierpienia jest odcięcie od edukacji. Nie mogą ani spędzać wolnego czasu jak chcą, ani wybierać ubrań, ani aspirować do jakiegokolwiek kariery. W Afganistanie dziś, jeśli jesteś kobietą, to albo stawiasz opór, albo popełniasz samobójstwo”.

Szkoły wyłącznie koraniczne

W ciągu kilku tygodni spędzonych z afgańskimi pracownikami UNICEF-u odwiedziliśmy też odizolowane zakątki kraju: prowincję Paktia, jedną z najbardziej konserwatywnych, położoną blisko granicy z Pakistanem; prowincję Wardak, od zawsze pod kurtelą talibów, którą amerykańskie siły specjalne długo bezskutecznie próbowały opanować; oraz do Surobi, do którego prowadzi słynny wóz Tang-e Gharu, gdzie w latach 80. w zasadzkę wpadli Rosjanie.

Nasz środek transportu to Toyota Land Cruiser 300 SUV, ważąca pięć ton i opancerzona (według oficera bezpieczeństwa, „wytrzyma serię z karabinów i eksplozję 15 kg trotylu, o ile nie nastąpi bliżej niż dwa metry”). Tylko podróż do Gardez odbyła się ze względów bezpieczeństwa w małej cennie przeznaczonej do lotów humanitarnych. Ładowaliśmy na pasie startowym o wyglądzie polnej ścieżki, pomiędzy złomem pozostawionym przez radziecką dywizję pancerną.

Na każdej trasie towarzyszy nam (i informuje centralę co robimy) eskorta ośmiu talibów w pick-upach, których koszty podróży pokrywa ONZ. „Chronią nas przed samymi sobą” – ironizuje jeden z naszych kierowców. Paki ich pojazdów to arsenały różnej broni, głównie amerykańskiej. Noszą mundury maskujące, ciemne okulary i rękawice z metalowymi wzmocnieniami. Nie wolno nam z nimi rozmawiać. Nie pozwalają się też fotografować.

Na wsi kobiety są jeszcze bardziej niewidzialne. Na widok przybyszy znikają nagle w domach. Nie sposób z nimi porozmawiać. Jedynym dowodem ich istnienia jest rozwieszzone pranie.

Całe połacie kraju są pozbawione bieżącej wody i elektryczności. W Afganistanie zmiany klimatyczne sięją spustoszenie, na zmianę intensyfikując susze i powodzie. Rolnik zarabia pięć dolarów za dzień pracy. Ludzie żyją z uprawy ziemniaków, kukurydzy i owoców. 45 proc. noworodków nie jest rejestrowanych, wiele z nich stanie się wkrótce dziećmi-żołnierzami.

Prawo w każdej wiosce pochodzi od starszyny, która wymierza sprawiedliwość zgodnie z kodeksami plemiennymi. Jak wyjaśnił jeden z plemiennych liderów w górach Paktia: „Talibowie rządzą w polityce, a my na co dzień. Dzielimy się władzą. Jesteśmy z tego dumni, załatwiamy sprawy bez policji i mullów. Jeśli kobieta chce rozwodu, mówię jej, że nie może tego zrobić ze względu na Pasztunwali [kodeks Pasztunów] i żeby wróciła do domu do męża i zmieniła swoje nastawienie”.

Kiedy starszy z innego plemienia jest pytany o prawa kobiet, odpowiada: „Mają swoje miejsce w domu, a mogą się gromadzić na pogrzebach i weselach”.

Dojście talibów do władzy reaktywowało medresy (szkoły koraniczne) – zwłaszcza dla kobiet, gdy zakazano im dostępu do szkolnictwa średniego. Według ministerstwa edukacji jest ich ponad 21 tys., z czego 70 proc. kontrolowanych jest przez rząd, a uczęszcza do nich prawie 100 tys. kobiet, dla których jest to jedyna opcja kontynuowania nauki, choć już przez pryzmat radykalnego islamu. Jak potwierdza jeden z Afgańczyków: „Moje córki chodzą do medresy na kilka godzin dziennie; przynajmniej wychodzą z domu, ale nie dostają oficjalnego certyfikatu i wpaja się im do głów wiele bzdur”.

Ale zgodnie z tymi samą doktryną, talibowie zmienili programy nauczania także w szkołach podstawowych, średnich i wyższych, z których usunęli np. koncepcję praw człowieka i równości płci, aby wprowadzić przedmioty takie jak recytacja Koranu, islamskie orzecznictwo sądowe czy

wybitne postacie islamu. Polityczno-religijne kaznodziejstwo jest dziś bardziej agresywne niż kiedykolwiek.

Podczas wizyty w pewnej wsi w Wardak, gdzie w szkole UNICEF zrobił instalację wody pitnej dla 430 uczniów, nauczyciel zachęcał chłopca, żeby zaśpiewał gościom czyli nam piosenkę. Śpiewał przez chwilę. Zapytaliśmy nauczyciela w talibskim stroju o czym jest piosenka, a on wyjaśnił, że to „popularna melodia szkolna”. Gdy odszedł, inny nauczyciel wyszeptał po angielsku: „Śpiewał część sury z Koranu o świętej wojnie, która mówi: »Wydź i walcz za sprawę Allaha«. Chodzi o dżihad. To część indoktrynacji w szkołach”.

Dwie dziewczynki, w wieku 15 i 10 lat, uczą się matematyki w Wardak. „Chciałybyśmy kontynuować naukę i służyć naszemu krajowi. Ale zmieniono przepisy” – mówi jedna. Rezygnację słychać również w głosie nauczyciela o imieniu Sima: „Co się z nimi stanie? Będzie tak, jak zechce Bóg”. Kobieta, która nie chce podać imienia, skarży się: „Koran mówi, że mamy takie same prawa jak mężczyźni, prawo do pracy i edukacji. Ten Koran talibów nie jest prawdziwy. Kiedy kobieta nie jest wykształcona, nie może nawet pomagać swoim dzieciom”.

„System edukacji jest priorytetem talibów – uważa Abdullah, 40-letni nauczyciel. – Konsekwentnie zastępują nowoczesne programy nauczania religią. Zbliżamy się do przepaści”. Abdullah mówi nie naganie po angielsku i ukończył dwa kierunki studiów. Ma cztery córki. Najstarsza kończy 12 lat i musi opuścić szkołę. Kiedy Abdullah mówi o ich przyszłości płacze.

„Moja córka w przyszłym roku będzie musiała zostać w domu, ucząc się z nami lub nieformalnie online, jak miliony innych dziewcząt w tym kraju. Problem polega na tym, że to tylko prowizoryczna alternatywa. Inną możliwością jest zapisanie jej do tajnej szkoły, ale to niebezpieczne. Edukacja dziewcząt jest przedmiotem wielkiej troski rodziców w Afganistanie. To z tego powodu tysiące rodzin opuszczają kraj”.

Poza granicami przebywa sześć milionów afgańskich uchodźców. W kraju kobietom zabrania się nawet spotykania się i rozmawiania ze sobą. Jedno słowo najwyższego przywódcy, Haibatullaha Ajundzady, siedzącego gdzieś w Kandaharze, radykalnie wpływa na ich egzystencję. „Talibowie czują się zwycięzcami i nie są skłonni do ustępstw” – mówi jeden z naszych afgańskich przewodników. „Społeczność międzynarodowa nie może o nas zapomnieć, nie może nas porzucić, są naszą ostatnią nadzieją” – mówi pielęgniarka, która nalega, by zacytować te jej słowa.

Po wycofaniu się zachodnich wojsk w 2021 r. świat nałożył na reżim sankcje gospodarcze. To jeszcze bardziej pogłębiło kraj, w którym połowa ludności głoduje, a średnia długość życia wynosi 54 lata. W niedawnym raporcie ONZ stwierdzono, że tylko w tym roku kraj będzie potrzebował 2,5 mld euro pomocy humanitarnej.

Dyplomatyczny bojkot Afganistanu jest ostatnim narzędziem społeczności międzynarodowej do wywierania presji na talibów, by przestrzegali podstawowych praw kobiet. Konsensus ten jednak pęka: Afganistan ma już otwarte ambasady w wielu krajach i utrzymuje coraz bliższe nieoficjalne stosunki z sąsiadami, Iranem, Pakistanem, Chinami i republikami Azji Środkowej, z większością krajów islamskich, Indiami i Rosją. Te kraje wstępnie ponownie otwierają swoje ambasady w Kabulu.

Afgański politolog: „Ostatnią kartą przetargową talibów są kobiety. Nie mają broni nuklearnej, ropy naftowej ani potężnych partnerów. Będą wykorzystywać prawa kobiet w negocjacjach dotyczących pomocy i uznania ze strony UE i USA. Pozornie luzować rygorów w zamian za ustępstwa”.

Kiedy pytamy 27-letnią pielęgniarkę Wahidę Arya z ośrodka żywieniowego Lewai Baba Jan, czy w Afganistanie lepiej być mężczyzną czy kobietą, uśmiecha się i: „Wolę być kobietą – jesteśmy z silniejsze”.

Mateusz Mazzini

Pobudka przed świtem, za oknem jeszcze ciemność, której wzrok nie przeniknie. Która – uwaga, spoiler – okaże się nieprzypadkowym szczegółem, powracającym w kolejnych odcinkach tej amerykańskiej sagi. Przecież opowiemy sobie zaraz o uczciwych, ciężko pracujących obywatelach USA, którzy do wszystkiego doszli własnymi rękami, choć wiatr wciąż wieje im w oczy, rząd federalny rzuca piach w tryby ich biznesów, liberalne elity próbują narzucić swoje kategorie estetyczne i zmienić podstawy stylu życia dziedziczone od pokoleń. Oni mają zawsze pod górkę, system jest ustawiony przeciwko nim – nawet jeśli są milionerami, a czasami i miliarderami. Mimo to nie poddają się, walczą o lepszą przyszłość. Swoją, swoich rodzin, całego kraju – udowadniając, że amerykański sen jest nadal możliwy, trzeba tylko robić dwie rzeczy.

Modlić się do Jezusa.

I raz na jakiś czas kogoś zabić.

Wróćmy do tej ciemnej jak smoła nocy. Młody, chudy jak szczapa chłopak imieniem Cooper szybko myje zęby, zakłada wymiętą, ubrudzoną koszulkę i wychodzi z baraku. Wsiada do pickupa, w którym czekają starsi koledzy z pracy. To Meksykanie, w większości po kilkuletnich odsiadkach. Pracują przy wydobyciu ropy, zarabiając spore kwoty, zwłaszcza jak na skazańców z nieuregulowanym statusem imigracyjnym. – 180 tys. dolarów rocznie – rzuca w pewnej chwili któryś.

Według Biura Statystyk Pracy, federalnej agencji zbierającej dane o rynku pracy w USA, taka kwota byłaby ponad trzy razy wyższa od średniego wynagrodzenia w Teksasie. Jednocześnie, jak podaje portal Glassdoor, agregujący informacje o zarobkach, to przeciętna pensja w tamtejszym sektorze wydobywczym.

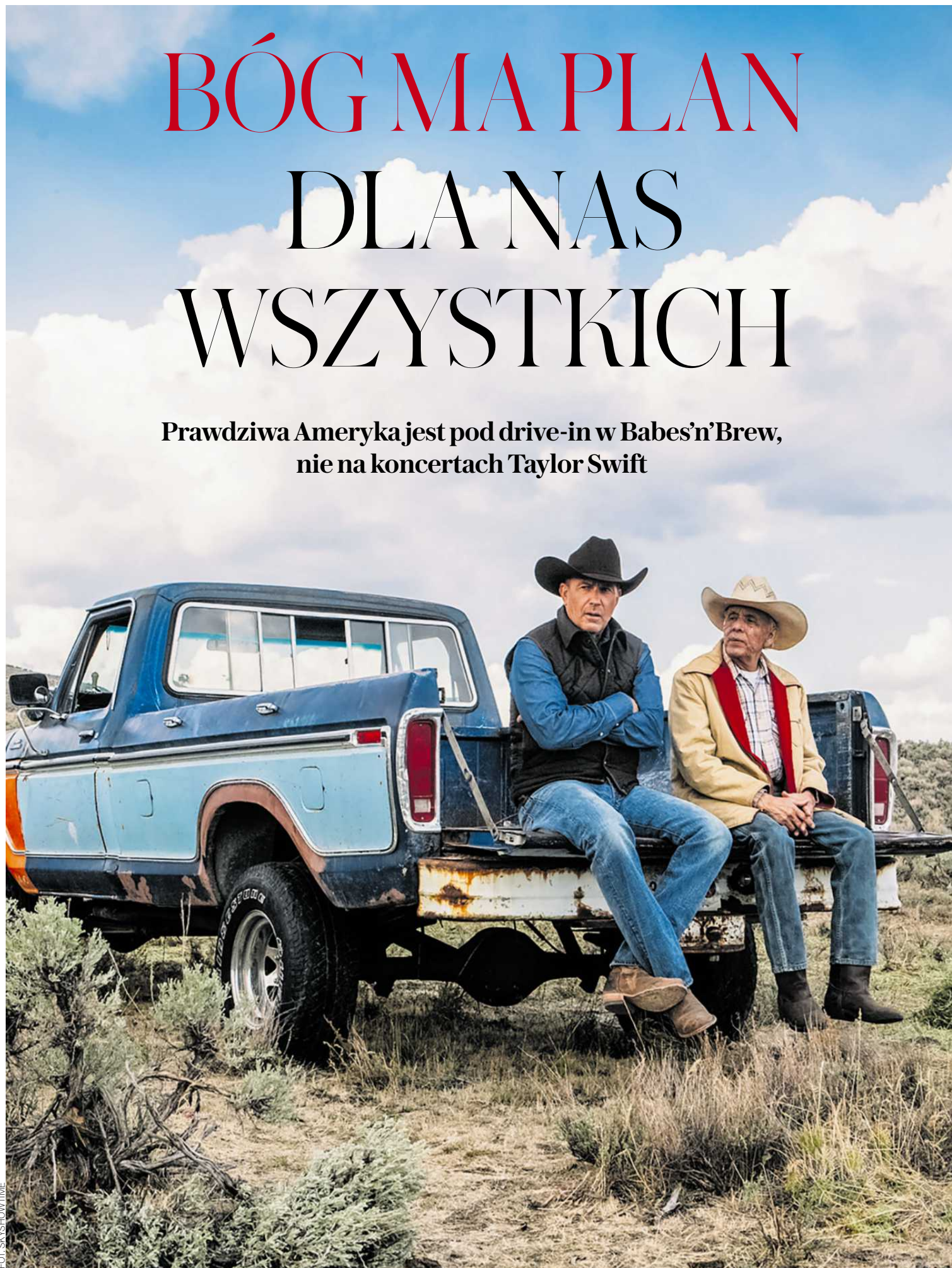
Po drodze do pracy Cooper i jego załoga zahaczają o miejsce o klarownej nazwie „Babes’n’Brew”. „Laski i Gorące Napoje” – ten biznes to prawicowa Ameryka w pigułce. Zrywający się bladym świtem robotnicy podjeżdżają pickuperem do okienka, z którego wychyla się przepiękna młoda blondynka o idealnym makijażu i uśmiechu jak z reklamy pasty do zębów. Słońce jeszcze nie wzeszło, a ona, w obcisłych szortach i różowym staniku od bikini, puszcza oczko do setek mężczyzn ustawiających się w samochodowej kolejce.

Zdecydowana większość z nich zamawia po prostu czarną kawę – bo to najlepiej, także ze względów żołądkowych, sprawdza się w trakcie długiego dnia ciężkiej fizycznej pracy. Cooper, który jest w pracy pierwszy dzień, popelnia jednak strategiczny błąd – zamawia latte.

Koledzy są wkurzeni, bo czas nagli, jak najszybciej zamówić, zerknąć na biust kelnerki, odebrać – i do roboty. A latte przygotowuje się dłużej niż zwykłą czarną z ekspresu przelewowego. Meksykanie muszą czekać i wywołują furię pozostałych kierowców. Wszystkim się tu spieszy, kolejka jest długa na kilkanaście samochodów, każdy należący do firmy wydobywczej. Mentalnie rozlega się jazgot klaksonów, a Cooper ma ochotę spalić się ze wstydu. Nie mówiąc o komentarzach dotyczących nieuchronnej biegunki i wymiotów z powodu mleka w jego kawie.

Kluczowy dla zrozumienia tej sceny jest jednak komentarz, który pada chwilę wcześniej. Kiedy chłopak zamawia latte, jeden z wkurzonych robotników pyta retorycznie: „I co, kurwa, jeszcze? Może byś chciał śniadanie kontynentalne?”

Nie chodzi tylko o wyśmiewanie chłopaka jako uprzywilejowanego mięczaka. Chodzi o nieskrywaną pogardę dla wszystkiego, co europejskie.



FOT. SKYSHOWTIME

Motyw, który powtarzał się w zdecydowanej większości kampanijnych przemówień Trumpa, powtórzy się wielokrotnie w tym i innych serialach.

Bo to nie jest reporterska scenka z podróży po Ameryce poza Nowym Jorkiem i Los Angeles, tylko początek **„Landmana: Negocjatora”**, jednego z najpopularniejszych obecnie amerykańskich seriali (w Polsce na SkyShowtime). Z gwiazdorską obsadą – Billy Bob Thornton, Demi Moore, John Hamm – pokazuje losy tzw. landmana, jak w naftowym biznesie nazywa się negocjatora od pozyskiwania roponośnych działek, czyli „człowieka od wszystkiego”, od czarnej, zakulisowej i wykonywanej poza prawem roboty w firmie wydobywczej.

Tommy Norris, grany przez Thorntona główny bohater „Landmana” i jednocześnie ojciec Coopera pijącego latte w pick-upie, jest kwintesencją współczesnych mi-

tów amerykańskiej prawicy. Pracuje w sektorze będącym fundamentem gospodarki – nie tylko tej w USA, ale na całym świecie. Z jednej strony jest bezwzględny, potrafi łamać prawo, nie boi się przemocy, z drugiej – najważniejsza dla niego jest rodzina, której broni za wszelką cenę, oraz lojalność wobec przyjaciela z dzieciństwa. Nawet jeśli jest nim szef, dzisiaj miliarder, wykorzystujący kumpla do rzeczy, których sam nie chce robić albo robić nie może – z powodów prawnych i wizerunkowych.

Dużo można pisać o świetnej grze Thorntona, doskonałej ścieżce dźwiękowej i malowniczych kadrach – ale to nie one tworzą „Landmana”. Za jego sukces wynikający z dopasowania do nastrojów społecznych w USA, odpowiada Taylor Sheridan – ten sam człowiek, który widzom na całym świecie dał kowbojski hit **„Yellowstone”**.

Tam akcja działa się w Montanie, a głównym bohaterem był John Dutton, grany przez Kevina Costnera ojciec rodziny i bezwzględny spadkobierca wielkiego

rancza. Wykorzystujący wszystko, na czele z polityką i administracją publiczną, do zachowania statusu quo. Porządku, w którym to on dyktuje wszystkim zasady gry.

Analogii pomiędzy obiema produkcjami jest mnóstwo. Obie dzieją się w stanach do bólu czerwonych, gdzie Republikanie zwycięstwo mają w kieszeni jeszcze przed wyborami. W Montanie od zakończenia II wojny Demokrat wygrał głosowanie prezydenckie tylko trzy razy, po raz ostatni Bill Clinton w 1992 r. W Teksasie zdarzyło się to cztery razy, ale ostatnio aż w 1976 r., przy okazji wygranej Jimmy’ego Cartera. Która też nie była takim wielkim ewenementem.

Bo Carter to co prawda nie Teksasńczyk, a do tego Demokrata, jawny przeciwnik segregacji rasowej, zwolennik równości płci, gołąb w sprawach zagranicznych – ale Południowiec, życie spędzający najchętniej w mieście w Georgii, tej, w której się urodził, syn plantatora i sam plantator, weteran, człowiek interesu i ciężkiej pracy. Więc swój.



FOILNET/PIX

▲ „Americas Sweethearts: Dallas Cowboys Cheerleaders” (2024). Dokument o morderczej rekrutacji dziewczyn do najlepszej grupy czilliderek w USA. Z tysięcy dziewczyn zostanie wybranych 36.

◀ „Yellowstone” (2018-24) serial o trudnym życiu ranczera-milionera w Montanie (Kevin Costner, z lewej). Patriarcha rodu John Dutton „amerykańskiego stylu życia” nie obronił, choć bardzo się starał.

► „Landman”(2023-) serial kreuje podobnego bohatera, choć Tommy Norris (świąteczny Billy Bob Thornton) życie związał z wydobywaniem ropy. Nie jest tak bogaty jak Dutton, ale jest tak samo bezwzględny, też nikogo i niczego się nie boi, a problemy rozwiązuje szybko, i bez udziału jakiegokolwiek władzy.



FOILNET/PIX

I w „Yellowstone”, i w „Landman” głównym bohaterem jest przeorany przez życie, podupadający już na zdrowiu biały mężczyzna, który kieruje się dobrem własnej rodziny – choć nigdy nie zapyta jej członków, czego tak naprawdę chcą od niego i od życia. On sam już dawno to zdefiniował – dla Duttona dobrem i celem rodu będzie odziedziczenie i dalsza ekspansja rodowego rancza, dla Norrisa – wyreżyserowanie kariery syna w sektorze wydobywczym.

A że „młody” się buntuje – to niczego nie zmienia, rodzina jest najważniejsza, ważniejsza niż prawo czy zobowiązania wobec świata. To credo w całości zgodne ze światopoglądem ruchu Make America Great Again. I z tym, jak na rzeczywistość patrzy Trump, budujący właśnie kolejną wielką amerykańską dynastię na styku polityki i biznesu.

Wszystko się tu zgadza pod względem politycznym, obyczajowym i estetycznym.

Sheridan przy dźwiękach muzyki country pokazuje szerokim kadrem monumentalne krajobrazy po horyzont, powielając mit o Ameryce, kraju nieskończonej przestrzeni i zasobów tylko czekających na człowieka. Najlepiej białego, bo rdzenni mieszkańcy nie są gospodarką eksploatacyjną – czy to hodowlą bydła w Montanie, czy wydobywaniem ropy i gazu w Teksasie – zainteresowani, a nawet gdyby byli, nie mają zasobów, by w nią wejść. Więc w czym problem, jeśli biali Amerykanie biorą się za gospodarowanie?

Dutton i Norris są archetypami obrońców „amerykańskiego stylu życia” – rozumianego jako sposób życia ludzi z dala od wielkich miast na wybrzeżu, choć przecież równoprawną częścią amerykańskiej mitologii, sukcesu i lifestyle’u są inżynierowie czy filmowcy. Ale w zbiorowej wy-

obraźni to nie inżynier czy filmowiec, ale ranczer i nafciarz zawsze biorą sprawę w swoje ręce i niczego nigdy się nie boją. A problemy rozwiązują sami bez angażowania służb publicznych. Jeśli przedstawiciele władz w serialach Sheridana się pojawiają, to tylko jako instrumenty w rękach bohaterów. To nie oni służą państwu, lecz państwo służy im, stanowym chlebodawcom i dobroczyńcom. A może – oligarchom?

Jak widać po kolejnych ruchach personalnych Trumpa, to oligarchia jest preferowaną przezeń formą rządów. A Taylor Sheridan znów trafia bez pudła, amerykańską rzeczywistość opisując lepiej niż najlepsi spin-doktorzy sztabu Republikanów.

Spośród całego zbioru politycznych mitów i narracji, którymi operuje ten 54-letni, pochodzący właśnie z Teksasu scenarzysta i producent telewizyjny, najważniejszy – i najbardziej przerażający – jest jednak subtelnie zaserwowany negatywny stosunek do wszelkich instytucji publicznych. Wszystko, co związane z rządem federalnym, jest z definicji złe i niechciane.

Pod tym względem bohaterowie „Landmana”, „Yellowstone”, Trump i Elon Musk mówią jednym głosem. Dutton nigdy nie wzywa policji do przestępstw na swoim ranczu, także dlatego, że sam popełnia ich najwięcej. A kiedy miejscowy szeryf odmawia wykonywania poleceń, Dutton wykorzystuje własne, dość absurdatne stanowisko Komisarza ds. Trzody i mobilizuje podwładnych do interwencji. Tommy Norris, gdy w jego firmie ktoś kradnie prywatny samolot, nie zgłasza tego żadnej ze służb, bo, uzasadnia, „przedstawienie w przedszkolu odbywa się sprawniej niż śledztwa prowadzone przez instytucje federalne”. Po czym wymienia całą listę trzyliterowych akronimów instytucji,

■
Perfekcyjnie zbudowane 19- i 20-latki tańczą dla Dallas Coboys wyzywająco, w skąpych strojach, niczym wcielenie lęków prawicy o seksualizacji młodzieży i popkultury. A religia jest dla nich najważniejszą rzeczą na świecie

które jego zdaniem działają wolno, nieefektywnie albo po prostu nie robią nic.

A kiedy wygraża meksykańskiemu gangsterowi, że jeśli nie przestanie przerzucać dragów przez pola naftowe, zwróci na siebie uwagę najpoważniejszych graczy – nie chodzi o agentów federalnych, ale Halliburton, drugą firmę wydobywczą świata, o kapitalizacji prawie 26 mld dolarów. Norris ostrzega przemysłowca, że „Halliburton robi na jego temat taką tęczkę śledczą, o jakiej FBI mogłoby tylko pomarzyć”. Czytaj: nie zadzieraj z gigantami amerykańskiego przemysłu. To oni, a nie waszyngtońskie instytucje, rządzą w tym kraju. A ich moc sprawcza jest nieporównywalnie większa od tych, których ręce związane są prawem i mandatem demokratycznym.

Wreszcie Sheridan przenosi na ekran wszystkie militarno-zbrojne fantazje amerykańskiej prawicy. Szmuglujący narkoty-

ki Meksykanie giną, trafieni rakieta zę śmigłowca Gwardii Narodowej, ćwiczącej na polach naftowych – pogranicze USA i Meksyku wygląda w „Landman” jak pole bitwy, utwierdzając odbiorcę w przekonaniu, że naprawdę trwa tam wojna. Dokładnie tak, jak od lat powtarzają Trump i jego akolici, w tym wpływowy senator Lindsey Graham z Karoliny Południowej.

Jak to ma się do rzeczywistości? International Crisis Group (ICG), międzynarodowy think tanków zajmujących się bezpieczeństwem, przygotował listę 10 konfliktów, na które należy zwracać uwagę w 2025 r. Znalazł się na niej potencjalny spór pomiędzy USA a Meksykiem wywołany działalnością karteli narkotykowych.

I nie chodzi wcale o dalszą destabilizację obszaru granicznego przez *narcos*, amerykańskich mundurowych czy jednych i drugich, ale o otwartą wojnę. Jak wiadomo z książek jego byłych doradców, m. in. Johna Boltona – przerażonego, choć jest nie lada jastrzębiem – Trump już za pierwszej kadencji rozważał ostrzał Meksyku rakietami Patriot. Tym razem zdaniem ICG ryzyko interwencji jest wyższe, bo w administracji federalnej znalazło się więcej zwolenników takiego rozwiązania.

Nowy doradca ds. bezpieczeństwa narodowego, Mike Waltz, już w zeszłym roku, jeszcze jako kongresmen składał projekt ustawy zezwalającej na wykorzystanie armii przeciwko kartelom narkotykowym – nie tylko w kraju. A Trump po zaprzysiężeniu nie tylko podpisał dekrety umożliwiające masowe deportacje nieudokumentowanych migrantów, ale wpisał też meksykańskie kartele na listę organizacji terrorystycznych. Co wcale nie jest tylko symbolicznym gestem – terrorystów łatwiej zgodnie z prawem aresztować, deportować czy zająć im konta bankowe.

No i wprowadził na obszarze przygranicznym stan wyjątkowy, skracając ścieżkę proceduralną do zastosowania niektórych rozwiązań. Teraz będzie łatwiej zmobilizować Gwardię Narodową, zawiesić przyznawanie azylu, zwiększyć obecność służb porządkowych na przejściach i przekierować środki federalne z dowolnego celu na budowę fortyfikacji wzdłuż granicy.

Na tym nowa administracja nie poprzestanie, bo Trump, tak jak przewidywali analitycy ICG, rozważa naloty punktowe z użyciem dronów na laboratoria wytwarzające w Meksyku narkotyki syntetyczne, a nawet wysłanie sił specjalnych przeciwko narkotykowym bossom – tak, jak wysłano komandosów, by zabić Osamę bin Ladena.

●
Tak jak w „Landman” główny bohater musi odpierać meksykańskich *narcos*, tak w „Yellowstone” protagonista zmaga się z paramilitarną bojówką. Uzbrojeni renegaci zostają wynajęci, żeby unicestwić całą rodzinę Duttonów – ale ranczerzy nie poddadzą się bez walki. Synowie Duttona biorą sprawy w swoje ręce, wyrzynając bojówkarzy, a potem prowadzą własne śledztwo.

Oba te wątki: bezprawie wzdłuż granicy z Meksykiem oraz napad bojówki skupiają w sobie jak w soczewce wszystkie elementy opowieści o współczesnej Ameryce, w którą wierzą ludzie z kręgu MAGA. A jeśli coś tu zgrzyta – Meksykanie jako szwarcchaktery pasują, ale uzbrojeni bojówkarze, ważny element wolnościowego imaginariusz trumpistów i alt-rightu?

Ale wszystko się zgadza, tylko na wyższym poziomie. Uczciwe i ciężko pracujące amerykańskie rodziny muszą drzeć o swój dobytek, a kraj wali się, bo rozszarpują go przybysze i naćpani napływającymi z zewnątrz przez nieszczelne granice narkotykami – ostatnio osławionym fentanyl – degeneracji zniszczeni przez dwie niepotrzebne wojny, w Afganistanie i Iraku. A przejęty przez skorumpowanych, nieefektywnych i zajmujących się tożsamościowymi bzdurami urzędników Waszyngton to Sodoma i Gomora, stamtąd pomoc nie przyjdzie. Trzeba najpierw problemy rozwiązać samemu, a potem federalną

stajnię Augiasza oczyścić – najlepiej ją likwidując.

Aby zrozumieć stan ducha przeszło połowy Amerykanów, po „Landmanie” i „Yellowstone” należy włączyć jeszcze jeden serial – „America’s Sweethearts: Dallas Cowboys Cheerleaders”. Dokument Netflix pokazuje proces rekrutacji do drużyny czirliderki Dallas Cowboys, teksańskiego zespołu z ligi futbolu amerykańskiego NFL.

„Kowboje” są w tej chwili drużyną mocno przeciętną, poprzedni sezon zakończyli z 10 porażkami w 17 meczach, ostatni raz w Super Bowl zegrali 29 lat temu. Ale DCC, jak nazywa się zespół tancerek, jest powszechnie uważany za najlepszą tego typu formację na świecie. O miejsce w drużynie co roku walczą tysiące dziewczyn, które na proces selekcji przyjeżdżają z całego kraju. Na koniec zostaje ich 36 – wybranych nie tylko na podstawie umiejętności tanecznych, ale przede wszystkim, urody. Kiedy już przejdą selekcję pełną zawołanej przemocy, podczas której można zostać odstrzeloną za niedokładnie nałożony cień do powiek, ale z uśmiechem i komunikatem „zawsze będziesz częścią naszej rodziny”, czirliderki z Dallas ćwiczą dzień i noc pod czujnym okiem dwóch mężczyzn, którzy zarządzają właściwie całym ich życiem.

Pierwszym jest Jerry Jones, właściciel Dallas Cowboys. Fortuny dorobił się na ropie i gazie, jego majątek magazyn „Forbes” wycenia na 17,3 mld dolarów. Jones gra również siebie samego w „Landmanie”, jest matuzalemem wszystkich prezesów sektora wydobywczego, wzorem do naśladowania dla młodszych rekinów biznesu. Wszystko osiągnął – co podkreśla w długim monologu – własnymi rękami, a za największy sukces uważa nie miliardy na koncie i drużynę kochaną przez miliony kibiców, lecz wciągnięcie do biznesów własnych dzieci. „Najbardziej cieszę się, że mogłem w życiu pracować u boku dzieciaków” – mówi Jones. Wszyscy wiedzą, że on jest w Teksasie numerem dwa.

Bo numerem jeden, tak jak w całej Ameryce spod znaku MAGA i w życiu dziewczyn z DCC, jest Jezus Chrystus. Choć te perfekcyjnie zbudowane 19- i 20-latkę tańczą wyzywająco w bardzo skąpych strojach, niczym wcielenie lęków (a w istocie fantazji) prawicy o seksualizacji młodzieży i popkultury, religia jest dla nich najważniejszą rzeczą na świecie.

Reece Weaver, obecnie tańczącą w DCC już drugi sezon, poznajemy, kiedy stara się

o wejście do zespołu i wpuszcza widzów do swojego życia. Jest świetną tancerką, od najmłodszych lat trenuje i równą pasją oddaje się makijażowi i modzie. Zupełnie jak tysiące innych młodych Amerykanek wymachujących pomponami przed meczami futbolu. Kiedy jednak zza kamery pada pytanie o motywację do przyścia na casting do DCC, bez namysłu odpowiada, że „wszystko, co robi, robi dla Jezusa”. Potem wielokrotnie modli się przed występami i zakłada grupę modlitewną, do której zaprasza koleżanki z zespołu.

Specjalnie namawiać ich nie musi, bo większość – a prawie wszystkie pochodzą z południa USA – jest bardzo religijna. Po treningach chodzą razem na nabożeństwa do jednego z lokalnych *megachurches* – społeczności neoprotestanckich, które Europejczykowi trudno nazwać kościołami. Ich spotkania odbywają się w wielkich halach koncertowych, nie mają nic wspólnego z intymnością, refleksją i mistycyzmem europejskiego chrześcijaństwa. To wielkie show z charyzmatycznym pastorem na środku sceny, wyzywającym do reform w swoim życiu osobistym.

W jednym z odcinków Reece zabiera koleżanki do swojego lokalnego *megachurch*. Pastor w doskonale skrojonym garniturze, bardziej przypominający standupera i mówcę motywacyjnego niż duchownego, centralna postać show, wykrzykuje hasła na chwałę Boga z intensywnością i emocjami konferansjera na bokserkim ringu. Kazanie pełne wielkich kwantyfikatorów – wszystko „największe”, „najlepsze”, „cudowne” – jest jednym wielkim wezwaniem do działania w imię Jezusa. Brzmi – z tą tylko różnicą, że Trump ma wciąż Boga na ustach, ale tak, by przypadkiem nie złożyć deklaracji wiary – niczym stary-nowy prezydent USA na każdym swoim wiecu. A Reece i jej koleżanki wiwatują na sam widok swojego duchowego przewodnika. Tak jak tłum na mitingach Republikanów, gdy Trump wkracza na scenę.

Filmowcy kilkakrotnie jeszcze pokazują, jak te nabożeństwa wyglądają od środka: przejęte czirliderki w pełnym makijażu, trzymające się za ręce w czasie głośnego kazania, to Ameryka – ta zwykła, spoza konferencji prasowych Demokratów i koncertów Taylor Swift – w pigułce.

Ale w tańcu dziewczyn z DCC ujawnia się nie tylko obyczajowość, także polityka. Bo choć bohaterki są wybitnymi tancerkami, ćwiczą kilka godzin dziennie i wykonują ważną pracę dla klubu należącego do mi-

liardera, nie dostają ani grosza. To dosłownie działalność charytatywna, choć wymaga lat poświęceń i pełnej dyspozycyjności. Czirliderki nie mają prawa odmówić udziału w żadnym występie medialnym, trenują w pocie czoła, a potem występują przed dziesiątkami tysięcy widzów. Ponieważ jednak z perspektywy ludzi zarządzających tym biznesem są tylko świecidełkiem, i to takim, które marzy, żeby nim być, nikt im za to nie płaci.

A one nigdy się nie buntują. Finansowo zależne od partnerów, zarabiają czasem jakiś grosz dzięki mediom społecznościowym lub po prostu pracują pomiędzy treningami. W opowieści o tych 36 dziewczynach bez trudu znaleźć można archetyp kobiety według dzisiejszej amerykańskiej prawicy. Śliczna, zgrabna, wysportowana i jednocześnie głęboko wierząca, religijna, posłuszna i przywiązana do partnera. Ma robić to, do czego kobiety są przeznaczone: zapewniać tłumowi rozrywkę. Pieniądze? To sprawa dla faceta.

W tych trzech serialach widać wszystkie fundamenty współczesnej Ameryki, która właśnie po raz drugi wyniosła do władzy Trumpa. Ścisły podział ról według płci, religijność w życiu codziennym, gloryfikacja tego, co zawsze było i jest na wskroś amerykańskie: futbol, broń, wydobywanie paliw kopalnych i hodowla bydła. Jeśli jedzenie, to tylko steki i burgery, jeśli alkohol – piwo i burbon. Samochody? Pick-upy, żadne elektryki. W tych serialach America albo już jest great again, albo zaraz będzie. Dzięki takim ludziom jak John Dutton, Tommy Norris, Jerry Jones i Jezus Chrystus.

Taylora Sheridana artystyczne elity jeszcze w pełni nie doceniły. Dostał kilka nominacji, w tym za scenariusze do „Sicario”, gorzkiego thrillera o walce z *narcos* i tragicznych paradoksach amerykańskiej wojny z narkotykami, oraz do „Hell or High Water”, neo-westernu o desperacji zdeklasowanych z nie własnej winy białych mężczyzn, ale konto serialowe pozostaje ubogie. Widzowie jednak już zagłosowali. „Yellowstone” był najczęściej oglądanym w USA serialem 2022 roku. „Landman” po pierwszym sezonie notuje świetne wyniki, idąc po nominacje i nagrody za grę aktorską i produkcję.

Kiedy więc wielu komentatorom, wychowanemu na mantrze o liberalnym, wręcz lewicującym świecie popkultury, wciąż wydaje się, że Hollywood i amerykański przemysł rozrywkowy na dobre za-domowią się w ideologiach progresywnych, następuje gigantyczne odbicie. Wi-

dzowie wolą brutalnych białych heteryków z zakrwawionymi twarzami od zróżnicowanych rasowo i pod względem tożsamości seksualnych grup znajomych z wielkich miast. Tak samo, jak amerykańscy wyborcy wolą Trumpa od Kamali Harris i całej dzisiejszej Partii Demokratycznej.

Co więcej, bohaterowie Sheridana, w sposób bliźniaczo podobny do członków ruchu MAGA, są niemal religijnie przekonani o słuszności swoich poglądów. Zachowują się, jakby działali z bożego polecenia.

A sam Sheridan zgrabnie to podsumował w „Landmanie”. Oto podczas spotkania prezesów i lobbystów sektora wydobywczego wybuch dyskusja o przyszłości branży: co z odnawialnymi źródłami energii, z konkurencją Chin i Rosji, ze zwiększeniem eksportu. Spór ucina jeden z siedzących przy stole mężczyzn, który rozgląda się po pokoju, wzdycha i mówi: „jestem przekonany, że Bóg ma plan dla nas wszystkich”.

Jakby cytował Trumpa. 20 stycznia, w pierwszym przemówieniu po zaprzysiężeniu, 47. prezydent Stanów Zjednoczonych odniósł się do zamachu na jego życie na wiecu w Butler w Pensylwanii. Mógł zginąć, przeżył – oznajmił całemu światu – tylko dzięki boskiej interwencji. A Bóg uratował go właśnie po to, żeby „znowu uczynić Amerykę wielką”. ●



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Mateusz Mazzini

● (ur. w 1990 r.) – reporter, socjolog, latynoamerykanista. Absolwent Oksfordu, studiował także w Kordobie i Bilbao oraz na University College London. Pisze o krajach Ameryki Łacińskiej, globalnego Południa, wydarzeniach na zachodzie i południu Europy oraz o europejskiej skrajnej prawicy. Nominowany do Grand Press za reportaż prasowy w 2020 r. Autor książek „Koniec tęczy. Chile po Pinochecie” oraz „Włochy prawdziwe. Podróż śladami mafii, mi-gracji i kryzysów”. Współprowadzi program „Wider View” w TVP World.



REKLAMA

Kraj/34358019

**SAMOTNOŚĆ
NIE JEST TAK ZŁA,
A MAŁŻEŃSTWO
TAK DOBRE,
JAK NAUCZONO CIĘ
WIERZYĆ,**

przekonuje Peter McGraw,
autor błyskotliwego
poradnika „Solo”
o sztuce życia w pojedynkę.
Odkryj stan umysłu solo
i dowiedz się, jak cieszyć się
własną pojedynnością
w świecie, kręcącym się
wokół związków.

Żyj szczęśliwie własnym życiem

Solo

Peter McGraw

**ŻYJ SZCZĘŚLIWIE
WŁASNYM
ŻYCIEM BEZ WZGLĘDU
NA OKOLICZNOŚCI**

PREMIERA 29 STYCZNIA

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYSZ NA



WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA

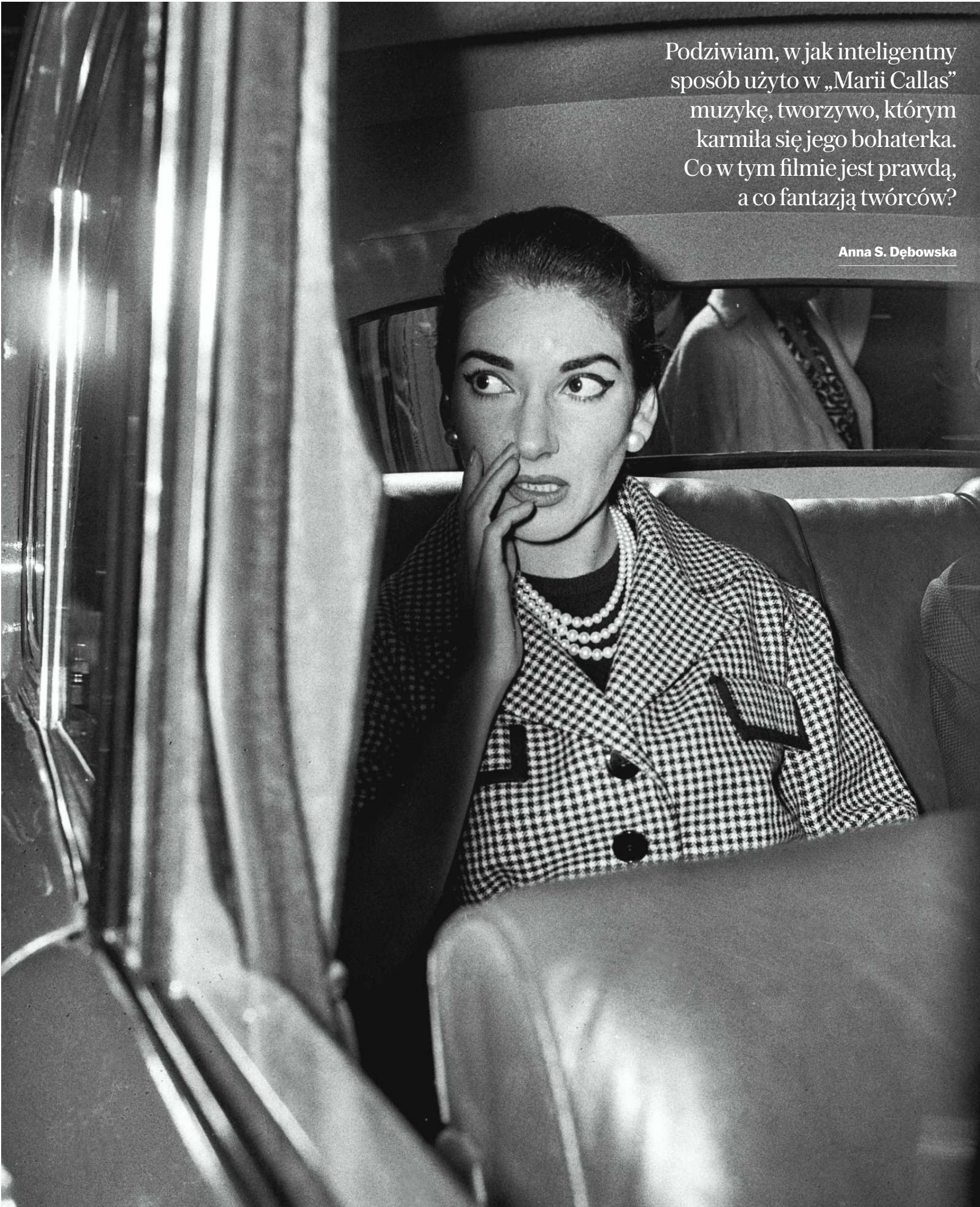


OBYCYZAJEKULTURANAUKA

Szlachetny ptak ze złamanymi skrzydłami

Podziwiam, w jak inteligentny sposób użyto w „Marii Callas” muzykę, tworzywo, którym karmiła się jego bohaterka. Co w tym filmie jest prawdą, a co fantazją twórców?

Anna S. Dębowska



• Maria Callas (1923 -1977) genialna śpiewaczka, spran dramatyczny, niezwykła skala głosu. Żyła jak bohaterki oper, których partie śpiewała: była wspaniała, okrutna, kochała do szaleństwa i była potwornie nieszczęśliwa. Na zdj. W samochodzie przed hotelem Savoy w Londynie, 29 września 1959 r.

Dziewczyna o kruczoczarnych włosach śpiewa „Habanerę”. Może mieć 17 lat. Oficer SS zaczyna płakać. Są sami. Wcześniej ona zsunęła ramiączka sukienki, myśląc, że przyszedł po seks, ale on powiedział: „Śpiewaj!”.

Modlitwa Desdemony

Film „Maria Callas” zaczyna się jednak nie od tej sceny z młodości ale od śmierci diwy – kamera pokazuje pałacowe wnętrza paryskiego apartamentu i sanitariuszy z noszami. I wtedy odzywają się dźwięki wokalizowanej modlitwy – „Ave Maria piena di grazia”.

To głos Callas z offu, w arii Desdemony w „Otellu” Verdiego, nagranie z 1964 r. To mocny przekaz nie tylko dlatego, że muzyka jest piękna, a głos Callas brzmi w niej szlachetnie.

Jest głębsze znaczenie. Desdemona całym sercem kocha Otella. Szykuje się do snu, odmawiając modlitwę, ale ma złe przeczucia. Za moment on wtargnie do sypialni i udusi żonę, aby dać upust swej obsesyjnej zazdrości. Kobieta zawsze jest podejrzana i zawsze nie taka, jaka powinna być zdaniem mężczyzny.

W jej życiu był taki mężczyzna fatalny – Arystoteles Onassis, Ari – grecki milioner, armator statków, właściciel linii lotniczej. „Nie chciał się ze mną ożenić, wiedział, że nie będzie mógł mnie kontrolować” – powie Maria w filmie.

Istotnie, Callas poświęciła dla niego wszystko. Zeszła ze sceny w wieku 42 lat, aby być bliżej niego, a on ożenił się z inną.

Wcześniej zaś miał maltretować gwiazdę psychicznie i fizycznie oraz zmusić do przeprowadzenia aborcji – pisze o tym Lyndsy Spence, autorka wydanej kilka lat temu książki „Cast a Diva: The Hidden Life of Maria Callas”. Reżyser Franco Zeffirelli uważał, że to przez Onassisa przestała śpiewać i straciła chęć do życia.

Na ekranie, na tle śpiewanej modlitwy Desdemony trwa wielka retrospekcja ukazująca pasmo sukcesów Callas.

Oto ona – z twarzą Angeliny Jolie – w kostiumach scenicznych obrzucana kwiatami, fotografowana w teatrze i prywatnie, relaksująca się na jachcie, rozbawiona na rautach z możnymi tego świata.

To wszystko przemyka przed naszymi oczami, zanim rozpocznie się właściwa akcja, która zatoczy koło i po dwóch godzinach seansu wróci do punktu wyjścia: sanitariusze wyniosą zwłoki na noszach.

Kobieca trylogia

„Maria Callas” może wzruszyć nie tylko miłośników opery. To bardzo ludzkie spojrzenie na człowieka ze wszystkimi jego słabościami i rozterkami. Status społeczny i sława nie ratują Callas przed osobistym nieszczęściem i załamaniem psychicznym.

Na pierwszy rzut oka wszystkiego można jej pozazdrościć – mieszka otoczona marmurami i stylowymi meblami. Rano pokojówka przynosi jej kawę do łóżka. Jest wolna, może cieszyć się życiem. Wystarczy jednak spojrzeć w jej smutne oczy, aby przekonać się, że mamy do czynienia z najniebezpieczniejszą istotą pod słońcem.

Film o słynnej śpiewaczce, w którą wcieliła się Angelina Jolie, domyka trylogię Pablo Larraína o kobietach, które były ikonami kultury XX w., a których życie trudno nazwać szczęśliwym. Dziewięć lat temu Chilijczyk nakręcił „Jackie” o Jacqueline Kennedy, wdowie po zastrzelonym w Dallas prezydencie Stanów Zjednoczonych. W 2021 ukończył „Spencer” o księżnej Dianie, do którego scenariusz napisał Steven Knight.

Teraz film o Callas.

Kim była? Tylko najmłodszemu pokoleniu trzeba to wyjaśniać. Swoim głosem była w stanie przekazać najmniejsze drgnięcia emocji. Klániali jej się wielcy tego świata. Churchill zabiegał o rozmowę z nią, a nie odwrotnie, gdy oboje spotkali się na Lazurowym Wybrzeżu.



Johna Fitzgeralda Kennedy’ego rzeczywiście zaszczyciła swoją obecnością, ale nie na lunchu, jak to pokazują w filmie, lecz wykonaniem „Habanery” na jego urodzinowym przyjęciu, tym samym, na którym Marilyn Monroe nuciła „Happy Birthday Mr President”.

Callas stała się mitem za życia, chociaż jej kariera nie była długa – trwała 26 lat z licznymi przerwami spowodowanymi niedyspozycją głosową i zdrowotną. W ostatnich latach próbowała jeszcze występować – ostatecznie zamilkła w 1973 r. po nieudanej trasie koncertowej obejmującej Europę, Amerykę Północną i Azję.

Spotkanie, którego nie było

Muzyka kilkakrotnie zwiastuje w filmie śmierć. W jednej z retrospekcji – przeszłość pojawia się na czarno-białej taśmie filmowej – odzywa się orkiestrowy wstęp do arii „E lucevan le stelle”. I znów ważny jest kontekst. Cavaradossi śpiewa ją przed egzekucją, oplakując swoje życie artysty malarza i barwnego ptaka, który wpłatał się w polityczną intrygę.

I właśnie ów charakterystyczny, melancholijny temat wprowadzony przez klarinet, towarzyszy scenie pożegnania Callas z Onassisem. Milioner umiera w klinice pod respiratorem. Z ulgą przyjmuje wizytę dawnej kochanki.

Przed laty kochali się i walczyli ze sobą, teraz są jak przyjaciele. Rozmowę przerwywa wiadomość o przyjeździe małżonki Onassisa, Jackie. Na korytarzu słychać jej kroki, więc Callas musi się wymknąć tylnymi drzwiami. Robi to bez oporu, z wyrazem wyrozumiałości w smutnych oczach, ale potem mówi: „Nawet w obliczu śmierci byłam tylko sekretem”.

Ta sytuacja prawdopodobnie nie miała miejsca.

W 1975 r. Onassis przeszedł operację pęcherzyka żółciowego w Szpitalu Amerykańskim w Paryżu. Jego stan się pogorszył, przetaczano mu krew. Wybrał francuską stolicę, choć mógł się leczyć w Nowym Jor-

ku. Czy dlatego, że w Paryżu mieszkała jego dawna miłość?

Nie byli ze sobą już od siedmiu lat, choć niektórzy biografowie twierdzą, że spotykali się potajemnie, bo Onassis tak naprawdę nie kochał świeżo poślubionej żony. Z pewnością jeszcze długo po zerwaniu z Callas chciał ją trzymać na smyczy. Wydzwaniał do domu, a Bruna, służąca Callas, kłamała, że pani jest nieobecna.

Biografka Callas Arianna Stassinopoulou pisze, że Callas dowiadywała się o stanie zdrowia Onassisa za pośrednictwem przyjaciółki.

Czy wizyta doszła do skutku? Niektórzy twierdzą, że tak, ale Stassinopoulou nie wspomina o tym ani słowem, dając do zrozumienia, że Callas nie przestąpiła progu szpitala, chociaż bardzo przeżywała chorobę Ariego.

– Wierzone, że Marii udało się przeдрzeć przez kordon paparazzich koczujących pod szpitalem i dostać się do Onassisa na pół godziny. Ale on miał już wtedy problemy z mówieniem, cierpiał na halucynacje. Myślę, że Callas wymyśliła tę wizytę. Miała tendencję do romantyzowania swej relacji z Onassisem, szczególnie po jego śmierci, i takie zakończenie, w którym słyszy od niego, że ją kochał, byłoby bardzo po jej myśli – mówi „Wyborczej” biografka Lyndsy Spence.

Gwiazda postanowiła polecieć do Palm Beach na Florydzie. Tam zastała ją wiadomość o śmierci Onassisa. Umarła dwa lata później, miała 54 lata.

Inna śmierć

Sporo jest w „Marii Callas” fantazji, rzeczy, które wprawdzie mogły się wydarzyć, ale nie miały miejsca, a nawet jeśli się zdarzyły, to w innym czasie i okolicznościach. Mamy więc do czynienia z kreacją filmową, a nie biografią – zbyt wiele scen odbiega tu od prawdy.

Pablo Larraín i scenarzysta Steven Knight podjęli próbę odtworzenia końcówki życia osoby po traumie, na ciężkich

lekach, nieumiejącej zmierzyć się z własną wielkością.

Śmierć Callas też wyglądała inaczej. W filmie to ostatni występ primadonny do dźwięków arii „Vissi d’arte, vissi d’amore” („Żyłam sztuką, żyłam miłością”) – może nieco pompatyczna scena śmierci artystki, która nie może żyć bez sztuki.

Jak było naprawdę, wiemy z przekazów Bruny.

Przyczyną śmierci Marii Callas mogło być przedawkowanie leków spowalniających pracę mięśnia sercowego (głównym winowajcą był Mandrax, o którym za chwilę). Ale Callas chorowała także na zapalenie skórno-mięśniowe, przewlekłą chorobę, która osłabia mięśnie i układ nerwowy.

16 września 1977 r. Callas obudziła się po południu. Zjadła śniadanie, po czym z sypialni spróbowała przejść do łazienki. Zakręciło jej się w głowie, gwałtowny ból przeszył lewe ramię. Upadła.

Bruna i drugi służący Ferruccio pomogli pani położyć się do łóżka, zaczęli wydzwaniać do znajomego lekarza i na pogotowie. Gdy Bruna znów weszła do sypialni, Callas nie żyła. Jej matka, Evangelia Kallogeropoulos, o śmierci córki dowiedziała się z telewizji.

Ten nieznoszny Mandrax

Larraín i Knight próbują w cyklu retrospekcji odtworzyć kluczowe momenty życia bohaterki, pokazać, co sprawiło, że schowała się przed światem. Dlaczego wybrała życie w zamknięciu po wielu latach sukcesów artystycznych, brylowania na salonach i pierwszych stronach gazet. Czy bardziej dobijało ją odrzucenie przez kochankę, a później jego śmierć, czy utrata głosu i sił artystycznych?

Przywołajmy taką scenę – z wielkiego tarasu rozciąga się obłędny widok na wieżę Eiffla. W tle słychać wspaniałą chór Cyganów z II aktu „Trubadura”. Maria Callas wyszła na spacer, ale w wyobraźni wciąż jest na scenie. Obraz nabiera dynamiki, grupa ludzi porusza się w rytm muzyki



• Jej kariera była spektakularna, ale trwała z przerwami tylko 26 lat. Ostatecznie zamilkła w 1973 r. Na zdj. z tenorem Giuseppe Di Stefano na pożegnalnym koncercie w Festival Hall w Londynie, 4.12.1973 r.

• Przemysłowiec Giovanni Battista Meneghini był od niej 30 lat starszy. Pobrali się w 1949 r. Interesy go nudziły, więc został jej agentem. Rozstali się w 1966 r. Na zdj. na plaży Lido w Wenecji w 1950 r.

• Arystoteles Onassis, najbogatszego człowieka na świecie i kolekcjonera sławnych kobiet, spotkała pod koniec lat 50. Wielka miłość skończyła się depresją i próbą samobójczą. Na zdj. w Wenecji, 1959 r.



Do miłości szczęścia nie miała.
Uwielbiana przez miliony czuła się niekochana. Matka traktowała ją jak szansę na lepsze życie, mąż Giovanni Battista Meneghini – jak rezerwuar pieniędzy, Onassis – jak sławną kobietę, którą trzeba upolować, a potem można nią gardzić



FOT. TIM GRAHAM/EVENING STANDARD, ARCHIWIO CAMERAPHOTO EPOCHE/ULLSTEIN BILD/GETTY IMAGES

Verdiego – wszyscy są statystami w genialnym przedstawieniu kreowanym w głowie diwy.

Albo ta scena: drzewa w kolorach jesieni, krople deszczu, secesyjny budynek konserwatorium, w tle dźwięki jak ze snu – to „Coro a bocca chiusa” z „Madame Butterfly”. Nadbiegają dziewczęta w czerwonych kimonach, z parasolkami.

Jest trochę kiczowato, ale to kolejna wizja Marii, wizja, której paliwem jest wywołujący sennie wizje Mandrax. Tym imieniem przedstawia się też młody przystojny dziennikarz, który przeprowadza ze sławną śpiewaczką ostatni wywiad. To znów tylko wyobrażenie. Film balansuje na granicy rzeczywistości i halucynacji, tak jak balansowała Callas pod koniec życia.

Istotnie, końcówkę życia spędziła w narkotycznym śnie zamknięta w swoim apartamencie przy avenue Georges Mandel, którego wnętrze pieczołowicie odtworzył scenograf Guy Hendrix Dyas. Za sprawą Mandraxa całymi dniami spała jak pod narkozą.

Mandrax to była handlowa nazwa metakwalonu, syntetycznego związku chemicznego, który wszedł na rynek farmaceutyczny w latach 60. XX w. Działał podobnie jak używane powszechnie w tamtych czasach barbiturany – obniżał aktywność mózgu, uspokajał, pomagał odciąć się od napięcia. Barbiturany były niebezpieczne, to one zabiły Marilyn Monroe. Lecz szybko się okazało, że Mandrax, który miał być alternatywą, też uzależnia, skłania do przedawkowania i zabija.

W Stanach Zjednoczonych nosił nazwę Quaalude, lękalo go wielu kontrkulturowych muzyków. „Quaaludes and red wine” („Quaaludes i czerwone wino”) – śpiewał David Bowie w piosence „Time”.

Ostatecznie wycofano go z rynku w 1984 r., ale już wcześniej wiele krajów umieściło metakwalon na liście preparatów zakazanych, m.in. Francja. Mimo to gwiazda nigdy nie miała problemów z dostępem do tego podejrzanego specyfiku.

W filmie Maria stara się przechytrzyć służących starających się jakoś zapanować nad jej nalogiem. Chowa tabletki po kieszeniach, a oni je wyciągają, żeby nie przedawkowała. Ferruccio notuje w zeszycie wszystkie leki, które wzięła każdego dnia.

Smutna ta Callas, bardzo smutna, jest cieniem samej siebie, gdy ją poznajemy. Po rozstaniu z Onassisem myślała jeszcze o powrocie na scenę. Zagrała w „Medei” Piera Paola Pasoliniego (1969), gdzie musiała się nauczyć gry przed kamerą, bo tam akurat nie śpiewała, chociaż Medea z opery Cherubiniego należała do jej najsłynniejszych ról.

Pasolini powiedział: „Jestem zafascynowany cechami osobowości Marii Callas. Widzę ją jako kobietę nowoczesną, o duszy należącej jednak do świata starożytności. Jest to więc postać, która zadziwia, fascynuje, roztacza magiczny urok, ale i przeżywa straszliwe wewnętrzne konflikty”.

Po śmierci Onassisa niemal przestała wychodzić z domu, chyba że na spacer z dwoma pieskami Pixie i Djedda.

Każde wykonanie jest inne

Ludzie rozpoznawali ją idącą samotnie ulicami wytwornej 16. dzielnicy Paryża. Była przecież *prima donna assoluta*, samica alfa wśród najlepszych śpiewaczek.

Ta sytuacja z filmu mogła się wydarzyć naprawdę. Ona jest wzburzona, przed chwilą, gdy siedziała przy kawiarnianym stoliku, ktoś ją zaczepił, przypominając dawną niedyspozycję, przez którą odwołała występ.

Właściciel knajpy, *le patron*, spogląda z ogromnym niepokojem, widząc, jak Callas z trudem panuje nad nerwami. Z płyty puszcza jej fragment opery Alfredo Catalaniego „La Wally”.

Odzywa się głos kobiety podziwianej przez miliony. A wtedy ona – Maria, ta słaba i samotna – reaguje, każe mu wyłączyć. Jest zła, ponieważ czuje, że skarb, który straciła wiele lat wcześniej, stał się własnością innych. Kiedyś głosem zniewalała, teraz nie ma tej mocy.

„Nie słucham własnych nagrań” – tłumaczy. „Dlaczego?” – błysk w oku *patrona*. Ona: „Bo są doskonałe. A pieśń nie powinna być doskonała. Powinna być wykonywana w danej chwili, za każdym razem inaczej”.

Scenarzysta włożył w usta Callas ważny komentarz do naszej współczesności. Żyjemy w czasach, gdy fonografia właściwie przestała rejestrować żywy śpiew, a zaczęła wypuszczać muzyczne produkty, cyfrowo doskonałe, emocjonalnie zimne. Tym większy dziś głód spotkania z żywą sztuką na scenie w zbiorowym przeżyciu, jaki daje publiczny koncert.

Bruna i Ferruccio – rodzina zastępcza

Wiadomo, że Callas bywała tygrysicą, potrafiła uderzyć pięścią, wpaść w szal z grymasem wściekłości na twarzy. Nieraz zachowywała się arogancko.

Angelina Jolie gra jednak kobietę załamaną życiowo, świadomie dążącą do autodestrukcji. To szlachetny ptak ze złamanymi skrzydłami, który ma nadzieję, że jeszcze pofrunie. Chce wrócić na scenę, ale ma chore serce, powinna się oszczędzać.

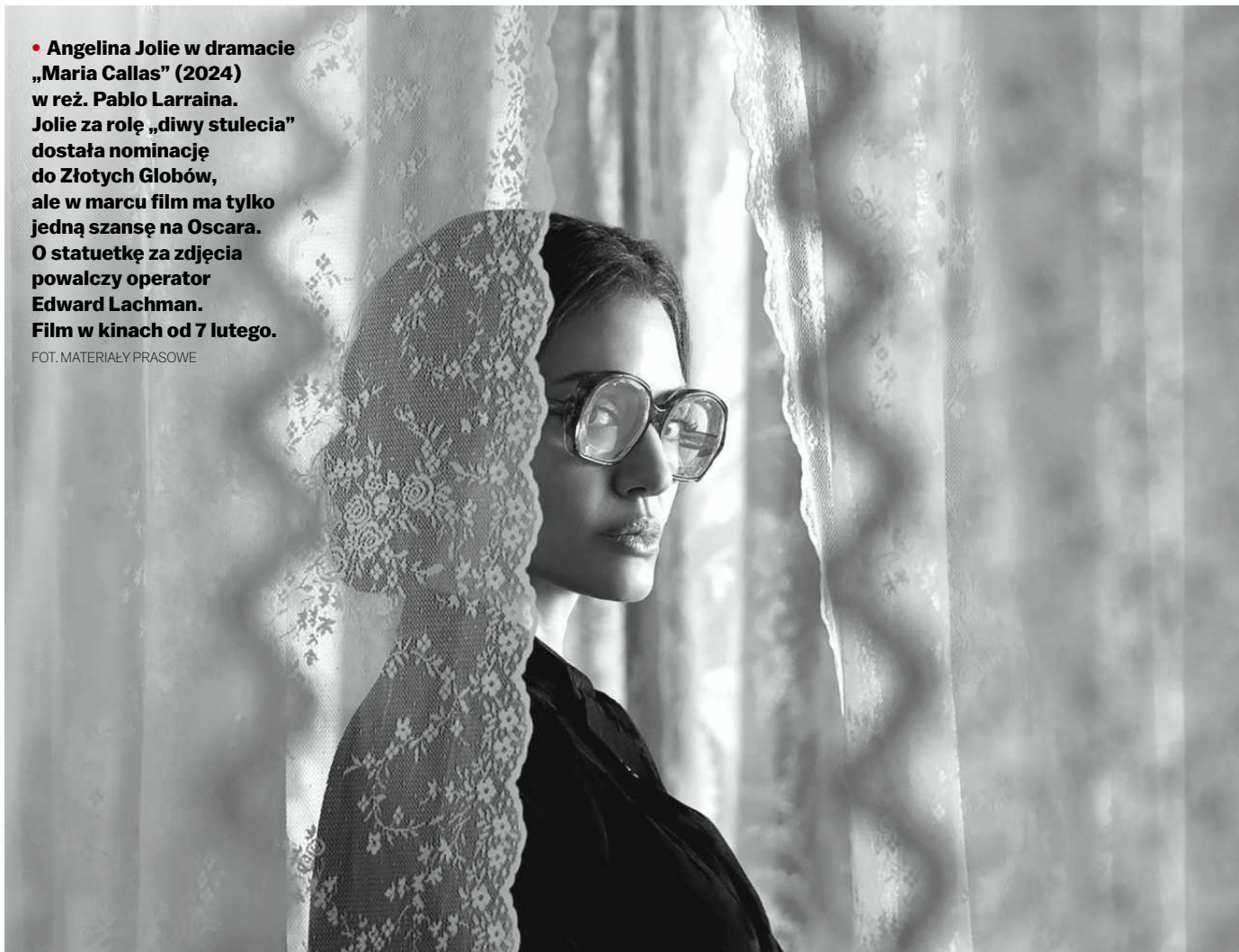
O powrocie myślała jeszcze rok przed śmiercią. Planowała koncert w Londynie, do którego przygotowywał ją dyrygent i korepetytor śpiewaków Jeffrey Tate – to właśnie on jest pierwowzorem postaci zycznego pianisty, który w filmie ćwiczy z Marią i pragnie znów usłyszeć w jej głosie „La Callas”, tę Callas.

Do miłości szczęścia nie miała. Uwielbiana przez miliony czuła się niekochana. Matka traktowała ją jak szansę na lepsze życie, mąż Giovanni Battista Meneghini – jak rezerwuar pieniędzy, Onassis – jak sławną kobietę, którą trzeba upolować, a potem można nią gardzić.

„Kim ty właściwie jesteś?! Masz tylko gwizdek w gardle, a w dodatku on nie dzia-

• Angelina Jolie w dramacie „Maria Callas” (2024) w reż. Pablo Larraina. Jolie za rolę „diwy stulecia” dostała nominację do Złotych Globów, ale w marcu film ma tylko jedną szansę na Oscara. O statuetkę za zdjęcia powalczy operator Edward Lachman. Film w kinach od 7 lutego.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



FOT. PABLO LARRAIN/KINO ŚWIAT

Rodziną stali się dla niej Bruna i Ferruccio.

Towarzyszyli jej sukcesom i porażkom przez blisko 20 lat. W filmie są jedynym oparciem. Sporządziła testament i przepisała cały majątek na nich, ale go nie podpisała. Łatwo dało się go podważyć

ła” – mawiał. Oczywiście był zazdrosny o jej sławę.

Rodziną stali się dla niej Bruna i Ferruccio, którzy towarzyszyli jej sukcesom i porażkom przez blisko 20 lat. W filmie są jedynym oparciem. Pięknie udało się pokazać w filmie tę trudną relację – trudną, bo ich sprawy prywatne musiały zostać zepchnięte na margines.

Byli dla niej trochę jak dzieci, a trochę jak troskliwi rodzice, a więc tacy, których nigdy nie miała.

Ferruccio Mezzadri i Bruna Lupoli to postacie autentyczne. Wspólne granie w karty przy kuchennym stole to też prawda. Tak spędzali czas, gdy Maria była w lepszej formie lub długo nie mogła zasnąć. Mogła być niezdolna, ale oni nie wyobrażali sobie życia bez niej, a ona bez nich.

Bruna była jej stałą towarzyszką i pocieszycielką. Ferruccio dożył późnego wieku, zgodził się rozmawiać ze scenarzystą filmu, ale chciał mówić o Callas tylko dobre rzeczy. Pozostał jej wierny do końca.

Mówiła o nich „rodzina zastępcza”, krótko przed śmiercią sporządziła testament, w którym przepisała cały majątek na nich. Dokumentu jednak nie podpisała, łatwo więc dało się go podważyć.

Majątek rozebrali między siebie były mąż, siostra, ale najczęściej wyciągnęła niejaka Vasso Devetzi. To wielka nieobecna w tym filmie.

Devetzi była Greczynką, jak Callas i Onassis, pianistką, która akompaniowała diwie podczas kilku jej tras koncertowych. W Paryżu została jej sekretarką i powierniczką, to ona dostarczała proszki, bez których gwiazda nie mogła już żyć.

Skorzystała na jej śmierci, przejmując dużą część majątku wycenianego na 12 mln dolarów. Założyła Maria Callas Foundation, która istniała tylko na papierze, ale za której pośrednictwem Devetzi czerpała zyski z fonograficznych tantiem i praw autorskich. Wielu dawnych przyjaciół gwiazdy podejrzewało Devetzi o oszustwa.

Reżyser Franco Zeffirelli oskarżał ją nawet o otrucie Callas. Dowodem na to miała być decyzja podjęta przez Devetzi, aby poddać kremacji doczesne szczątki śpiewaczki. Rzekomo chciała zapobiec sekcji zwłok, której istotnie w porę nie przeprowadzono.

Rola Vasso Devetzi w ostatniej fazie życia Callas jest niejasna. Jedno jest pewne – sama też miała problemy z nadużywaniem leków. W 1987 r. zmarła na zawał serca po przedawkowaniu Mandraxu.

Między matką i córką

Czy matka Marii i Yakinthi stręczyła swoje córki niemieckim oficerom w czasie okupacji Aten? W filmie jest scena, również zmyślona przez twórców, w której po latach Maria w rozmowie z siostrą zdradza, że tamte przeżycia były dla niej największym psychicznym ciężarem.

Lindsay Spence twierdzi, że Evangelia Kalogeropoulos sama trudniła się prostytutką i próbowała do tego zmusić własne córki.

Bez wątpienia je wykorzystywała. Uzdolnione artystycznie tańcem i śpiewem miały „umilać” czas niemieckim i włoskim gościom, którzy przychodzili do ich domu. Maria nie lubiła śpiewać dla

żołnierzy, bo miała wrażenie, że rozbiera ją ją wzrokiem.

W ten sposób siostry zarabiały na dom, chociaż miały też inne dochody. Maria była zatrudniona w ateńskiej operze, a Yakinthi miała narzeczonego, który doładował jej do utrzymania. Evangelii Kalogeropoulos wciąż było mało. Maria uważała, że matka jest chciwa i cierpi na manię wielkości.

Ale to właśnie matka pierwsza zauważyła, że córka ma głos, i postanowiła zainwestować w jej kształcenie, chcąc zrobić z niej gwiazdę. Callas debiutowała na scenie już w wieku 15 lat, w roku 1939.

W czasie wojny matka lawirowała między kolaboracją a próbami pójścia na rękę ruchowi oporu. Zdarzyło się nawet, że udzieliła schronienia dwóm angielskim oficerom, którzy zbiegli z więzienia. W biografiach jest wzmianka, że gdy włoscy żandarmi robili w domu rewizję, Maria zaczęła śpiewać. Tak się zaśłuchali, że zapomnieli, po co właściwie przyszli.

Postępowanie Evangelii zemściło się jednak na Marii, która po zakończeniu wojny nie dostała już pracy w operze, uznano ją bowiem za kolaborantkę. Młoda Callas pojechała do Ameryki, aby tam zacząć karierę, a przy okazji uwolnić się od niezdolnej matki.

Tak właśnie wygląda tło niepokojącej sceny, w której przerażona dziewczyna siedzi w jednym pokoju z esesmanem i śpiewa mu uwodzicielską „Habanerę”. Być może wtedy zrozumiała, jaką władzę ma nad ludźmi, ale że to wyróżnienie losu będzie zawsze podszyte goryczą. ●

MÓJ

Wszystkie kiszonki, bigosy, pierogi...
Kuchnia polska była dla mnie wielkim odkryciem.

Z **MARTINEM GIMENEZEM CASTRO***, SZEFEK KUCHNI, KTÓRY OD 17 LAT MIESZKA I GOTUJE W POLSCE, ROZMAWIA **MAŁGORZATA MURASZKO**

Na nadmiar wolnego czasu raczej nie narzekasz?

– Od ponad 25 lat, bo tyle zawodowo zajmuję się kuchnią, cały czas biegam. Pracuję ponad 12 godzin na dobę. O godz. 9 przychodzę do pracy, ale wstaję o 6, żeby zjeść śniadanie z córkami i wyszykować je do szkoły. Mają 15 i 8 lat. To w tygodniu jedyny moment, kiedy się widzimy, bo gdy jestem w domu po 22, już śpią. Więcej czasu mam w weekendy, wtedy jestem tylko popołudniem w Tunie [restauracja], a niedziele mam wolne. Nauczyłem się to równoważyć, bo mam ekipę, której mogę zaufać.

Nauczyłeś się odpuszczać?

– Musiałem. Już się napatrzyłem na szefów, którzy musieli być cały czas w kuchni i wszystkiego pilnować. Szef nie może być niewolnikiem. Trzeba zbudować taki zespół, żeby móc zostawić ich samych.

W twoim domu w Argentynie dużo się gotowało?

– Ojciec gotował. Był dyrektorem w elektrowni, pracował od poniedziałku do piątku, a w weekendy jechał na targ albo do sklepu, kupował grzyby, króliki, kaczki i gotował. Mama nie gotowała w ogóle, prowadziła firmę sprzątającą, mieliśmy w domu nianię i przez jakiś czas kucharkę. Sytuacja w Argentynie wyglądała wtedy inaczej, moja rodzina mogła sobie na to pozwolić.

Od dziecka bywałem w restauracjach.

Na początku dania dla mnie i rodzeństwa wybierali rodzice, później już sami. Mieliśmy ulubione restauracje, a w nich swoje ulubione dania.

Jakie było twoje?

– Ravioli polane śmietanką, posypane parmezanem i zapieczone. Wciąż je uwielbiam.

Bardzo włoskie.

– W Argentynie jemy dużo makaronu, a argentyńska kuchnia ma wiele włoskich wpływów. Są sklepy, które sprzedają wyłącznie makarony. Lodówki są pełne świeżych ravioli, gnocchi, gotowych past. Kupujesz na wagę, w domu gotujesz, robisz sos i masz świetne danie. Szybki i dobry obiad. W Argentynie jemy też dużo pizzy.

Pizzy?

– W Buenos Aires mamy pizzerie z prawie stuletnią tradycją; Güerrin powstała w 1932 r., El Cuartito w 1934 r., Pizzeria La Mezzetta w 1939 r. Ustawiają się do nich kolejki, najczęściej jesz na stojąco albo bierzesz na wynos. Hitem w Argentynie jest lomito zamknięte w pizzy. Lomito to najpopularniejsza kanapka z poledwicią wołową z grilla, jajkiem sadzonym, serem i pomidorem. Zamiast chleba to wszystko jest wkładane w dwa kawałki ciasta od pizzy.

Lubimy też milanese, czyli kotlet po mediolańsku z panierowanej wołowiny. Polewamy go sosem, posypujemy serem i zapiekamy.

PUNKT KARMIELOWY

Z twojej rodziny tylko ty zawodowo wybrałeś kuchnię?

– Tak. Od małego chciałem gotować. Lubiłem, gdy mnie chwalili, kiedy słyszałem, że moje danie komuś smakuje. Kiedy goście bili brawo, to pękałem z dumy i miałem poczucie, że zrobiłem coś fajnego.

Wiedziałem, że chcę zostać szefem kuchni. W Mendozie, mieście, z którego pochodzę, są dwie szkoły kulinarne, do których można było pójść po liceum. Obie prywatne. Ojciec się zgodził, ale mama była przeciwna. Ja postawiłem na swoim. Mieliliśmy wiele zajęć praktycznych, nauczyliśmy się robić sosy, zupy, makarony, ale były też matematyka, fizyka, biologia, francuski oraz lekcje administracji. Zaczynało nas 100 osób, a po trzech latach kończyło 15.

W Argentynie dużo jemy, często wychodzimy do restauracji. To kultura biesiadowania, spotkania się przy stole. Wesela są bardzo liczne, od 300 do 500 osób. Kilka lat temu mówiło się o hiperinflacji, a jednocześnie w każdej knajpie był tłok. Nie znajdziesz stolika bez rezerwacji. W Warszawie są lokale zapełnione w połowie. To jednak inna kultura jedzenia.

Myślisz, że w Polsce tego nie ma?

– Widzę zmianę. Od kilku lat wychodzenie do restauracji ze znajomymi czy rodziną jest coraz popularniejsze. W Warszawie, ale pewnie i w innych dużych miastach, jak otwiera się coś nowego, to walą tam ludzie. Chcą sprawdzić, wrzucić zdjęcie. A potem przerzucają się do innej nowej knajpy.

Bo bycie restauratorem i szefem kuchni jest modne.

– Jest, co wcale nie znaczy, że wszyscy powinni to robić i wszyscy wiedzą, jak to robić. Jeśli ktoś ma dużo pieniędzy, to może i otworzy piękny lokal, zainwestuje w wystrój i wyposażenie, ale jeśli sam nie wie, jak prowadzić ten biznes, to jak ma to przekazać pracownikom?

Moja ekipa cały czas się szkoli. Mają egzaminy z wiedzy o karcie i winie. Gdy przygotowujemy nowe menu, robimy panele testowe, żeby wszyscy wszystkiego spróbowali, wiedzieli, jak danie smakuje, jak jest zrobione. Gość musiałby zadać bardzo skomplikowane, techniczne pytanie, żeby nasza obsługa nie wiedziała, jak odpowiedzieć.

Trudno, żeby było inaczej: twój Ceviche Bar ma wyróżnienie Bib Gourmand od Michelin, a Tuna ma rekomendację tegoż przewodnika.

– Ale czy to znaczy, że obsługa powinna być przeszkolona tylko w miejscach dostrzeżonych przez Michelin? Jeśli inwestujesz w gastronomię, to powinienes zainwestować w składniki i ludzi, a nie w design. Co z tego, że będzie piękne, skoro z jedzenia i z obsługi nie będziesz zadowolona?

Właśnie dlatego czasem mogę skończyć wcześniej, pojechać na wieś i być spokojny, że wszystko będzie dobrze, bo wiem, z jakimi ludźmi pracuję. Jesteśmy jedną drużyną, jedną ekipą. Zawsze powtarzam, że to jest też ich restauracja i ich wyróżnienia.

Nagrody i wyróżnienia, jak te od Michelin, są potrzebne? Czy to jest bardziej ambicjonalna rzecz, że jako szef kuchni chciałbyś dostać gwiazdkę dla restauracji, którą stworzyłeś?

– Na pewno to kwestia ambicjonalna, bo przygotowywałem się do tego całe zawodowe życie. Są szefowie, którzy traktują to jako presję, są tacy, którzy widzą w tym przekleństwo. Ale gdyby udało mi się w końcu tę gwiazdkę dostać, to poczulbym ogromną ulgę. Spalbym lepiej. Gwiazdki Michelin dają też biznesową stabilność. Nie trzeba się



• **Atun con tapioca frita (tuńczyk, tapioka, parmezan, mięta, sos nikke, shiso). Jedno z dań serwowane w restauracji Ceviche Bar naszego rozmówcy**

■
W Argentynie używamy dużo soli. Wszystko nią posypujemy, ale większość Polaków nie lubi słonych dań. Dopiero w Polsce odkryłem też czym są zupy

martwić o zainteresowanie, bo ruch byłby cały czas. A stały ruch dla restauracji to ciągłość zamówień.

A prywatnie? Pracuję w restauracjach ponad 25 lat, straciłem czas przeznaczony dla rodziców, którzy już nie żyją i dla rodziny, i jest to koszt, który z pełną świadomością ponoszę. Chciałbym, żeby to w jakiś sposób zostało wynagrodzone. Wiem też, że nikogo nie udaję, że moje restauracje to prawdziwe koncepty. Dlatego szukam, kombinuję, i nie poddaję się, bo te działania muszą mieć jakiś sens. Wiem, że gwiazdka to kwestia czasu. Jak nie za rok, to za dwa.

Pracowałeś w gwiazdkowych restauracjach przed przyjazdem do Polski. To cię ukształtowało jako szefa kuchni?

– To była praca pod ogromną presją, ale nauczyłem się wtedy jednej ważnej rzeczy: musisz słuchać. Słuchać szefa kuchni, czego on potrzebuje, jakie daje ci zadania, czego od ciebie oczekuje. Twoim celem jest zadowolony szef kuchni.

Myślałam, że zadowolony gość.

– Z perspektywy właściciela i szefa kuchni zawsze chodzi przede wszystkim o zadowolenie gościa. Ale z pozycji jednego z kucharzy chodzi o to, żeby szef cię lubił i ci ufał, chciał z tobą pracować i powierzał ci kolejne zadania. Nawet teraz, kiedy gotuję np. na jakichś kolacjach z innymi szefami i nie jestem head chefem, ale sous chefem, to najważniejsze jest, żeby przełożony, który prowadzi serwis, był zadowolony. Trzeba szanować lidera. Kuchnia to gra zespołowa. Ego trzeba schować do kieszeni i znaleźć w sobie pokorę, co nie jest zawsze łatwe.

Kuchnia to też sztuka kompromisu. To, co robię w Ceviche i Tunie, to kompromis między tym, co ja chcę podać, a tym, co akceptują goście. Mogę mieć oryginalny pomysł, ale skoro on może zadowolić tylko mnie, po co to robić? Po 17 latach w Polsce już mniej więcej wiem, czego goście szukają i co lubią. Ja z kolei w kuchni nie używam

niczego, czego sam nie lubię. I muszę znaleźć równowagę pomiędzy moją wyobraźnią i ambicjami a tym, co zjedzą moi goście.

Szef kuchni musi być dobrym liderem, kapitanem drużyny. Musi słuchać, umieć rozmawiać. Ja się nie denerwuję, jeśli ktoś przygotowuje nie tak rybę, zmarnuje ją. Takie rzeczy w kuchni się dzieją. Ale denerwuję się, gdy ktoś nie okazuje szacunku. Błędy techniczne można naprawić, a problemy osobiste trzeba rozwiązywać rozmową.

Długo się tego uczyłeś?

– To lata doświadczenia. Kiedyś byłem bardziej narwany. Szef kuchni dojrzewa, nie tylko jako kucharz, ale i człowiek. Możesz być młody i zdolny, zdobywać szybko wyróżnienia, ale to lata doświadczenia uczą, jak prowadzić zespół, uczyć ogłady.

Musiałem się nauczyć przyznawać do błędów i przeproszać, a to wymaga pokory. Wiele razy się pomyliłem, ale dziś daję wolną rękę i wierzę w młodych ludzi.

Nazywam ten moment „punktem karmelowym”. W cukiernictwie jest taki moment, kiedy karmelizujesz cukier i trafiasz w idealny moment, kiedy jest kremowy. Przerwiesz za wcześnie i będzie grudkowaty, moment za późno i się przypali. Właśnie w takim momencie teraz jestem, w „punkcie karmelowym”. Czekam i pracuję na tę gwiazdkę.

A co dały ci lata spędzone w Polsce?

– Na początku było ciężko. W Argentynie używamy dużo soli, wszystko nią posypujemy. Jak przyrządzamy steki, to są prawie w takiej panierce z soli. Ale większość Polaków nie lubi słonych dań. Podobnie z ostrością. I to dotyczy każdej napływowej kuchni. Kuchnia meksykańska, tajska czy argentyńska muszą być dostosowane do kraju, w którym będą jedzone.

A jak kuchnia polska smakowałaby w Argentynie?

– Na pewno trzeba byłoby coś zmienić. Dodać więcej soli do pierogów. Właśnie! Pierogi to jest świetny przykład. Bardzo je lubię, ale zawsze mi czegoś brakuje. Jest cebulka, śmietana, ale to tyle. Ja bym do tego dał sos pomidorowy, więcej śmietanki, sos grzybowy. Pierogi z sosem grzybowym albo bolognese, uwielbiam.

Wiesz, że teraz mocno się narażasz?

– Bo ja traktuję pierogi jak ravioli, a one są właśnie z sosami.

A jakie pierogi do tego sosu bolognese?

– Nawet te z serem albo z mięsem. Kuchnia fusion.

Jesteś bardziej Polakiem czy Argentyńczykiem?

– Zawsze będę Argentyńczykiem. Oddałbym za Polskę wszystko, tu mam dom, założyłem rodzinę, już połowę mojego życia mieszkam poza Argentyną, ale to argentyńską krew mam w żyłach.

Twoja pasja to rugby. W meczu Polska-Agentyna, komu byś kibicował?

– Myślę, że Los Pumas. Nasza narodowa reprezentacja w rugby, niestety zdemolowali by polską drużynę (*śmiech*).

A w piłce nożnej?

– Dopóki gra Leo Messi, Polska jest bez szans (*śmiech*). Zawsze kibicuję Argentynie, jestem dumny z naszych sportowców, kocham nasze kolory. Ale takie mocne uczucia mam tylko, jeśli chodzi o sport.

A o jedzenie?

– Uwielbiam kuchnie obu krajów. Ta polska jest bogata i zaskakująca. Na przykład to, że najpierw robisz zakwas buraczany, a później z niego barszcz, albo zakwas na żurek i później z tego zupę. Dopiero w Polsce odkryłem, czym są zupy, bo wcześniej znałem tylko gładkie kremy.

Te wszystkie kiszonki, bigosy, pierogi... Kuchnia polska była dla mnie prawdziwym odkryciem. To prawdziwa magia.

Powinna być znana na całym świecie tak jak tajska czy włoska. Może to wymaga czasu, większego zaangażowania szefów kuchni, wyróżnień albo tego wszystkiego razem. Na pewno świat powinien o niej usłyszeć.

Twoja żona Marta uczyła cię kuchni polskiej czy sam siedziałeś nad książkami?

– Uczyłem się już na miejscu. I pamiętam jedną wtopę. Robiłem sos bolognese i kupiłem do niego makaron jajeczny, cienki jak do rosółu. Nie znałem go, wyglądał jak świeża pasta, to wzięłem, uznałem, że się nada. Zrobiłem sos, ugotowałem makaron i oczywiście się do niczego nie nadał. Był krótki, miękkki, nie dało się tego zjeść.

Nigdy nie miałeś poczucia, że rzuciłbyś to gotowanie w cholerę? Że już masz dość?

– Mam takie myśli dość często. Być właścicielem i szefem kuchni to bardzo trudne zadanie. Przecież mógłbym pracować dla kogoś w restauracji albo w hotelu, nie martwić się o te biznesowe aspekty prowadzenia restauracji. Ale później prowadzę serwis w restauracji, wychodzę porozmawiać z gośćmi, którzy są zadowoleni z kolacji i mi dziękują, i wszystko znowu zaczyna mieć sens.

Mówię cały czas o pracy, ale kuchnia to moje życie, mam z tego bardzo dużo radości. ●



FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Martin Gimenez Castro

Argentyńczyk, szef kuchni, współwłaściciel i szef warszawskich restauracji Ceviche Bar [specjalizacja to południowoamerykańskie ceviche] i Tuna [fine dining z rybami i mięsem], pierwszy w Polsce zwycięzca telewizyjnego show dla profesjonalnych szefów kuchni „Top Chef”. Urodził się w Mendozie, doświadczenie zdobywał w restauracjach w Argentynie i USA. W Polsce mieszka od 17 lat.



SZTUKA PORĄŻKOWANIA

Stale straszy się ludzi porażką jako najgorszym złem – czymś, co ich ośmieszy, pograży, dyskredytuje w oczach innych. Wiele osób daje się złapać w te sidła.

Z **AGNIESZKĄ DAUKSZĄ**, LITERATUROZNAWCZYNIĄ, AUTORKĄ „JAREMIANKI”, FINALISTKI NAGRODY LITERACKIEJ „NIKE”, O JEJ NOWEJ KSIĄŻCE „LUDZIE NIEZNACZNI” ROZMAWIA **WOJCIECH SZOT**

Oddałabyś lzy do „Skupu łez”?

– Próbowałam, ile sił w kanalikach, ale bez powodzenia. Nadal nie nauczyłam się płakać publicznie. Trening społeczny, któremu większość z nas podlegała od dzieciństwa, jest skuteczny.

Projekt „Skup łez” uruchomili w Lublinie w 2014 roku Alicja Rogalska i Łukasz Surowiec. Płacili 100 zł za 3 mililitry.

– Mówimy o jednym z najdziwniejszych działań artystycznych w Polsce ostatnich lat. Etnograf Tomasz Rakowski komentował ten projekt jako uwolnienie emocji wpisujące się w tradycję polskich lamen-tów. Narodowe biadolenie się skropliło.

Ci, którzy przyszli do „Skupu łez”, przekroczyli stereotyp mówiący, że płacz jest oznaką słabości i powodem do wstydu,

że płakać publicznie to obciach. Atmosfera „zbiorowych żalów”, otwartości i jakiejś nieoczywistej bliskości, jaka zapano-wała na kilka dni w „Skupie”, pokazała, że ludzie są gotowi do ekspresji słabości, gdy czują się bezpiecznie.

Nie możemy płakać, bo nie możemy pokazać, że zdarzają nam się porażki.

– Utarło się takie myślenie, niestety. Na szczęście coraz więcej osób odchodzi od tego modelu – w „Ludziach nieznaczących” opowiadałam o nich. Oraz o tym, jak próbują przejąć porażkę do swoich celów.

Trzeba jednak pamiętać, że w naszej kulturze porażkowanie, czyli przyzwolenie sobie na niepowodzenia, dla wielu wciąż jest nie do wyobrażenia. Porażki są chowane pod dywan. Przeważa model opowiadania o szczęściu, zdrowiu, pomysłowości. Niewielu te cele osiąga, ale i tak pozostają obiektem marzeń.

„Gdzie widzisz się za pięć lat? Z owocami na dnie”. Mem, który miksował wielokrotnie wyśmiewane pytanie z rozmów kwalifikacyjnych z hasłem reklamowym jogurtów, wkleił na swój profil w serwisach społecznościowych mój znajomy. Człowiek sukcesu, choć niepozabawiony sceptycznego do niego podejścia.

– Kiedyś słyszałam, jak rozmawiali ze sobą dyrektorzy pewnych kluczowych instytucji kultury: „A co u ciebie, kolejny sukces?”. Niby ironia, ale i elementarny brak bezpośredniości. Sukcesy wyobcowują – niby przyciągają innych jak lep, ale to nie są trwale wiązania. Samo to słowo wydaje się polyskliwo-sztuczne.

Słucham ludzi z różnych pokoleń. Wielu mówi, że są wyczerpani. Niektó-

rzy zastanawiają się, z czego to wynika. Inni niby znają przyczyny, ale nawet nie mają siły i czasu, by coś zmienić.

Jak na te doświadczenia reaguje kultura?

– Jakoś pod koniec lat 90. superbohaterowie zaczęli ustępować miejsca tym, którzy nie są ani wyjątkowi, ani sprawczy. Coraz częściej przedstawiano ludzi, którym niewiele się udaje, nie mają siły, próbują przeczekać własne życie – z braku perspektyw, środków lub pomysłu, kim lub czym mogliby się stać.

Ale to właśnie oni weszli szturmem do popkultury jako najciekawsze postacie pierwszoplanowe. Takie, z którymi można się identyfikować lub przynajmniej uznać je za swojskie. Furora, jaką zrobił serial „Świat według Kiepskich”, jest chyba najlepszym tego przykładem.

A literatura?

– Zwykli ludzie i ich nieheroiczne zmagania przestały być opisywane z perspektywy zewnętrznego zdystansowanego obserwatora, coraz częściej była to perspektywa pierwszoosobowa. Pojawiały się opowieści zaangażowane, takie, które dotyczyły czytelników coraz „niższymi” środkami – obrazami bólu, depresji, wulgaryzmami, nieczystościami językowymi, coraz intensywniejszymi emocjami.

Można tu wskazać linię rozwoju literatury Doroty Masłowskiej, Sławomira Shutego, Edwarda Pasewicza, Michała Witkowskiego, Igora Jarka, Zyty Rudzikiej, Sylwii Chutnik, Grzegorza Bogdała, Elki Łapczyńskiej, Filipa Zawady.

Na jednym z rysunków Zawady opublikowanych w książce „Z punktu widzenia

ziemniaka” widnieje opis: „Chciałbym zrobić coś szalonego, ale nie wiem co, więc zrobię to, co zwykłe”. I tak to bywa z bohaterami tego nurtu literackiego: gna ich bezsilność, niekiedy przelamują ją improwizowanymi zrywami brawury, ale wciąż działają na skalę własnego podwórka.

Obserwując ich, wpadłam na pomysł, by pisać o przewrotnej sile porażek.

Na czym ona polega?

– Kiedy w życiu ci nie idzie, może porażka to twój styl – sugeruje Jack Halberstam, autor książki o kulturze przegrywania „Przedziwna sztuka porażki”. Jej lektura skłoniła mnie do dalszych poszukiwań – czym właściwie jest porażka i czym mogłaby być, gdyby uwolnić ją od zobowiązań, w które zaplątał ją nowoczesny dyktat ciągłego postępu.

Stale straszy się ludzi porażką jako najgorszym złem – czymś, co ich ośmieszy, pograży. Porażka jest straszakiem w rękach rodzin wychowujących dzieci, szkół, Kościoła, instytucji państwowych i pracodawców.

Wiele osób daje się łapać w te sidła – z obawy przed popełnieniem błędu bardziej się mobilizują, nie są pewni swego, próbują działać pod dyktando innych, nawet jeśli to niezgodne z ich wyczuciem i tempem.

Przynosi to zwykle szybkie zyski, ale cena jest wysoka w długoterminowej perspektywie. Nawet młode osoby, które już w szkole podlegają tak wysokiej presji, nie mają siły dłużej się starać.

Łatwo przerzucać się etykietami, mówiąc, że oto nastaje pokolenie płatków śniegu, czemu przypatruje się nieco starsza grupa przegrywów. Ale to niesprawiedliwe. Jesteśmy podobnie wyczerpani, ale

różne i zmienne pokoleniowo są sposoby reagowania na ten stan.

Człowiek od wieków odczuwa presję i ma ambicje.

– Pojedynczy człowiek nie ma szans, by wygrać z machiną postępu. A co by było, gdyby każdy z nas wedle swoich potrzeb i możliwości zaczął bojkotować ten model pośpiechu, wydajności?

A jak na porażkę reagują inni?

– Mówią: musisz się starać, uczyć, podróżować, doznawać, kumulować, bo inaczej nie osiągniesz spełnienia. A przecież możemy odmówić. Możemy pragnąć doświadczać, a nie docierać do jasno wyznaczonego celu. Jesteśmy jednak wytrenowani tak, by nawet odmowę rozumieć jako porażkę.

Mówisz, że nurt porażkowy dopiero się pojawia. Z drugiej strony mamy mnóstwo memów, filmów, sytuacji społecznych, gdzie panuje pozorne przyzwolenie na porażkę. Pewien znany chiński sklep internetowy reklamował lampkę, określając ją jako „gęś kryzysu emocjonalnego”.

– Nie jestem jednak pewna, czy ten produkt ma świadczyć o kryzysie emocjonalnym kupującego, czy jednak temu kryzysowi przeciwdziałać.

Może w tym przypadku obecność gęsi ma wskazywać na problem, a światło lampki rozpraszać mrok niepokoju egzystencjalnego? Ona przypomina mi postaci z bajki o kulawej kacze i ślepej kurze Ulricha Huba – same sobie wmawiały, że są w ciemnym lesie, bo bały się przekroczyć granicę własnego podwórka.

A ta gęś wydaje się całkiem ładna, szkoda tylko, że taka plastikowa. Ale to jest kapitalistyczny chwyt – żeby przestać się bać, należy się lepiej zabezpieczyć za pomocą jakichś przedmiotów, żeby odpocząć, powinniśmy zainwestować w jakąś relaksacyjną usługę, żeby poczuć się lepiej – kupić sobie zestaw do hygge, nowe ubranie i świeczkę zapachową.

Nawet jeśli pojawia się nowa idea, zostaje natychmiast przejęta przez kapitalizm.

– Gdy pracowałam nad książką, żartowałam, że zanim zdążę ją wydać, pojawią się slogany: „Przetrwaj ze stylem”, „Kto przegra pierwszy” i „Kumuluj porażki”.

W jednej z polskich stacji można oglądać program „Królowa przetrwania” – przedstawicielki show-biznesu jadą do Tajlandii, by „zмагаć się ze swoimi słabościami” na oczach milionów widzów. Przetrwanie jako akt zmagania o zachowanie życia zostaje więc odarte z powagi, sprowadzone do roli lajfstajlowej zabawy w atrakcyjnych dekoracjach.

Tymczasem gdy mówię o przetrwaniu i przegranej, myślę na przykład o cywilach podczas wojny, uchodźcach, ofiarach, ludziach nieznaczących, którzy na co dzień dokonują ogromnego wysiłku, by zachować ciągłość bycia.

A co rozumiesz przez nieznacność?

– To określenie, którego mogą używać i osoby, które czują się nieznaczące nie z własnego wyboru, i te, które wybierają pośledni status, chcąc uwolnić się od ciężkich im funkcji.

Chodzi o uświadomienie sobie, że nie jesteśmy wcale ważniejsi od innych – i jako gatunek ludzki wśród innych bytów, i jako pojedyncze osoby.

Od czego zacząć?

– Nie chcieć dominować w każdej możliwej sytuacji. Nie próbować imponować innym za wszelką cenę. Odstąpić od udowadniania swoich racji. Nie być najjaśniejszą gwiazdą w okolicy. Potencjalny autorytet na tym nie ucierpi. Nasze ewentualne walory wcale nie zblakną. No i najważniejsze: warto pozbyć się przekonania, że jest się najważniejszym punktem odniesienia, wobec którego powinni orientować się inni.



FOT. DAWID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Pojedynczy człowiek nie ma szans, by wygrać z machiną postępu.

A co by było, gdyby każdy z nas wedle swoich potrzeb i możliwości zaczął bojkotować ten model pośpiechu, wydajności?

Zamiast tego warto dostrzec, że jesteśmy zależni od innych. Wszystkim wokół ułatwi to życie, a i nam może będzie prościej funkcjonować – część presji, która tak nas wykańcza, generujemy sami.

I nie chodzi ci tylko o poprawę komunikacji...

– Też o odstąpienie od działania nastawionego głównie na rywalizację czy dominację.

Opowieścią o takich relacjach jest na przykład książka Elizy Kąckiej „Wczoraj byłaś zła na zielono”. Matka neuronietypowej córki ukazuje taktyki przetrwania i codziennego oporu w realiach skrojonych nie na ich miarę. Przedstawia swoje spektrum macierzyństwa, ale i właśnie proces budowania porozumienia intuicyjnego, ponad słowami.

Kiedy poczułaś, że możesz czerpać jakąś korzyść czy przyjemność z nieznacności?

– W pandemii. Wcześniej bałam się odczucia bezsilności. Pandemia postawiła większość osób przed faktem: można się starać, walczyć, układać mozołnie tak zwane dobre życie, ale wobec skali niektórych wydarzeń jesteśmy bezbronni. Okazało się, że mimo wszystkich różnic wiele nas łączy, np. podatność na zniszczenie, strach i niepewność.

Wobec zakazów przebywania na terenach zielonych podjeżdżałam na skraj lasu, otwierałam okno i wachałam. Było więc takich aut. Nad nami krążyły helikoptery. Być może to odczucie niemocy i izolacji było pierwszym prawdziwie wspólnym doświadczeniem mojego pokolenia. Jeśli pominąć takie zrywy jak oglądanie „Klanu”, umieranie papieża, skoki Małysza i udział w „czarnych protestach”.

Właśnie w pandemii odkryłam, że to, przed czym całe życie uciekam, wcale nie jest tak okropne. Albo inaczej: bezsilność da się przeczeekać, przebrnąć. Zazwyczaj nie udaje się w pojedynkę, ale dzięki bliskim osobom. Właśnie w pandemii wymyśliłam książkę, o której dziś rozmawiamy.

Zaczęłam się zastanawiać, czy zamiast ki tego doświadczenia nie można w sobie wytworzyć samoczynnie, bez potrzeby za-trzymywania niemal całego świata. Czy można sobie pozwolić na przestoje i odstępstwa od normy? Jak je prowokować?

Czyli nieznacność to coś, czego możemy się nauczyć?

– Myślę, że można w sobie trenować zgodę na nią.

Podobnie z porażką?

– Tak. Porażka może być poręcznym narzędziem, które każdy nosi w sobie. Możesz w każdym momencie go użyć. Na przykład by odstraszyć od siebie natrętne, narzucające się osoby i ich oczekiwania. Albo podczas wigilii przeciwko rodzinie. Na kolejne pytanie, kiedy się ustatkujesz, zrobisz poważne plany, weźmiesz ślub czy będziesz mieć dziecko, możesz opowiedzieć, że właśnie adoptujesz psa lub dokarmiasz sikorki w parku i jest to dla ciebie poważne zobowiązanie. Wiem, że to może wydawać się banalne, ale z takich drobnych gestów składa się ćwiczenie gotowości do oporu.

Piszesz też o ludziach, których bezsilność prowadzi do aktów oporu publicznego.

– Są co najmniej dwa typy takich gestów. Z jednej strony jest figura Piotra Szczęsnego, „szarego człowieka”, który w geście oporu dokonał samospalenia. Z drugiej strony jest choćby Anna Janczyszyn, która w latach 90. czolgała się brudnymi ulicami Krakowa. Demonstrowała w ten sposób swoje zmęczenie realiami patriarchy i bezsilność wobec faktu, że nawet koniec komunizmu nie przyniósł wolności kobietom w Polsce.

Ale osoby, o których piszę w „Ludziach...”, nie sięgają po ostateczne środki. Zamiast tego korzystają z niepozornych, nieznaczących narzędzi – kogoś próbują zażenować, obrzydzić, sprowokować, wkurzyć.

Są osoby – nazywam je performerkami bezsilności – które chcą zmiany spo-

lecznej, ale stawiają na mniej jednoznaczne akty. Zachowują się jak muchy latające wokół twarzy władzy – naprzykrzają się i są trudno uchwytne.

Przykład?

– Ważnym przykładem jest dla mnie akt Claudette Colvin, która wracając ze szkoły 2 marca 1955 r., została aresztowana, bo odmówiła ustąpienia miejsca białej kobiecie w zatłoczonym autobusie. Jak później wprost mówiła, wręcz nie mogła się podnieść z siedzenia, bo coś jej mówiło, że właśnie teraz prawo musi się zmienić.

Colvin nie mogła czuć się bezpiecznie, społeczność autobusowa była przeciwko niej. Szarpano ją i obrażano, później postawiono jej zarzuty. Mimo wszystko jej gest bezsilnego oporu doprowadził do zmiany – rok później segregacja rasowa w autobusach w stanie Alabama została uznana za niezgodną z amerykańską konstytucją.

Dziś o zmianę panujących układów walczy Ostatnie Pokolenie.

– Rozumiem niechęć rządzących wobec nich – nikt nie lubi wbijania szpilek w miękkie podbrzusze, gdy wszystko wokół się pali, trwają wojny – i te za naszymi granicami, i te, które trawią polskie społeczeństwo.

Rozumiem też, że premier Tusk reaguje na nich alergicznie, bo blokują drogi, pasy startowe, dojazdy do szpitali. Ale jednocześnie uczę na Uniwersytecie Jagiellońskim, mam więc kontakt z młodszymi od siebie. I rozumiem niecyficzny rozpacz osób przerażonych skalą zniszczeń środowiskowych, które zgotowały poprzednie pokolenia w drodze do postępu, emancypacji i maksymalizacji zysków. I choć są bezsilni wobec tej katastrofy, nie chcą być bezczynni. Ich prowokacje w przestrzeni publicznej są bezsilnymi aktami oporu.

Prawie nikt nie chce z nimi rozmawiać, nie traktuje ich poważnie, więc się radykalizują. W opinii publicznej uchodzą za terrorystów, ale nimi nie są – to młode zdolne osoby, które wiele ryzykują. Myślą perspektywnie, bardziej dalekosiężnie niż rząd, niż ty i ja.

Więc z pozycji mojego słabego i nieznacznego głosu apeluję do premiera, który jest też przecież moim premierem, też jest z Gdańska i też na pewno czyta „Wyborczą”, mamy więc wspólne wartości, żeby jednak zechciał z młodymi rozmawiać i poważnie traktować ich obawy i propozycje.

Przecież poza wszystkim „Solidarność” też stosowała środki bezsilnego oporu, jeśli już musimy sięgać do przeszłości...

Twoja książka może być dla wielu manifestem.

– To propozycja, niekoniecznie mocny postulat. Nie chcę nikomu narzucać nieznacności jako etykiety biograficznej. Można z niej korzystać punktowo, od czasu do czasu, można szukać własnej ścieżki dystansowania się. Podobnie jak porażkowanie nie dla każdego musi być wyzwajające.

Nie ukrywam jednak, że sama odczuwam dzięki nim pewną radość. Jak w koszmarze sennym: próbujesz przeżyć, walczysz, uciekasz, jesteś już totalnie wymęczony i nagle uświadamiasz sobie, że przecież można odpuścić. I obudzić się z poczuciem ulgi, że chociaż ginęło się bez strachu. Dlatego proponuję: niech porażka będzie z nami, skoro nie ma innego wyjścia. ●



• Agnieszka Dauksza, „**Ludzie nieznaczący. Taktyki przetrwania**”, wyd. Karak-ter, słowo / obraz terytoria, Gdańsk – Kraków 2024

Z SOCJOLOGIEM **DR. HAB. GRZEGORZEM MAKOWSKIM**, WYKŁADOWCĄ W SZKOLE GŁÓWNEJ HANDLOWEJ, AUTOREM KSIĄŻKI „ŚWIĄTYNIA KONSUMPCJI. GENEZA I SPOŁECZNE ZNACZENIE CENTRUM HANDLOWEGO”, ROZMAWIA **DAMIAN NOWICKI**

Początek równoległy do transformacji ustrojowej jako sieć handlu hurtowego Elektromis, gdzie sprzedawano prosto z palet. W 1997 r. sprzedany portugalskiej korporacji Jerónimo Martins, która za pomocą rebrandingu powołała do życia Biedronkę i uczyniła z niej największą sieć handlową w Polsce. 30 lat historii Biedronki nie wydaje się panu alegorią III RP?

– Po części, ale nie tak dosłownie, jak pan to przedstawia. Moim zdaniem to symbol tego, że gdy ludzie się bogacą, to domagają się lepszej jakości produktu i lepszej obsługi. A od 1997 r., gdy przymierzaliśmy się już do wejścia do Unii Europejskiej, Polacy niezaprzeczalnie się wzbogacili.

Pod koniec lat. 90 PKB per capita to było jakieś 4,5 tys. dol., a dzisiaj to jest ponad 17 tys. Spójrzmy więc, gdzie byliśmy i gdzie jesteśmy. Gdybyśmy dziś byli na poziomie tych 4,5 tys. dol., to w dyskontach ciągle sprzedawano by towar z palet.

Nazywanie Biedronki czy innych dyskontów alegorią III RP jest na wyrost. W końcu w państwach bardziej rozwiniętych niż Polska, we Francji, w Niemczech czy we Włoszech, też są dyskonty. A nawet, tak jak w USA, dynamicznie się rozwijają.

A co ze społecznym odbiorem Biedronki? Czy z perspektywy konsumenckiej dyskont się wyrobił czy dalej kojarzy się raczej z taniością? 10 czy 15 lat temu zakupy w tym sklepie były raczej wymogiem, nie wyborem. Dzisiaj pod Biedronką można spotkać zarówno emerytkę z wózkiem, jak i właściciela tesli.

– Na pewno się wyrobiła. Wychowałem się w czasach, kiedy nie było czegoś takiego jak dyskont. Pamiętam swoją pierwszą Biedronkę, na osiedlu Niedźwiadek w Ursusie, gdzie mieszkalem przez ponad 20 lat. Była straszna, brudna. Towar rozrzucono na paletach. Była jeszcze gorsza niż komunistyczny sklep Społem, po którym odziedziczyła budynek. Musiałem być naprawdę zdesperowany, żeby iść tam na zakupy.

Dziś Biedronki i inne dyskonty wyglądają o niebo lepiej. Człowieka już nie odrzuca na myśl o zakupach w tym miejscu. W większości przypadków jest tam czysto, artykuły są poukładane na półkach, dba się o ich jakość i jakość obsługi.

Jednocześnie, odkąd z dyskontów zniknęło odium biedasklepu, to ludzie zaczęli podchodzić do Biedronki racjonalnie. Zamożniejsi nie kupują tam po to, żeby na siłę zaoszczędzić. Dostają przecież produkt podobnej jakości co w innych supermarketach za stosunkowo mniejszą cenę. Ser czy szynka kupione np. w Carrefourze raczej nikogo nie nobilitują, gdy poda się je gościom do stołu.

W przemianie dyskontów jest też pewien paradoks przypominający ewolucję domów towarowych na przełomie XIX i XX wieku. Tylko kierunek tej zmiany jest odwrotny. Domy towarowe z początku były miejscami ekskluzywnymi. Do niektórych, by wejść, trzeba było posiadać specjalną kartę członkowską. Społeczeństwa były wówczas silnie podzielone klasowo i nie było zbyt wielu miejsc, w których klasy wyższe i niższe mogły się spotkać. Z czasem domy towarowe zaczęły być bardziej egalitarne i stały się takimi miejscami międzyklasowych spotkań. Na zakupach zaczęły się spotykać przede wszystkim robotnicy z burżuazją.

Domy towarowe, pierwsze miejsca masowej konsumpcji, stworzyły ciekawe mechanizmy emancypacji. Jest tu pewna analogia do dyskontów. Z paskudnych paleciaków, gdzie kupowała biedota z postpeerelewskich blokowisk, wyewoluowały do egalitarnych miejsc konsumpcji, do których



TESLA POD BIEDRĄ

Lata 90. i prowizorka prosto z palet, potem zagraniczna korporacja, metamorfoza, ale też zarzuty o żyłowanie pracowników. Biedronce stuknęła 30. Jak daleką drogę przeszedł dyskont i czy „zakupy w Biedrze” to faktycznie kwintesencja polskości?

przychodzą nie tylko mniej zamożni, ale też klienci podjeżdżający na zakupy porsche cayenne. I jak za czasów świetności domów towarowych różne klasy społeczne mogą się przyjrzeć sobie i swoim zwyczajom zakupowym.

Jako urodzony w latach 90. nieraz słyshałem w szkole czy w domu, że bym się uczył, bo inaczej wyłuduję „na kasie w Biedrze”. Praca w Biedronce jest wciąż symbolicznym ekwiwalentem peerelowskiego ostrzeżenia przed kopaniem rowów?

– Nie wydaje mi się. Nie mam na to żadnych danych, ale moje codzienne obserwacje przeczą takiej ocenie. Istnieją też ogólne sondaże na temat prestiżu zawodów. I tak na przykład w sondażu SW Research bodajże z maja 2024 r. sprzedawcom może dale-

ko było do strażaków, których 84 proc. respondentów oceniło pozytywnie, ale już bliżej do profesorów, których pozytywnie oceniło 68 proc. Sprzedawcy uzyskali 52 proc. pozytywnych ocen, podobnie jak rolnicy czy księżowi. A na pewno są bardziej szanowanym zawodem niż posłowie, którzy nie uzyskali nawet 1 proc. pozytywnych ocen (śmiech).

Owszem, tak jak pan powiedział, kiedyś istniał taki stereotyp, ale dziś nie jest moim zdaniem istotny. Choćby dlatego, że Biedronka czy inne dyskonty nie są miejscami, w których płaci się głodowo. Oczywiście kosów też tam się nie zarabia.

Przy czym nie wynika to stąd, że dyskonty stały się nagle takie szczodre. Po prostu nie ma pracowników. Trzeba o nich konkurować i więcej płacić. To pierwszy czynnik. Drugi czynnik zaniku wspomnianego

go stereotypu ma charakter kulturowy. Jako społeczeństwo nauczyliśmy się szanunku do pracy.

Paradoksalnie, w komunizmie, który miał być systemem wielbiącym robotników i pracę wszelaką, pracy nie szanowano. Nie szanowała jej Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, a w ślad za tą przewodnią siłą narodu także i sam naród. Żeby tylko wspomnieć popularne za komuny powiedzenie: „Czy się stoi, czy się leży, pięć tysięcy się należy”. Komunizm zrujnował etos pracy, zapewniając powszechny dostęp do niej, ale jednocześnie gloryfikując jej bylejałość.

Dziś pracę szanuje się o wiele bardziej – także tę w Biedronce. To efekt zmian społeczno-gospodarczych po komunizmie. Przeżyłem te czasy i doznałem transformacji na własnej skórze. Dla wielu była ona niesprawiedliwa. Ale jako społeczeństwo nauczyliśmy się szanować pracę, bo nagle się okazało, że może jej nie być – nawet bardzo długo.

Z pana pytaniem skojarzył mi się też happening Ryszarda Petru, który usiadł za biedronkową kasą, bo myślał, że w ten sposób pokaże, że jest fajny, i przekona ludzi, że warto pracować w niedzielę. Ale za co go najbardziej skrytykowano? Ano właśnie za to, że robiąc z pracy w dyskoncie happening, okazał dla niej brak szacunku. To dla mnie najlepszy dowód na to, że „praca na kasie w Biedrze” nie jest już dziś niczym piętnującym.

Biedronka kojarzy mi się trochę z dr. Jekyll'em i mr. Hyde'em. Z jednej strony od stycznia 2025 r. sklep zapewnia zatrudnienie z pensją nie mniejszą niż 5150 zł brutto – co wcale nie jest minimalną krajową – oraz umową o pracę, co nie jest standardem chociażby w kulturze czy mediach...

–...albo w akademii.

Też. Z drugiej strony jest Biedra, która niemalże zmonopolizowała handel



• **Otwarcie nowej Biedronki w Łodzi (dz. Widzew) przy ul. Rokicińskiej 366, 8 października 2012 r. Mieszkańcy robią w nim zakupy już ponad 12 lat**

spożywczy, wykończyła infrastrukturę sklepików osiedlowych. GUS podaje, że w 1995 r. funkcjonowało około 600 tys. placówek handlowych, a na koniec 2023 r. było ich niespełna 327 tys. Równolegle dochodzi tam do nieuczciwych działań handlowych: głośno było o karze 723 mln zł, którą w 2020 r. na właściciela Biedronki, spółkę Jeronimo Martins Polska, nałożył Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów (UOKiK). Chodziło o wykorzystywanie przewagi kontraktowej wobec dostawców.

– Nie zgodzę się z tezą, że to Biedronki czy ogólnie sklepy wielkopowierzchniowe wykończyły osiedlowe sklepiki. Najazd Biedronek czy Lidlów na średnie i małe miasta, co najpewniej ma pan na myśli, jest bardziej skomplikowanym zjawiskiem, które wynika ze specyfiki mniejszych miejscowości. Jest ona związana m.in. z problemami demograficznymi, deficytami na lokalnych rynkach pracy, mniejszymi dochodami, a w związku z tym mniejszym popytem, opodatkowaniem, relacjami z władzami samorządowymi itp. W takim środowisku częstokroć tylko dyskont jest w stanie przetrwać. A jeśli już coś istotnie zmniejsza liczbę rodzinnych osiedlowych sklepików, to Żabki.

Inna rzecz, że takie zmiany to nic nowego. Gdy się spojrzy na historię handlu w innych państwach, można by nawet rzec, że to proces typowy, a nawet nieuchronny. Drobnny rodzinny handel nie chce się siećować, współpracować, łączyć w spółdzielnie itd. Przychodzą sklepy wielkopowierzchniowe i franczyzy małych sklepów, takie jak Żabka czy 7-Eleven, za którymi zwykle stoją potężny kapitał, logistyka, marketing. I, mówiąc kolokwialnie, jest pozamiatane. To scenariusz doskonale znany z USA czy Europy Zachodniej.

Drobni sklepikarze, np. w USA, w Wielkiej Brytanii czy we Francji, już w XIX wieku protestowali przeciwko domom towarowym, a na początku XX wieku przeciwko supermarketom. A my w XXI wieku narze-

kamy na Biedronkę, Lidla czy Żabkę. Przyjęło się mówić, że konsumpcja jest złem koniecznym, ale musimy coś jeść, w coś się ubrać itd., więc siłą rzeczy kupować i napędzać gospodarkę, zwłaszcza współczesną, która na tym się opiera. Czy tego chcemy, czy nie, masowa konsumpcja to normalny element naszego życia społecznego i z tego bierze się siła masowego handlu i jego instytucji, takich jak dyskonty.

A nadużycia wobec pracowników? Pod jedną z petycji z żądaniem polepszenia warunków pracy w 2024 r. podpisało się 4 tys. zatrudnionych w Biedronce. Czy w imię rozwoju nie znormalizowaliśmy „kapitalistycznego dokręcania śruby”?
– Moim zdaniem jest to bardziej problem prawa pracy, społecznej świadomości tego prawa i efektywności jego egzekwowania, a nie dyskontów jako takich. Jeżeli nie ma wystarczającej presji na ustawodawcę, aby porządnie coś uregulował, potem egzekwował istniejące przepisy, to tworzy się pole do nadużyć.

Jednocześnie to nie jest tak, że się nie da tego zrobić. Pracownicy powinni mieć większą świadomość swoich praw i domagać się ich przestrzegania. Tymczasem poziom uzwiązkowienia w Polsce jest jednym z najniższych w Europie, jeśli nie na świecie – jakieś 5–6 proc. aktywnych zawodowo. Są też regulatorzy – Państwowa Inspekcja Pracy, Państwowa Inspekcja Handlowa, sanepid, Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów. Jeśli w dyskontach pojawiają się nadużycia, to powstaje pytanie, jak te instytucje na nie reagują i czy potrafią im zapobiegać. A z tym chyba nie jest najlepiej.

Do tego dochodzi fakt, że kultura stosunków pracy w Polsce ma charakter folwarczny. Pracodawcy nierzadko z tego korzystają, bo wiedzą, że pracowników za bardzo nie ma kto bronić.

Coś w zamian? Regularnie słyszę o jakichś warzywno-owocowych inicjaty-

wach, które entuzjastycznie zaczynają, a potem po cichutku znikają.

– Na przykład targowiska. Znów nie mam twardych danych pod ręką, ale mam wrażenie, że te miejsca przeżywają jednak pewien renesans mimo inwazji dyskontów i małych franczyz. Ponownie przypomina mi się Ursus. Kiedy tam mieszkalem, było jedno obrzydliwe, chyba nawet nielegalne targowisko, na które zjeżdżali okoliczni rolnicy i sprzedawali z żuków i nysek co popadnie. Dzisiaj są dwa, dobrze zorganizowane, zadbane, wspierane przez samorząd targowiska. Podobnie stało się na Wawrze, gdzie mieszkam też już od dłuższego czasu. Myślę, że podobnie jest w innych częściach kraju.

Na Zachodzie targowiska też mają się dobrze. Rozwijają się nawet w USA. Tam mniej więcej od dwóch dekad widoczny jest odwrót od shopping malli, wielkich centrów handlowych. Nierzadko w ich miejsce powstają open shopping malle, czyli coś w rodzaju europejskich targowisk.

Inne z tego rodzaju inicjatyw, jakie przychodzą mi na myśl, to produkcje własne. Znam coraz więcej osób, które same wytwarzają żywność: wędliny, sery, dżemy, alkohol itp. Nie znam skali, ale to jest już zauważalne w ciągu ostatnich lat. To też alternatywa dla zakupów w dyskontach.

Zastanawiam się, czy ten targowiskowy hurraoptymizm nie kończy się na najzamożniejszej stolicy. Miejska hala targowa w mojej rodzinnej Gdyni od lat cieszy się opinią przeżytku historii, dokąd chodzi coraz mniej ludzi, a Poznań, w którym mieszkam, przed każdą Wigilią czy Wielkanocą donosi, że targowiska umierają, klientów i wystawców ubywa, bo nikomu to się nie opłaca.

– Z pewnością nie jest to poważna konkurencja dla dyskontów, ale raczej koegzystencja. Targowiska siłą rzeczy są gorzej zorganizowane. Z drugiej strony mają coś, czego żaden dyskont nie będzie nigdy mieć – swego rodzaju duszę. Dlatego myślę, że targowiska, tak jak istniały od wieków, tak będą dalej istnieć, a może nawet jeszcze się rozwijać.

Dyskonty próbują nawiązywać do tej duszy targowisk marketingowymi chwytami jak „Ryneczek Lidla” czy „Farmer Aldik”, ale to zawsze będzie tylko słaba imitacja. Ciekawsze są pomysły takie jak amerykańska sieć Trader Joe’s należąca do koncernu Aldi, która stawia na skracanie łańcuchów dostaw i zakupy bezpośrednio u producentów żywności. Buduje w ten sposób wizerunek odpowiedzialnej, lokalnej, sąsiedzkiej sieci,

To nie sklepy wielkopowierzchniowe wykończyły osiedlowe sklepiki w średnich i małych miastach. To bardziej skomplikowany problem

która jak żadna inna dba o jakość produktów i dobrostan wytwórców – tak w dużym skrócie. Wciąż jednak jest jej daleko do targowiska, na którym producent i konsument spotkają się bezpośrednio.

Targowisko z reguły oznacza jednak wyższe ceny. Czasy mamy ekonomicznie niespokojne, z portfelami Polaków też bywa różnie. Żelazna zasada dyskontów, aby podstawowe produkty sprzedawać po możliwie najniższej cenie, musi mieć znaczenie chociażby dla emerytów czy rencistów, których nie stać na kupno np. domowej roboty masła czy serów.

– Oczywiście. I to dobrze, że przy tym są różne dyskonty na rynku i że dochodzi do takich sytuacji jak wojny cenowe między Lidlami a Biedronką. Jako konsumenci korzystamy na tym, a szczególnie ci najmniej za-

możni. A targowiska, jak wspomniałem, mimo że droższe, przetrwają, bo są bardziej ludzkie.

Jednak coraz wyższe ceny żywności sprawiają, że osoby najgorzej sytuowane są zmuszone kupować gorszej jakości półprodukty. Idziemy w kierunku, gdzie na zdrowe jedzenie będzie stać tylko bogatych?

– Rosnące ceny żywności na pewno nie sprzyjają lepszemu odżywianiu się. Inflacja na pewno też najbardziej odbija się na sytuacji najbiedniejszych, w których wydatkach żywność zajmuje często drugą po kosztach mieszkania pozycję. Jednak całe szczęście akurat dyskonty, tak jak każdy inny typ sklepów, są zobowiązane prawem do dbałości o jakość produktów. Tak że nawet jeśli osoby najgorzej sytuowane są zmuszone do zakupów w dyskontach, to nie będzie to najgorsze miejsce z punktu widzenia jakości produktów.

A pomysł z nacjonalizacją Biedronki? Może wobec państwowego podmiotu regulacje dotyczące jakości produktów czy monitoring byłyby skuteczniejsze?

– Nie, błagam. Nie uważam się za neoliberała, ale wszelkie przykłady ze świata, w tym z Polski, świadczą o tym, że przedsiębiorstwa kontrolowane przez państwo, z wielkimi wyjątkami w Korei Południowej i Japonii, cechują się małą efektywnością i podatnością na korupcję. Nie radzą sobie nawet w tak strategicznych sektorach jak energetyka. Tym bardziej nie będą sobie radzić w handlu detalicznym.

Zdaję sobie jednak sprawę, że Polacy mają etatystyczne skłonności i idea obecności państwa w handlu może się podobać. Stąd poprzedni, prawicowy rząd zdołał utworzyć Krajową Grupę Spożywczą. Miała docelowo być też operatorem jakichś narodowych dyskontów, a nawet wykupywać konkurencję. Całe szczęście nie zdążyła się rozwinąć do tego poziomu. Szczerze mówiąc, dziwię się, że obecny rząd nie zapowiada rozwiązania tego tworu.

Jeśli chodzi o jakość żywności czy szerzej: o zdrowsze odżywianie się, to moim zdaniem najbardziej brakuje nam edukacji. Ubolewam nad tym, że szkolny przedmiot edukacja zdrowotna, w którym te treści są silnie obecne, nie będzie obowiązkowy. Ale mam też wrażenie, że ludzie pozostawieni samym sobie sami się uczą, co jest dla nich dobre.

Popyt na zdrową żywność jest coraz większy. Widać to nawet po Biedronkach i innych dyskontach, gdzie już od pewnego czasu mamy półki z żywnością bio, wegetariańską, wegańską. I nie są to też produkty jakoś ekstremalnie droższe niż tradycyjne. Ludzie sami zaczęli się interesować jakością i różnorodnością żywności, a rynek na to odpowiedział, nawet bez interwencji państwa.

No właśnie, czy zakupy w Biedronce można nazwać kwintesencją polskości? W internecie nie brakuje memów, na których obok godła, pierogów, Piłsudskiego czy Małyszki jest siatka z charakterystycznym, żółto-czarno-czerwonym logotypem.

– Rozumiem ironiczny kontekst, ale żeby określić coś narodowym, musiałoby to być w 100 proc. polskie. Ta konkretna marka nie jest ani wyłącznie polska, ani specyficzna. Jeśli już Biedronka ma coś symbolizować, to zmiany w zwyczajach zakupowych Polaków i wzrost dobrobytu. Tak jak zaczęliśmy naszą rozmowę – zmieniły się one na lepsze. Od zakupów w obskurnych halach, gdzie niekoniecznie dobrej jakości towar był rzućany na palety, do miejsc, w których wszystko jest uporządkowane, gdzie sprzedaje się produkty dobrej jakości, w przystępnych cenach i gdzie spotykają się ci bardziej zamożni z tymi biedniejszymi.

Popularność Biedronek i innych dyskontów to również symbol tego, że mimo ogólnego wzrostu dobrobytu wciąż jesteśmy społeczeństwem na dorobku, szukającym oszczędności. ●

Z KUBI PRODUCENTEM
ROZMAWIA JAREK SZUBRYCHT

Twoja „Woda księżycowa” w 2024 roku została przesłuchana 53 mln razy w serwisie Spotify, 15 mln razy wyświetlono klip w YouTube. Statystycznie rzecz biorąc, dorosły Polak miał co najmniej dwukrotnie styczność z twoją piosenką.

– Nie spodziewałem się tego. Trzy lata temu odkryłem Fog Lake’a, artystę z Kanady, którego muzyka i teksty od razu do mnie trafiły. Najbardziej spodobał mi się fragment utworu „Push”: „Nie chcę być teraz sam (...) / Wolałbym teraz spać/ Śnić o błędach, które popełniłem”. Zrobiłem z tego sampel, dorobiłem bit. Miał to być numer dla Bedoesa, ale nie wyszło. Potem poznałem stickxra, który nie był wtedy znaną postacią, nagrywał w podziemiu i wspólnie wymyśliśmy refren. Znowu to trochę poleżało, aż zrobiliśmy zwrotkę z Fukajem. Następnie wysłałem „Wodę księżycową” do bambi.

Długo lepiła się ta piosenka, ale kiedy już udało się ją skończyć, okazała się największym hitem 2024 roku. Mile zaskoczenie.

Naprawdę? Nie czujesz, kiedy masz w ręku hit?

– Rozmawialiśmy o tym, że wyszło nam coś uniwersalnego i przystępnego. Piosenka, którą mógłby przesłuchać i 15-latek, i 30-latek, i 60-latek, i każdemu z nich mogłaby się spodobać. Ale nie podporządkowałem temu procesu twórczego, po prostu robiłem swoje. Dopiero kiedy „Woda księżycowa” stała się wiralem na TikToku, zrozumiałem, że to będzie hit i nawet nie potrzebuję pomocy radia.

Ani telewizji. Twoja płyta jest na pierwszym miejscu polskiej listy sprzedaży, ale możesz swobodnie poruszać się po mieście, prawie nikt cię nie zaczepia, bo twoja twarz nie jest powszechnie znana. To też znak czasów.

– Super się z tym czuję. Mogę wychodzić, gdzie chcę, i tylko po koncertach ludzie przychodzą po autograf albo zrobić sobie zdjęcie.

Przyjechałeś z Wadowic, choć zważywszy na popularność twoich produkcji, mógłbyś mnie teraz przyjmować w jednym z tych słynnych apartamentów na Złotej w Warszawie.

– Urodziłem się w Wadowicach i wciąż tam mieszkam. To małe miasto, ale jestem do niego bardzo przywiązany. Tam mieszkają moi rodzice, tam poznałem swoją dziewczynę. Czasem myślę o przeprowadzce, ale bardziej ciągnie mnie do Krakowa niż do Warszawy. Myślę też o cieplejszym klimacie, na przykład o Hiszpanii. Nie musiałbym się tam osiedlać na stałe, ale coś wynająć i zamieszkać na jakiś czas. To plus mojej pracy, wszędzie mogę tworzyć muzykę.

Nie musisz pilnować w Warszawie swoich interesów?

– Nie jest to konieczne, choć kiedy mieszkasz w Warszawie, pewne rzeczy stają się łatwiejsze, choćby spotkania z różnymi ludźmi. Bywam więc w Warszawie, na szczęście nie jest daleko. W nocy jedzie się z Krakowa niespełna trzy godziny.

Od czasu do czasu przyjeżdżam do Warszawy na jakiś tydzień. Mieszkam w hotelu, załatwiam różne sprawy, nagrywam. Ale żeby tak na stałe? To chyba nie dla mnie. I nie jest to konieczne, przecież jest internet. Kiedy robiliśmy pierwsze dwie płyty z Bedoesem, on mieszkał w Bydgoszczy, ja w Wadowicach. Widzieliśmy się może ze dwa, trzy razy. Chodziłem jeszcze wtedy do szkoły. „Kwiat polskiej młodzieży” zrobiliśmy, kiedy przygotowywałem się do matury, a za chwilę ta płyta będzie diamentowa. Po 2020 roku, po pandemii, trochę się zmieniło. Mogę pracować przez internet, ale wolę się spotykać



ULUBIONA WODA POLAKÓW

– Porównywanie się do innych to największy zabójca kreatywności w młodym pokoleniu – mówi Kubi Producent, jeden z twórców brzmienia nowego polskiego rapu i autor największego hitu 2024 roku.

z raperami w studiu. To jest inna energia, wymiana pomysłów lepiej działa.

Wadowice kojarzą się z papieżem, kremówkami, z historią. To dobre miejsce do życia dla młodego człowieka?

– Zależy, czego od życia oczekujesz. Jeśli chcesz imprezować – niekoniecznie. Jeśli chcesz się rozwijać w określonej dziedzinie, na przykład robić karierę w IT – musisz wyjechać. Jest tu jedna duża firma, ale poza tym niewiele opcji. Ja nie narzekam, bo nie przepadam za imprezami i mam specyficzne zajęcie.

Zacząłeś tworzyć muzykę jako... 11-latek. W tym wieku szuka się jeszcze zabaw, nie przyszłego fachu.

– U mnie w rodzinie zawsze było dużo muzyki. Moje pierwsze wspomnienia to tata, który nosi mnie na rękach i puszcza z kaset „Tubular Bells” Mike’a Oldfielda albo jakiś Vangelis na przemian z Crazy Frogiem. Miałem dziewięć lat, kiedy zacząłem słuchać amerykańskiego rapu. Sapi, mój starszy brat, opowiedział mi o Dr. Dre, o jego studiu nagraniowym, o tym, jak się robi bity. Pamiętam reklamę, w której Dre jedzie autem z zaprojektowanym przez siebie nagłośnieniem – bardzo to przeżywałem.

W 2011 roku – miałem wtedy lat 11 – znalazłem w internecie Waka Flocka Flame, rapera z Atlanty, który nagrywał trap [podgatunek hip-hopu, rozwinął się w latach 90. szczególnie na południu USA]. W Pol-

sce tego jeszcze nie było. Zafascynowałem mnie producenci, z którymi współpracował, Lex Luger i Southside. Chciałem robić podobne rzeczy. Brat miał na komputerze Fruity Loops [program do edycji dźwięku, np. miksowania czy montażu], uruchomiłem go kiedyś przypadkiem i tak się zaczęło. W 2013 roku zacząłem wrzucać do sieci pierwsze efekty swojej pracy, a potem nawiązywać pierwsze znajomości.

W jaki sposób?

– Na Facebooku było mnóstwo grup okłomuzycznych związanych z podziemnymi wytwórniami i skupionymi wokół nich ekipami, ja na przykład byłem w SOMD, a Bedoes we Freshville. Do tego były grupy fanowskie poświęcone konkretnym ga-

tunkom – w jednej spotykali się fani chica-gowskiego drillu, w innej trapu z Atlanty itd. Z jednej strony byliśmy podzieleni na obozy, ale z drugiej wszyscy się znaleźliśmy, tak małe to było środowisko. Te znajomości przetrwały do dziś, a wielu ludzi z tych grup trafiło do branży. Tak stworzyliśmy polski trap.

Zanim jednak stałeś się rekinem branży muzycznej, mama mówiła: „Zostaw komputer, nauka czeka”, a tata: „Muzyka nie da ci chleba, musisz mieć prawdziwy zawód”. Zgadłem?

– Rodzice cieszyli się, że zająłem się muzyką, bo dzięki temu przestałem grać w gry. Wracalem po szkole do domu, robiłem bity, ale nie wiązałem z tym przyszłości. Marzyłem tylko, żeby ktoś się do mojego bitu dograł. Spełniło się, kiedy miałem 13 lat. Zawiesiłem sobie wyżej poprzeczkę: żeby płyta z moim bitem trafiła do Empiku. Potem: żeby cała moja płyta była w Empiku. Początkowo myślałem, że fajnie będzie, jeśli kiedykolwiek zarobię na muzyce ze 100 złotych, ale po pięciu, sześciu latach zrozumiałem, że to może być moja praca. A rodzice... Też nie od razu wierzyli, że muzyka okaże się tak poważnym zajęciem.

Twój tata jest nauczycielem, prawda? – Skąd wiesz?

Z płyty, którą nagrałeś z Sapim. Zakładając, że twój brat nie skłamał w utworze „Nawet jeśli nie wyjdzie mi z rapem”.
– Nie skłamał. Tata był nauczycielem wufu, teraz jest na emeryturze. Mama uczyła historii w szkole specjalnej. Rodzice pracowali z dziećmi, więc i do nas potrafili do-trzeć, zawsze mieliśmy z nimi dobry kon-takt. Rodzice wielu moich znajomych nie rozumieli tego, co robiły ich dzieci, ale my nie mogliśmy narzekać. Zawsze nas wspie-rali.

Nawet po wsłuchaniu się w teksty? Nie było trudnych pytań w rodzaju: „Z kim ty się właściwie, Kuba, zadajesz?”
– Nie. Wiedzieli, że ja tylko tworzę muzykę, słowa pisze ktoś inny. Gorzej było w szkole. Miałem nauczycielkę polskiego, której nie podobało się, że coś robię poza szko-lą i nie uczę się polskiego tak, jak ona by chciała. Wzywała mamę i kazała się tłuma-czyć z przekleństw w moich utworach. „Ja cię do matury nie dopuszczę, skończysz w McDonaldzie!” – zapowiedziała w trze-ciej technikum. Co to za tekst?
Na szczęście pomyliła się, chwilę póź-niej wydaliśmy „Kwiat polskiej młodzieży” i wszystko potoczyło się dobrze. Ale chcia-ła mnie upier***, więc przed maturą mu-siałem się przepisać do innej klasy, żeby zostać dopuszczonym do egzaminu.

Teksty tekstami, ale czy nie bali się, że z kolegami raperami zażywacie wszyst-kie narkotyki naraz, a potem wskaku-jecie do basenu albo szalejecie drogimi samochodami z teledysków?
– Na pewno się o to martwili, choć już ja-ko 16-latek jeździłem sam pociągami do Warszawy. Nie zabraniali mi tego. Nie pu-szcili mnie tylko na trasę po wydaniu „Aby śmierć miała znaczenie”, pierwszej pły-ty z Bedoesem. Smutno mi było, ale chy-ba mieli rację. Mogło to się źle skończyć, a moje życie potoczyło inaczej. Zostałem w domu, żeby się uczyć, żeby jednak napi-sać tę maturę. Zależało mi.

Współpraca z Bedoesem była dla ciebie przełomem. Dla niego też.
– Bedoes i White 2115 wysyłali swoje nagra-nia do różnych labeli, ja swoje bity też wy-syłałem, gdzie się da. Nikt tego nie chciał. W końcu stwierdziliśmy, że skoro wszy-scy nas pier***, zrobimy to sami. Nagra-my taką płytę, jakiej chcielibyśmy słuchać – tak powstała „Aby śmierć miała znacze-nie”. Ludzie się w tym odnaleźli. To była sy-tuacja jedna na milion. Przepychaliśmy się lokciami, przecieraliśmy szlaki dla nowego

rapu. Zatwardziało środowisko hiphopowe nie zareagowało dobrze. Bedoes miał dłu-gie, farbowane włosy, ja jakąś dziwną czu-prynę. Raperzy wyglądali wtedy zupełnie inaczej. Gonili nas i za wygląd, i za nową muzykę. Jego chcieli przekopywać, mnie chcieli te włosy obcinać.

Jako 16-latek musiałeś się też publicznie tłumaczyć, że nie kradniesz bitów. Tego rodzaju oskarżenia to rzeczy trudne do udźwignięcia dla dorosłych, a ty by-leś dzieciakiem.
– Przyszedł Sapi i mówi, że jest afera. Ty-dzień po premierze płyty oskarżono mnie o to, że ukradłem bit do „Hymnu” Bedo-esa. To melodia zagrana na cztery klawi-sze, megaprosta progresja. Takich pio-senek jest milion. Pokazałem w internecie ca-lą sesję, z której wynikało, że zrobiłem tę piosenkę od początku do końca i ludzie po-dzielili się na dwa obozy – jedni mówili, że Kubi kradnie, drudzy, że Kubi jest spoko. Pawbeats, jeden z moich ówczesnych ido-li, napisał na Facebooku coś w rodzaju: „Co chwilę słyszę o utalentowanym szesnasto-latku, pytają mnie, co o nim myślę, a potem dowiaduję się, że wszystko bierze z goto-wych paczek”.
Czułem się z tym fatalnie. Za wszelką cenę chciałem udowodnić, że mylą się ci, którzy podejrzewają mnie o kradzież. Dla-tego w 2017 i 2018 roku tak dużo piosenek wychodziło na moich bitach. Z czasem te wszystkie złe rzeczy stały się moim pance-rzem, byłem nie do rozej***.

Nikt tego nie chciał. Stwierdziliśmy, że skoro wszyscy nas pier***, zrobimy to sami. Nagramy taką płytę, jakiej chcielibyśmy słuchać – tak powstała „Aby śmierć miała znaczenie”

Bedoes stał się głosem pokolenia. Tego nie dało się zaplanować.
– Wielu jego fanów twierdzi wręcz, że lata 2017-18 to najlepszy czas dla polskiej mu-zyki. Nie zgadzam się. Wydaje mi się, że to po prostu nostalgia za określonym cza-sem w ich życiu. Nie chodzi o muzykę, ale o emocje, których nie da się już odtworzyć. Co jakiś czas pojawia się artysta, który do-rasta na oczach całej Polski, a jego fani ra-zem z nim – i kimś takim był właśnie Be-does.
Wydaje mi się, że siłą pierwszych dwóch płyt – „Aby śmierć miała znaczenie” i „Kwiatu polskiej młodzieży” – była mło-dzieńcza iskra, nonszalanca. Na pierw-szej przeważają bangery. Ja miałem wtedy 16 lat, Bedoes 18 i interesowały nas przede wszystkim imprezy. Druga powstała zale-dwie rok później, ale ma już zupełnie inny klimat. Słychać dojrzewanie, pojawiają się myśli, które będą zawsze aktualne. Nie są to płyty doskonałe, ale cieszę się, że poka-zaliśmy je światu, bo są prawdziwe, są na-zymy portretem z tamtego czasu. Nie po-równywaliśmy się do nikogo, nie spraw-dzaliśmy, czy ktoś robi podobne rzeczy le-piej od nas. Porównywanie się do innych to zabójca kreatywności w młodym poko-leniu. Nowe media w łatwy sposób pozwa-lają ci się porównywać z innymi – nie tylko w obszarze muzyki – a to najgorsze, co mo-zesz zrobić.

Jak wygląda dzień pracy jednego z naj-bardziej rozbijanych producentów w Polsce?
– Różnie. Kiedyś po prostu siadałem i robi-łem bity, które czekały, aż ktoś się do nich dogra. Im jestem starszy, tym częściej szu-kam zewnętrznych inspiracji. Wychodzę z domu, spaceruję albo jadę gdzieś autem

i otwieram się na to, co widzę, na emocje, które temu towarzyszą. Zapisuję szkice, które później biorę do studia, gdzie spoty-kam się z raperami, rozmawiamy i wersje demo dopasowuję do ich charakterów, słu-cham ich pomysłów.

Pracując nad nowym albumem, korzy-stałeś ze studia Lucassiego, czyli Łukasza Rozmysłowskiego. To połowa znanego naszym czytelnikom duetu Coals.
– Moja babcia i jego babcia to siostry. Do-wiedziałem się o tym koło 18. urodzin. Ciotka zapytała, czy wiem, że mój kuzyn też ma zespół, ale nie mogła sobie przypo-mnieć nazwy. Mniej więcej w tym samym czasie chłopak mojej kuzynki powiedział Łukaszowi, że w rodzinie jest Kuba, któ-ry też robi muzykę. Dodaliśmy się do zna-jomych na Facebooku, zaczęliśmy do sie-bie pisać i chwilę później robić razem mu-zykę.
W 2020 roku pojechałem do niego do Cieszyna i w dwa dni zrobiliśmy 30 bitów. Od tamtej pory zacząłem regularnie go od-wiedzać, razem z Sapim. Nigdy wcześniej nie pracowałem w studiu, ale dobrze mi to zrobiło, dzięki Łukaszowi i Sapiemu od-blokowałem się twórczo. Od tamtej pory wszystko nagrywam u Lucassiego.

Policzyłeś, z iloma artystami już współ-pracowałeś?
– Na płycie „Sen, którego nigdy nie mia-łem” jest 39 gości. Łącznie uzbierałaby się już pewnie setka.

A gdyby ktokolwiek miał wątpliwości, prędzej czy później usłyszysz twój dźwiękowy podpis: „Jezu Chryste, Kubi!”.
– Pomysł pojawił się w czasach fascyna-cji amerykańskim rapem. Producent Me-tro Boomin miał voice taga „If young Metro don’t trust you, I’m gonna shoot you” – to mówił raper Future. Jaraliśmy się tym z Be-doesem i on zaproponował, że zrobi mi ta-kiego taga. W piosence „Biały i młody” poja-wiły się słowa: „Jezu Chryste, Kubi!” i tak mi się to spodobało, że postanowiłem wyciąć i dawać we wszystkich swoich produkcjach.

Myślałeś o wyjściu poza świat rapu? Pierwsze udane próby, choćby „DNA” z Dawidem Kwiatkowskim, masz już za sobą.
– Niesamowicie jaram się muzyką instru-mentalną i chciałbym zrobić taką pły-tę. Taką, żeby nie było wstydu wyjść z nią poza Polskę, poszukać odbiorców w Eu-ropie. Chciałbym, żeby audio łączyło się w niej ze sferą wizualną. Na płycie „Sen, którego nigdy nie miałem” też do tego dą-żyłem. Warstwa wizualna miała być pod-niszczona, przybrudzona, ziarnista, jak zdjęcia robione starym aparatem, i ten sam efekt chciałem osiągnąć w muzyce. Zamierzam trzymać się tej estetyki i na-grać minialbum instrumentalny w po-dobnym stylu.

Rozumiem tę tęsknotę za muzyką in-strumentalną. Na twoich bitach zostały

już wypowiedziane tysiące słów i nie wszystkie z nich są mądre. Pewnie zda-rza ci się pomyśleć: „Ech, fajną muzykę zrobiłem, a kolega zagaduje ją taki-mi głupotami”.
– Czasem, ale nie narzekam, nawet jeśli tra-fia się jakaś główniana linijka. Wychodzę z założenia, że właśnie taka była komuś po-trzebna. Może dzięki niej słuchacz się obu-dzi i reszty kawałka będzie słuchał z więk-szą uwagą...

Marzysz o płycie instrumentalnej, a czym jest tytułowy sen, którego nigdy nie miałeś?

– Wszystkie moje dotychczasowe sny się spełniają. Nie spodziewałem się jednak te-go, że po wydaniu płyty będę dostawał wia-domości od ludzi, że moja muzyka im po-mogła, że przyniosła ukojenie, zadziała-ła terapeutycznie. Nawet jedna taka wiado-mość byłaby zwycięstwem. ●

Kubi Producent

• Jakub Adam Salepa, ur. w 2000 roku w Wadowicach. Kompozytor i producent, współpracownik m.in. Bedoesa, Szpaka i Fukaja. Zaczął tworzyć własne utwory w wieku 11 lat, zanim odebrał dowód, płyta z jego muzyką pokryła się platyną („Aby śmierć miała znaczenie” nagrana z Bedoesem). Wydał dwa solowe albumy producenckie: „+18” i „Sen, którego nigdy nie miałem”. Z tego drugiego, ubiegłorocz-nego pochodzi utwór „Woda księżycowa”, w 2024 roku najczęściej odtwarzana polska piosenka w serwisie Spotify.



Ten rodzaj bliskości

Pozwala mi wybrać między witką dębu i brzozy – oczywiście mi ich nie pokazuje, lecz dotyka mnie każdym z wiechci.

Aga Kozak

Wiasta – i w ogóle świat – można zwiedzać tropami kulinarnymi, muzealnymi. Zaliczać stadiony ulubionych drużyn. Szukać ptaków, drzew, grzybów. Mam znajomych, którzy znają miasta dla biegaczy, bo kolekcjonują sukcesy w maratonach, innych wabią ciekawe trasy rowerowe. A ja jeżdżę po świecie tropem hydro – balneologicznym. Ach, ach – gdzie te czasy, kiedy „do wód” jeździło się regularnie? I to nie tylko do Ciechocinka...

Przyjaciele na chwilę w saunie

Może tę obsesję balneologiczną mam dlatego, że w Krakowie – gdzie mieszkam – jest ona jakoś szczególnie obecna? W końcu twórcę

ce balneologii na ziemiach polskich uważa się Józefa Dietla, polsko-austriackiego lekarza i polityka, patrona jednej z największych ulic Krakowa, wiodących przez Kazimierz, który przeprowadził klasyfikację polskich wód mineralnych i popularyzował uzdrowiska popradzkie.

Każdy krakowianin zna też nazwisko Antoniego Matecznego – bo choć raz prześladali się na przebrzydłym rondzie jego imienia – radnego krakowskiego Podgórze, architekta – odkrywcy leczniczych źródeł, założyciela i właściciela uzdrowiska „Mateczny”, które w niezbyt atrakcyjnej formule działa nadal obok wspomnianego ronda.

To nie oznacza niestety, że krakowianie regularnie taplają się w Wiśle, saunują czy przechadzają się po mieście z dzbanuszkami z dziubkiem zamiast kubka ze Starbucksa. Choć trzeba przyznać, że w zimie morsują, a w lecie obsesyjnie korzystają z wilgoci Zakrzówka, którego regularnie bronią też przed zakusami deweloperów – zjawiskowego zbiornika wodnego w wapiennym kamieniołomie parę przystanków tramwajowych od Rynku.

Moje wodne tropy są trochę inne. Ja po prostu uważam, że woda, w której nie można trzymać telefonu, a nawet nie za bardzo czytać (chyba, że w wannie) która potrafi być żywołem szalenie samotnym – tradycyjnie kobiecym, ale też łączącym nas ze samymi sobą, swoimi myślami, zmysłami i ciałem – jest też idealnym kontekstem dla

tego rodzaju towarzyskości i intymności, za którym tęsknię.

To w wodzie widać bez filtrów nasze nagie członki, to w wodzie w końcu liczy się wsparcie drugiego. Po pierwsze dlatego, że może być niebezpieczna, po drugie – że wiele czynności, od kajakowania do mycia pleców, trudno zrobić samej/mu.

Woda wymusza ten rodzaj bliskości, której jest coraz mniej: a jest ona lekarstwem na narcyzm i samotność naszych czasów.

Wspólnoty saun czy łódek tworzą na chwilę tę bliskości obcych ludzi, których Brytyjczycy nazywają „single serving friends” – którą szalenie lubię.

W wodzie zakochałam się – mało oryginalnie – w Budapeszcie, mieście term, łaźni i basenów. I choć to żadna nowina, że do stolicy Węgier można uciec, to jednak doświadczenie doświadczeniu nierówne.

W Budapeszcie nagość zakazana

Pokaż mi swoją łaźnię a powiem ci kim jesteś? W Budapeszcie owszem, bo jest w czym wybierać. Od kąpieliska secesyjnego i luksusowego Gellerta, po całonocne, rozświetlone ledem imprezy w cesarsko – królewskich Szechenyi.

Ja zamiast tych łaźni, które wyglądają jak galerie sztuki, albo torty ubrane figlaskami ajerkoniakowego kremu wybieram minimalizm kąpieliska Rudas. Rudas to świadectwo panowania na tym terenie Ottomanów – to Turcy wprowadzili hammany, których rozwój w Europie nastąpił w XV

wieku. Do Budapesztu – miasta 130 ujęć wody termalnej – ciągnęły wtedy pielgrzymki z całej Europy i Imperium Osmańskiego. Oczywiście w nadziei na wyleczenie rozmaitych schorzeń.

I zaiste, jeśli chcecie poczuć zawieszenie w czasie i przestrzeni gdzieś pomiędzy PRL-em, erą Ottomanów, Rzymem i Austrowęgrami – czyli po prostu w uniwersum Roberta Makłowicza – udajcie się do Rudasa. Oczywiście do starej części, bo jeśli chcecie poczuć się jak w – nomen omen – mokrym śnie dewelopera, idźcie na lewo, do nowej.

Stary Rudas to jedyna łaźnia, w której podtrzymywana jest niechlubna tradycja, że kobiety w budapesztańskich łaźniach mogły kąpać się tylko w określone dni – pewnie pamiętacie to ze słynnego wideo Katarzyny Kozyry. Przez większość tygodnia trwa tam dzień „męski”, w weekend jest koedukacyjne – w nowej części jest tak ciągle. Ale wtorek... wtorek należy do nas.

Choć ostatnio zaszły tu pewne zmiany. Jeszcze parę lat temu kamienne sklepienia tureckiej łaźni i tęczowe witraże świetlików kopuły skrywały tłum nagich kobiet, które – w swobodnych pozach, nie wstydząc się swoich ciał – wypoczywały kolejno w coraz cieplejszych kamiennych basenach, by przejść do piekła saun.

Do takiego Rudasa, gdzie obejrzałam mnóstwo zakamarków i kształtów kobiecego ciała w różnym wieku pielgrzymowałam przez lata. Aż nastały rządy Orbana.



• **Morsowanie w Wilnie. Zanurzanie się w lodowatej wodzie produkuje kosmiczne ilości dopaminy i podnosi odporność**

FOT. SHUTTERSTOCK

• **Witkowanie najpierw jest tylko naganianiem pary, potem głaskaniem i uwrażliwianiem ciała, a dopiero potem poprawiającą krążenie chłostą. Sauna w Rydze**

FOT. ILMARS ZNOTINS/AFP

• **W budapesztańskich łaźniach Rudas tylko weekend jest koedukacyjny. Wtorki sa tylko dla kobiet. A reszta tygodnia męska**

FOT. ALAMY STOCK PHOTO



Od tego czasu w krainie swobody pojawiły się restrykcje. Ubrane w fartuchy i klapki jak z „Misia” łaźnie zaczęły gonić nagi: trzeba było założyć albo kostium, albo tradycyjny w łaźniach biały, płócienny fartuszek. Jednak nie jeden, jak do tej pory wystarczyło, spod którego wylania się dumnie pupa, lecz dwa.

Z budapesztańskich plotek wiem, że w tym samym czasie zaczęły się skandale w łaźniach męskich: dwóch panów na schadzce było od razu denuncjowanych w atmosferze oburzenia. Tak jakby łaźnie od zarania dziejów nie były miejscem gejowskich randek.

I choć wiele to Rudasowi odebrało, pozostała ta atmosfera odprężenia, szeptań w basenach plotek i tajemnic: zazwyczaj idziesz do łaźni z matką, babcią, przyjaciółką, której się nie wstydzisz, z którą masz bliskość. A węgierskie sauny w trakcie rozmaitych migracyjnych przetasowań zyskały nowe użytkowniczkę, które mnie dużo nauczyły.

Od Rosjanek i Ukrainek, zazwyczaj chodzących w parach, zażywnych pań po pięćdziesiątce, nauczyłam się nosić filcowe kapelutki, żeby ochronić włosy. Turczynki, często matki z córkami, do sauny wchodziły z zestawem własnych olejków i za ich sprawą piekącą para nasycyła się zapachem mięty i wawrzynu, który podobno wspaniale działa na włosy i skórę. Wyobrażacie sobie kalambur, który wykonałyśmy próbując sobie

wytłumaczyć, czym jest roślina, z której dobrodziejstw właśnie korzystaliśmy? Nie pomnę, ile razy któraś z obcych kobiet wyszowała mi tam plecy, polala wodą lub zaczęła konwersację o życiu, zastępując znajomość języka życzliwością.

Inne atrakcje czekają was, jeśli udacie się do nowej części Rudasa. Jest tam oparte na termalnych kosmetykach spa i wybudowany na dachu basen, który reklamowany jest romantycznie, jako miejsce z widokiem na Dunaj.

Foldery reklamowe nie powiedzą wam jednak, że Rudas położone jest między dwoma bardzo ruchliwymi ulicami. Siedząc więc w pięknym źródle – najlepiej, kiedy pada lekko deszcz – słyszycie i czujecie auta. Z drugiej strony lekko pcha się na was skała z wzgórza Gellerta, więc ten piknik jest nie tylko spalinowy, lecz i pod wiszącą skałą.

Powiedziałabym, że to doświadczenie brutalistyczne – ale warto przeżyć! A w dzień męski w małym bufecie (nie mylić z restauracją z folderów) w korytarzu, tuż przy wejściu można jeszcze zastać starych bywalców: starszych panów z wąsem i brzuszkiem o dziewiątej rano wcinających galuszkę, gulasz i półkółko z piwkiem z palinką. A czy wspominałam, że woda w Rudasu jest lekko radioaktywna?

W Paryżu zedrą z was skórę

Drugi przystanek na mapie wodnych doświadczeń to Paryż. To tam, ukryty w Wielkim Me-

czecie Paryskim, mieści się absolutnie wspaniały hammam. Wejście jest przez kawiarnię i zamawiając bilety do łaźni warto wybrać opcję z obiadem – kuskusem czy taginem – w cenie: będzie taniej, a zaprawę powiadam wam, będziecie głodne. W końcu „woda wyciąga”.

Podobnie jak w Rudasu – i tu będziecie miały kolorowe witrażyki, jednak już nie minimalistycznie: od mozaik w Grand Mosque, ażurów, blasku złota czy szmaragdowych ścian można się poczuć jak w baśni z 1001 nocy.

Aż do czasu, gdy – przechodząc przez recepcję z widokiem na wylegające się już po rytuale na materacach, dookoła fontanny kobiety – nie trafi się do szatni żywcem przypominające te z Budapesztu, tylko że węższe, gorzej zorganizowane, jakby w przejściu.

Jednak tę ciasnotę rekompensują wnętrza łaźni: kamień, błękity, mozaiki, łuki, kolumny... Oczywiście to wszystko ledwo prześwituje w buchającej parze. I między niedzielnym tłumem paryżanek – głównie młodych kobiet, które przyszły tu w towarzystwie koleżanek lub matek poplotkować, pozwierzać się. Hammam w meczecie, parę kroków od miejsca modlitwy mężczyzn – jest najwyraźniej modnym miejscem.

Sceny, które tam widzę, przywołują mi na myśl jednocześnie straszne i piękne malowidło Ingresa – „Łaźnię turecką”. Straszne, bo 82 lata artysta jak to miał w zwyczaju

ju zniekształcił i zafalszował na nim anatomię kobiet skreślając ciała i czyniąc je niemal pozbawionymi kości.

Ingres nie malował z natury, zrezygnował swoje poprzednie dzieła i marzenia, a na pomysł obrazu wpadł czytając szalenie popularne we Francji około 1825 roku (drukowane były na przełomie stu lat aż osiem razy) „Listy z Orientu” Lady Mary Montagu, która w 1716 roku towarzyszyła mężowi, brytyjskiemu dyplomacie podczas misji w Imperium Otomańskim.

Wiemy o tej inspiracji, gdyż malarz skopiował sobie taki to ustęp z pamiętników ciekawskiej arystokratki: „Ogółem musiało tam być dwieście kobiet. Piękne, nagle kobiety w rozmaitych pozach... jedne rozmawiały, inne były zajęte pracą, jeszcze inne piły kawę lub smakowały sorbet, a wiele z nich po prostu leżało nonszalancko”.

Jest w tym opisie i tym obrazie – ewidentnej fantazji erotycznej malarza – jakaś prawda o intymności hammamu, oczywiście turboprzesadzona. Nie znam jednak innej przestrzeni, w której kobiety czują się tak swobodnie – pokładając się na sobie, przytulając, nie dyscyplinując ciał – i mogą być blisko niewystawione na męskie spojrzenie i fantazję. Między innymi po to kolektywne doświadczenie chodzą do łaźni.

Kiedy się już wyleżycie na kamiennych ciepłych postumentach, odparujecie, wypociecie toksyny, schłodzicie ciało w okrągłych mozaikowych basenikach, a ziomal-

ka szorstką rękawicą pościera wam skórę z pleców, przychodzi czas na odstanie swojego w dwóch kolejkach.

Jedna jest jeszcze w samej łaźni i wiedzie do pomieszczenia, które ciągle zlewane jest wodą, krzątają się w nim kobiety w przemokniętych szczątkach odzienia i w kompletnie nieznymyślowych gumiakach.

Tu zaczyna się pokrzykiwanie i popędzanie. Jeśli bowiem kupiłyście na wejściu czarne mydło – marokański specjal z czarnych oliwek i oliwy, kompletnie się nie pieniący – i pilingującą rękawicę, zaraz traficie na stół, na którym dziarskie ręce użyją tych artefaktów, żeby zedrzeć z was martwy naskórek.

Zapomnijcie o masażu lomi – lomi, który łączy was z duszą, czy innej pełnej szacunku dla ciała ayurwedzie: ten rytuał najbardziej przypomina nacieranie dziczyzny przyprawami. Cudownie boli, przywraca krążenie, a szorstkość miłości wykonujących je specjalistek z hammamu przypomina dzieciństwo i dotknięcie chropowatego ręcznika po gorącej kąpeli w zimowy dzień. Albo moment, kiedy trzeba było was rozgrzać po powrocie z sanek.

Absolutną bezceremonialność „złuszczaczek” równoważy chwila odpoczynku na materacach przy szmerze fontanny, herbata i sesja u delikatniejszych masażystek, które przyjmują w pokoikach jak z orientального snu. Tam już pachnie jak powinno, a rozpulchnione parą ciało i zdarta skóra przyjmują olejki woniujące różą i kadzidłowcem, jakby je piły.

I tak niezauważalnie, na rozmowach, myciu, ugniataniu, herbacie – mijają godziny. Bez telefonu, newsów, tiktoka – w rozproszonym świetle i relaksie. Nic dziwnego, że kiedy się z łaźni wychodzi, chce się jeszcze posiedzieć w mecie. I jeść. A merguery, kiszzone cytryny i oliwki w restauracji są świetne, choć ruch tam jak na suku. A i mają sorbety, jak u Lady Mary Montagu.

W Wilnie wysmarują cię miodem

Wilno. Nie kojarzy się z przyjemnością, co? Raczej z Matką w Ostrej Bramie, mój przewodnik nie mógł się pozbierać, że jestem z Polski i nie jestem Katoliczką, oraz specyficznym chlebem: kminkowo – karmelowo ciemnym, tym smażonym i w formie kwasu. Ostatnio jeszcze z obsesją na punkcie trzećciofalej kawy.

Tymczasem Litwa ma swoją – odradzającą się właśnie w miejskiej formule – tradycję saunową. Ivānas Muša Gongā – nazwa jest totalnie abstrakcyjna i oznacza „Iwan bije w gong” – to sieć sześciu miejsc oferujących skrajnie różne, ale równie gorące doznania.

Z jednego masz widok na wileńskie „city”, ale jest też takie, które mieści się w więzieniu Łukiszki. Jako miejsce kaźni wykorzystywały je rozmaite narody i grupy wpływów, które znaczą litewską, ale też polską historię, a ostatni więźniowie wyszli z tego obiektu w 2019 roku!

Doświadczenia wizyty w celach przejściowych, zrytych napisami sięgającymi pewnie do dziewiętnastego wieku nic nie przebije. Gdy was tam wpuszczają – a jest to pomieszczenie rozmiaru ciasnej ubikacji – mówią, że w czasach stalinowskich w jednej zamykano i kilkanaście osób, co dla niektórych już na wejściu kończyło się śmiertelnie.

W Łukiszkach mógł sobie powstać fancy bar (zresztą w foucaltowskim panoptykonie), sala do tańczenia hip-hopu w budynku cerkwi, czy pracownię 250 artystów, ale kiedy wejście do budynku i poczuć smugę niegdysiejszego obezwładniającego więziennego smrodu, czy zobaczycie choć jedną celę, to ten obraz, to odczucie zostanie z wami już chyba na zawsze.

Winona Ryder przerażona panującą nadal na Łukiszkach atmosferą odmówiła podobno kręcenia tam jednego z odcinków netflixowego hitu „Stranger Things” – więc celę z Wilna trzeba było odtworzyć w studio w Ameryce. Nie straszyla już tak bardzo.

Wracając do sauny, a raczej łaźni, która po litewsku nazywa się pirtis, skorzystałam



• W Szechenyi, budapesztańskim kompleksie term i basenów, spędza się całe dnie

z niej w końcu nie na upiornych Łukiszkach, lecz na barce zakotwiczonej na Wilii, z odległym widokiem na basztę Giedymina. W tajniki pirtis wprowadzał mnie Krzysztof Możejko, który w bio ma wpisany zawód, którego raczej nie odbierze mu sztuczna inteligencja: łaźniarz. To mistrz łaźni z ponad 10-letnim doświadczeniem, a do tego litewski wicemistrz wtkowania.

Lista jego mistrzów i nauczycieli, których nazwiska kończą się na tradycyjne litewskie „as” i „us” jest długa, co zdradza, jak ważna jest to dziedzina na Litwie. A nie kończące się w ten sposób nazwisko Możejki zdradza, że jest on polskim Litwinem. Łątwię się więc nam rozmawia o niuansach łaźni. A jest ich sporo.

Rytuał pirtis składa się z paru elementów, których nieodłączną częścią są przerw na schłodzenie. Czasem potrzebne jest gwałtowne, zanurzamy się wtedy w przepływającej przez całe miasto, jednak zaskakująco czystej i płytkiej rzece, która w grudniu jest oczywiście lodowata.

**Nie znam innej przestrzeni,
w której kobiety czują się tak
swobodnie pokładając się
na sobie, przytulając,
nie dyscyplinując ciał**

Czasem, żeby się schłodzić, nie trzeba od razu morsować, wystarczy poleżeć sobie pogryzając słoninę z ciemnym chlebem, poprawiając superchrupiącym kiszonym ogórkiem. I oczywiście pijąc wodę albo izotonik – jeśli nie chcemy być całkowicie „naturalni” ta opcja jest idealna przy saunowaniu i łaźni.

W przerwach możemy oczywiście milczeć lub gadać – z mojego doświadczenia niegadanie, kiedy ludzie są nago, za to w śmiesznych filcowych czapach jest dziwniejsze niż gadanie.

W litewskim pirtis utrzymuje się stosunkowo niską temperaturę, około 60 stopni C, polewając wodą rozgrzane kamienie pieca, ciało z kolei jest podgrzewane dzięki powstającej wtedy parze. I właśnie kiedy leżę sobie na pryczy w sosnowym pudełku z widokiem na rzekę, jest gorąco ale nie za gorąco, a para zasnuwa mi wzrok, właśnie kiedy zamierzam wyłączyć się, wyciszyć – właśnie wtedy Krzysztof postanawia mi zrobić aromatoterapeutyczny quiz.

Bowiem pierwsza część pirtis to pachy: okadzana jestem rozmaitym ziółkami, które w cieple i wilgoci zaczyna intensywnie pachnieć. Rozpoznaję jodłę syberyjską, miętę pieprzową i dziurawiec, zwany tu ziółkami świętojańskimi. Gorzej idzie mi kiedy przychodzi wskazać na wiązówkę błotną i czeremchę zwyczajną. Każde z tych ziół ma swoje kojące właściwości i było zebrane i wysuszone własno-

śnie przez łaźniarza. Niektóre mają tak silny aromat, że Krzysztof wioząc je do domu musi otworzyć wszystkie okna w aucie.

Pirtis to świetne ćwiczenie dla zmysłów. Taki słowiański mindfulness. Po pierwsze – w ciemności sauny niektóre z nich wystrzają się, np. węch. Skóra też reaguje inaczej, zwłaszcza, że wystawiana jest tu na niezłe wyzwania.

Jednym jest masaż wtkami ręcznie robionymi z gałęzi brzozy, dębu, klonu, lipy, jałowca, osiki, leszczyny i innych drzew. Możejko sam oczywiście zbiera habazie do wtkowania. I pozwala mi sobie wybrać między dębem zwyczajnym, czerwonym i wtkami brzozy – oczywiście mi ich nie pokazując, lecz dotykając mnie każdym z wiechci. I powiem wam, że badanie różnic zapachów czy konsystencji poszczególnych gatunków dębu jest ogromnym ćwiczeniem wyobraźni i czucia.

O ile dąb szeleści niesamowicie, to brzoza pachnie jak płatki róży, ją wybieram. Podczas wtkowania, które najpierw jest tylko naganianiem pary, potem głaskaniem i uwrażliwianiem ciała, a dopiero potem poprawiającą krążenie chłostą doświadcze każdego rodzaju liści i kory gałęzek.

W innym ćwiczeniu – i części rytuału litewskiej łaźni – główną rolę odgrywa sól. Zastanawialiście się kiedyś, jaki jest dźwięk soli? Ja już wiem: Możejko przespjuje bowiem kilogramy soli z jednego drewnianego czerpaka do drugiego tuż przy waszej twarzy. A dokładnie – drogach oddechowych, które sól oczyszcza.

W ciemności, gdzie przez okno pada tylko snop światła nagle pojawia się biała chmura – niczym z rozsypanej mąki; sól trzeszczy, pachnie, zaczyna lekko palić w nozdrzach i skórze. Na której z resztą łąduje, bo przecież jest idealna do peelingu. Trzeba ją potem dokładnie zmyć, bo czas już na ... ulubioną część mężczyzn. Masaż miodem.

Nie spodziewaliście się akurat tego zdania, prawda? Możejko twierdzi jednak, że łaźniujący u niego twardzi mężczyźni – a sam łaźniarz to kawal chłopca – rozpuszczają się jak maselko, kiedy na otwarte po parze pory i świeżą, zaróżowioną po soli skórę trafia złota, kleista, słodko pachnąca substancja. Nie da się ukryć, że zmysły wtedy szaleją. I że dobrze na otrzeźwienie robi zanurzenie w zimnej wodzie.

Po pirtis muszę coś zjeść, bo te przepytówki i biczowanie trwały ze trzy godziny. W restauracji nie mogę się powstrzymać, żeby ukradkiem nie polizac sobie wierzchu dłoni. Jest ciekawszy w smaku niż potrawa, którą polecił mi kelner, litewski jabłkowy ser, bo oprócz słodczy ma jeszcze tę wspaiałą nutę soli i zapach miodu.

Morsowanie z prezydentem

Na koniec wileńskiej balneologii funduję sobie jeszcze jedno doświadczenie: dołączam do Vilneles Pankai (tak tak, Punk not dead!) na ich niedzielne morsowanie. Moją przewodniczką jest Igne Degutyte – artystka, tancerka, specjalistka IT, instruktorka metody Wi-ma Hofa i córka działacza tamtejszej „Solidarności” czyli „Sąjūdis”.

– To mój ojciec zaczął kąpiele w zimnej wodzie i lodzie – opowiada mi Igne. – I nagle w naszym domu to ja byłam jedyną, która tak o siebie nie dba, a przez to „dziwną”, bo zakatarzoną – śmieje się.

Kiedy Igne została samodzielną mamą i życie zaczęło ją przytłaczać sięgnęła po ojcowskie metody na walkę z pelżającą depresją. Odżyła, a razem z nią regularnie do zimnej wody zaczęły wchodzić inne, przypadkowe osoby, które przeczytały o kąpielach w mediach społecznościowych. Głównie kobiety.

– Nagle okazało się, że wszystkie z nas są po rozwodach, rozstaniach albo są samodzielnymi matkami próbującymi ogarnąć rzeczywistość – śmieje się instruktorka. – Zanurzanie się w wodzie wspomagało nas produkując kosmiczne ilości dopaminy i podnosząc odporność, a do tego jeszcze miałyśmy w pakiecie grupę wsparcia – dodaje, podczas gdy docieramy w błotnistym grudniu na miejsce naszego zanurzenia.

Jest przepięknie: przełom rzeki w okolicach starych litewskich domów, 20 minut autem od centrum Wilna. Grupa „punków”, już nie tylko samodzielne matki, lecz mieszane towarzystwo powoli się zbiera. Ktoś pożyczka mi klapki, inna dopiero poznana osoba trzyma mnie za urękawiczoną rękę kiedy wchodzimy do kłującej jak tyśiąc lodowych igiełek wody, która po chwili – w odczuciu – robi się wrzątkiem.

Potem, już ubrani, robimy jeszcze razem rozgrzewające ćwiczenia, przytulamy się i powoli rozchodzimy. – Tu za rogiem mieszka nasz prezydent – mówi Igne. – Chcesz zobaczyć jego dom? Można podejść całkiem blisko, choć raz, jak chcieliśmy sfilmować nasze kąpiele dronem to się nie udało go nawet poderwać, ta przestroż musi więc być jakoś zabezpieczona – ostrzega.

Przed nami rozciąga się stary ogród owocowy: powykręcane jabłonie mają jednak profesjonalnie poprzycinane wilki – To publiczny sad, o który dba nasz prezydent Gitanas Naus? da – mówi Igne. – Wyobraź sobie jak kwitnie na wiosnę! Z kolei jesienią wszyscy mogą stąd rwać jabłka. A tu – mówi wskazując na prawo – Jest dom naszego prezydenta.

Za sztachetkami metalowego płotu stoi wkomponowany w krajobraz nowoczesny, oszklony, czarny kubik. Właściwie każdy pokój domu prezydenta jest widoczny z miejsca w którym jesteśmy. Nie ma tu żadnego „Belwederu”, żadnej ozdoby, ale też żadnej straży. Jest rzeźba z dużych otchaków i zadbany trawnik. I nagle Igne wykrzykuje: – Zobacz, jest w kuchni! Robi sobie kawę! ●

wyborcza

magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA,
REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL:
Roman Imielski;
ZASTĘPCY:
Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wieliniński;

MAGAZYN-KULTURA: Agata Żelazowska-Cieśla
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wiczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski, Andrzej Kulasek, Grażyna Żabińska
GRAFICY: Paweł Kapusta, Jacek Konarowski, Tomasz Lebiada, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski; FOTOEDYCJA: Marta Błażejowska
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
Druk: Wyborcza sp. z o.o.
PREZES ZARZĄDU: Wojciech Bartkowiak
CZŁONKOWIE ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan, Joanna Kwas

Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.



Co z Kościołem w Polsce?

TUROWICZ POWSZECHNY

Był katolikiem ortodoksyjnym i gorliwym. Ale nigdy nie zamknął się w katolickości czysto wyznaniowej.

Tomasz Polak*

Prawie wszystkie historyczne problemy polskiego Kościoła katolickiego są nadal aktualne. Niektóre bardziej niż wtedy, gdy się pojawiły. Oczywiście byli tacy, którzy próbowali coś z tym zrobić, czyli przerwać ów „chocholi taniec”. Bez wyrazistych skutków.

Jednym z nich był Jerzy Turowicz, redaktor „Tygodnika Powszechnego” w latach 1945-53 i 1956-99, wielki człowiek tego Kościoła. O jego wizji miejsca Kościoła w Polsce zamierzam tu opowiedzieć.

Najpierw odniesienie do tekstu, który pokazuje, jak uważnym i krytycznym obserwatorem Kościoła, w szczególności polskiego, był Jerzy Turowicz. Do milenijnego numeru „Tygodnika Powszechnego” w kwietniu roku 1966 napisał obszerny artykuł zatytułowany „1000” (10 kwietnia 1966). Oto obszerniejszy cytat: „Oceny wkładu katolików w życie narodu, w jego kulturę czy jego życie publiczne nie da się dokonać w kolorach czarno-białych. Bilans wkładu katolików w kulturę polską zestawiony z pozytywów będzie na pewno więcej niż imponujący. Ale nie będzie to bilans pełny.

Nie można zaprzeczyć, że w pewnych okresach naszych dziejów (na przykład w tak zwanych czasach saskich) rola katolicyzmu w kształtowaniu życia społecznego była wsteczna czy też hamująca. Wśród mężów stanu i polityków, którzy brali udział w życiu publicznym jako katolicy, którzy byli księżętami Kościoła, duchownymi czy też – jak to się dziś mówi – katolikami zaangażowanymi, byli ludzie wspaniali, wielkie postacie tkwiące na świecznikach naszej historii. Ale znajdziemy wśród nich także ludzi, którzy odegrali rolę ujemną, szkodliwą, których historia oceniła jednoznacznie.

Dlaczego? Czasem dlatego, że owi mężowie stanu czy politycy byli niewłaściwymi ludźmi na niewłaściwym miejscu, że byli ludźmi małymi i ciasnymi, którym nie dostawało charakteru czy mądrości, którzy powodowali się prywatą. Czasem dlatego, że źle rozumieeli prawdziwy interes narodowy czy też polską rację stanu, albo też, że pełniąc funkcje państwowe, kierowali się wyłącznie interesem Kościoła, też niejednokrotnie źle rozumianym”.

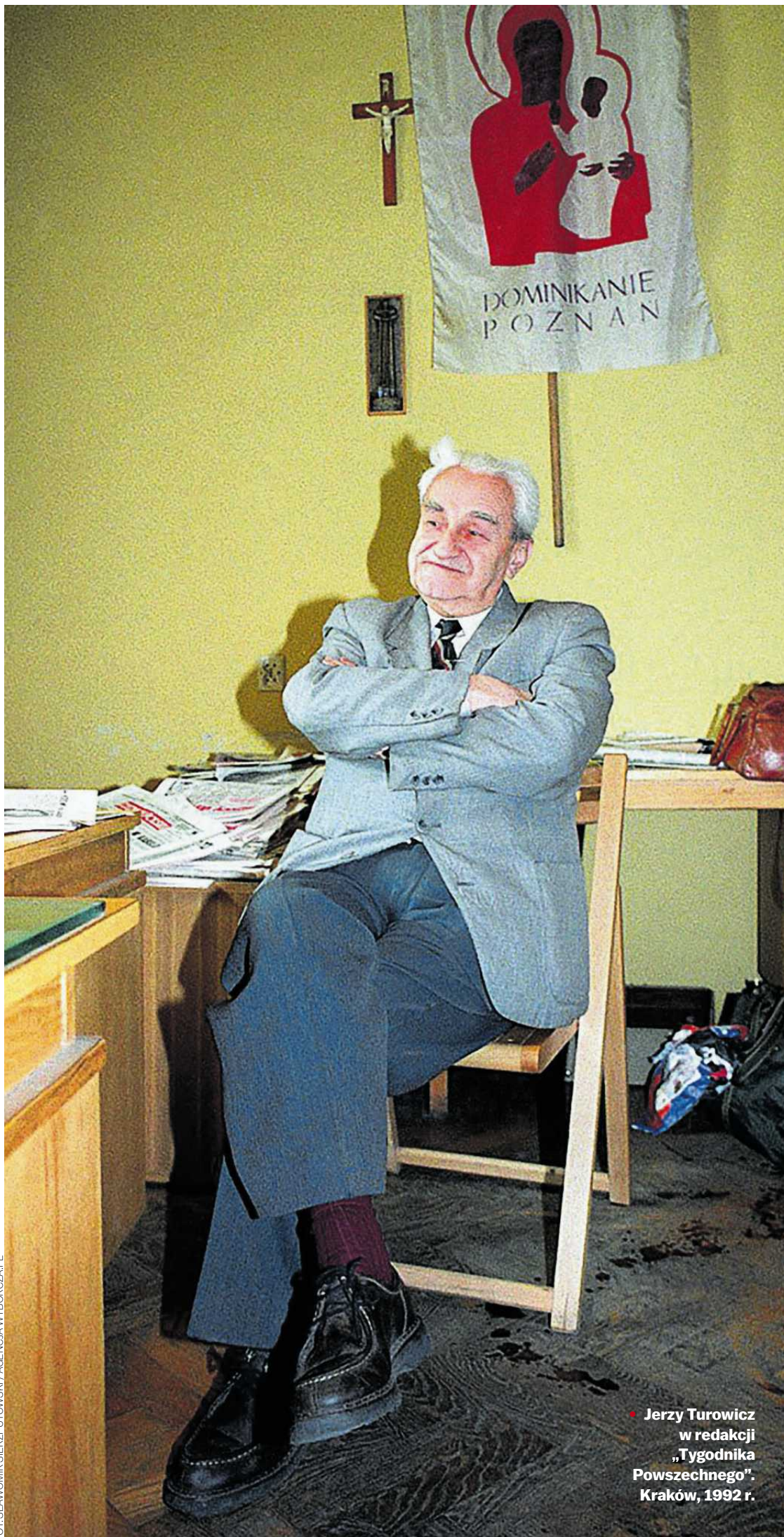
To silna DIAGNOZA. Czytana dzisiaj, po 58 latach, okazuje się w pełni aktualna – nie tylko w stosunku do tego, co było, ale najwyraźniej także w stosunku do tego, co w polskim Kościele nadal jest.

Jerzego Turowicza nie poniosła wielkość chwili, choć w tekście jest oczywiście wiele tonów wysokich. W swojej trzeźwo diagnostycznej warstwie to tekst wzorcowy dla kształtu jego wizji polskiego Kościoła.

Co przetrwało z wizji Turowicza?

Pierwsza odpowiedź brzmi: prawie nic. To, co dzisiaj widzimy w Kościele polskim, bardzo różni się z jego wizją. Mimo to pozostaje ona punktem odniesienia. Dlatego o tym piszę. Bez nadziei, że w dzisiejszych realiach Kościoła polskiego przypomnienie wizji Turowicza może być czymś więcej niż sygnałem czegoś, co się, niestety, nie spełniło.

Turowicz był entuzjastycznym obserwatorem i komentatorem Kościoła, w szczególności polskiego. Słowo „entuzjastyczny” odnosi się w tym wypadku przede wszystkim do entuzjazmu, z jakim to robił,



• Jerzy Turowicz
w redakcji
„Tygodnika
Powszechnego”.
Kraków, 1992 r.

FOT. SŁAWOMIR SIERPIUTOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

a oczywiście, jak już pokazałem, nie do całej obserwowanej i komentowanej przez niego rzeczywistości.

To podejście entuzjastyczne wydaje mi się jednak kluczowe dla zrozumienia jego wizji. Przez takie podejście rozumiem zaangażowane oczekiwanie dobra w miejscach, do których mamy silny stosunek emocjonalny. Tak było w relacji Turowicza do Kościoła. Entuzjastyczny stosunek do realiów Kościoła można jednak rozumieć na dwa sposoby.

Pierwszy, bardziej życzliwy niż krytyczny, oznacza takie związanie z Kościołem, że jest on po prostu życiowym środowiskiem osoby, o którą chodzi. Tak było w przypadku Turowicza, który nie był w stanie wyobrazić sobie siebie poza Kościołem.

To musiało mieć ten skutek, że nie był też w stanie dostrzegać „skutków Kościoła poza Kościołem”, a te były wielokrotnie fatalne. Najważniejszym z nich było szybko narastające w laickiej części polskiego społeczeństwa przekonanie, że gdyby Kościół i jego roszczenia udało się wyłączyć z polskiej przestrzeni publicznej, stałaby się ona bardziej demokratyczna, czystsza i bezpieczniejsza.

To przekonanie jest dzisiaj jeszcze silniejsze niż za życia Jerzego Turowicza, a można nawet powiedzieć, że rozwija się eksplozywnie, zwłaszcza w pokoleniu młodszym. Chociaż trzeba zarazem dodać, że dzisiaj znaczna część tego pokolenia już nie oczekuje systemowego politycznego rozwiązania tego problemu – widząc, że rozwiązuje się on sam (w znacznej części przez głosowanie ich nogami).

Drugi sposób rozumienia stosunku do realiów Kościoła, bardziej krytyczny niż życzliwy, zwraca uwagę na takie zamknięcie się w Kościele, lub wręcz zatracenie się w nim, które już nie pozwala spojrzeć nań od zewnątrz.

Czytam: „Nie można w pełni zrozumieć istoty Kościoła, patrząc na niego z zewnątrz, tak jak nie można pozostawać na zewnątrz Kościoła, rozumiawszy jego istotę. Światło Kościoła Chrystusowego jest tak olśniewające, że ten, kto je dojrzał, będzie już odtąd chodził w jego kręgu” („Ecclesia”, „Pisma wybrane” Jerzego Turowicza, Universitas, Kraków 2013, t. I).

Otóż to nie jest prawda. To złudzenie, z którego wyrasta siła społeczna i polityczna Kościoła, który więzi i odcina od realnego świata – także i zwłaszcza ludzi najbardziej mu oddanych.

Sam przez lata byłem – jak mi się wydawało – w naturalny i oczywisty sposób kimś z „wnętrza Kościoła”. Nie zapomniałem jednak, jak odczułem wyjście z tego tak dla mnie, zdawałoby się, naturalnego świata. Było to tak, jakbym z ciasnego kanału, w którym dotąd tkwiłem, wypłynął nagle na szerokie morze.

Proszę o wybaczenie tego wątku osobistego. Umieszczam go tu, bo to istotny komentarz do „kościelności Jerzego Turowicza”. Nie sądzę, by mogło mu się zdarzyć takie wypłynięcie. To oczywiście nie jego wina – to tylko bardzo trudny do uniknięcia los „człowieka Kościoła”.

Pytanie, czy jest i czym jest „realny świat” poza czymś realnym usytuowaniem, np. takim jak w przypadku Turowicza bycie wewnątrz Kościoła. Pewnie takiego nie ma. Ale entuzjastyczni obserwatorzy własnego świata nie zauważą z jego wnętrza, że to, co widzą, jest tylko złudzeniem.

Teraz o trzech sprawach ważnych w działaniach Jerzego Turowicza dla Kościoła w Polsce. Po pierwsze, o jego korespondencjach z Soboru Watykańskiego II [pierwsza połowa lat 60.], po drugie o tym, co swoimi tekstami wносił w latach 70. i 80., po trzecie o rzekomym „załamaniu się” relacji Karola Wojtyły–Jana Pawła II i Turowicza.

Obraz Soboru

To, co Turowicz przekazywał z soborowego Rzymu, pokazało jego czytelnikom narastające i – wbrew początkowym próbom soborowych komisji przygotowawczych „zapanowania” nad soborem – zaskakujące otwarcie jego uczestników na głębokie zmiany w trzech przede wszystkim obszarach:

- w ruchu ku zjednoczeniu chrześcijan;
- w otwarciu Kościoła na świat przenikającym wszystkie dokumenty soboru;
- w reformie liturgii i wprowadzeniu do niej języków narodowych, by ludziom nieznaającym łaciny umożliwić rozumienie treści i znaczenia liturgii, a ludziom kultur pozaeuropejskich, dla których cywilizacja grecko-rzymska jest obca, nie narzucać języka, który wprowadzie ma ogromne znaczenie w życiu Kościoła, nie należy jednak do jego istoty.

Każda z tych zmian musiała pociągać za sobą nową dynamikę struktur, rezygnację z dotychczasowej sztywnej hierarchizacji i swoiste przemieszczenie kościelnych warstw.

To wszystko Turowicz pokazywał w swoich korespondencjach z Rzymu i w obserwacjach posobo-

rowych na łamach „TP”, zachowując tę samą uważną trzeźwość i krytycyzm, na które zwróciłem uwagę w związku z jego artykułem milenijnym. Nie była to więc prosta apologia Kościoła soborowego, ale jego realistyczny obraz.

Trzeba sobie jednak w związku z tym zdawać sprawę także ze specyfiki posoborowego kontekstu w Polsce tworzonego mocną ręką przez konserwatywną i niechętną zmianom politykę Stefana Wyszyńskiego.

W moim niedawnym artykule o nim („Wyborcza”, „Wolna Sobota”, 21 grudnia 2024) zwróciłem uwagę, że „Kościół Stefana Wyszyńskiego stał się »więzieniem«, ponieważ „najpierw jego twórca stał się więźniem (dosłownie i w przenośni) i ponieważ nigdy naprawdę z więzienia nie wyszedł”.

Co więcej, ów stan uwięzienia uznał nie tylko za naturalny dla sytuacji Kościoła polskiego takiej, jaką ją wówczas odczytywał, ale także za pożądany – bo uniemożliwiający odpłynięcie tego Kościoła w kierunku, którego on sam ani nie rozumiał, ani tym bardziej nie akceptował. Inaczej mówiąc, ponieważ nie był w stanie inaczej rozumieć Kościoła, a to w jego wypadku znaczyło: nie był w stanie inaczej rozumieć świata, w którym się znalazł”.

Ta sprawa, czyli stosunek Wyszyńskiego do soborowych reform i do entuzjazmu dla nich środowiska „TP”, znalazła wyraz w korespondencji Turowicza z Wojtyłą jeszcze w latach soboru – w grudniu 1964 r. Redaktor pisał:

„Jeśli chodzi o to, co i jak wolno pisać katolikom na Zachodzie, a co i jak nam, słyszymy czasem, że u nas warunki są szczególne i trudne, toteż trzeba inaczej. Otóż – proszę wybaczyć, powiem ostro: to nie jest żaden argument, to w ogóle nic nie znaczy. Trzeba by pokazać konkretnie, jakie stanowiska i dła-

Czy wizja Turowicza poniosła w polskim Kościele klęskę? W żadnym razie. Może być nadal ważnym odniesieniem i dlatego o tym piszemy

go w Polsce są niestosowne i inopportunistyczne [niewłaściwe]. Ale tu może być niełatwo o consensus.

W pewnym stopniu bowiem sprawa sprowadzi się do problemu odnowy Kościoła, a mianowicie, że w Polsce, w konkretnych i trudnych warunkach, ta odnowa (także konkretnie się przedstawiająca) jest niemożliwa lub że na nią jeszcze nie pora.

Otóż tu zgody nie będzie, bo my sądźmy (a z myśli tych zrezygnować nie możemy, bo płyną one z naszego poczucia odpowiedzialności za Kościół, które to poczucie jest, jak wiadomo, u chrześcijanina inalienabile [niezbywalne]), że właśnie w trudnych warunkach, w jakich się Kościół w Polsce znajduje, owa odnowa jest tym pilniejsza i tym bardziej niezbędna...”

Nietrudno się domyślić, że chodziło właśnie o niechętny, czasem wręcz nieprzyjazny stosunek Stefana Wyszyńskiego do środowiska „Tygodnika”. Zakłębem używanym dla obrony podejścia prymasa do tego i innych środowisk, przypisanych później do tzw. Kościoła otwartego, było określenie „specyficzne warunki życia Kościoła w Polsce”, które jakoby miały wymagać konserwatywnej ostrożności. Na ten temat napisano wiele, rekonstruując fazy napięć, a także próby mediacji ze strony Karola Wojtyły.

Preludium był list kwestionujący katolicyzm „Tygodnika Powszechnego” napisany już w roku 1961 przez znanego krakowskiego inte-

lektualistę, żarliwego katolika, członka pierwszej ekipy „Tygodnika” dr. Józefa Mariana Świącickiego. Na ten list Wojtyła odpowiedział w styczniu roku 1962:

„Zdajemy sobie sprawę z tego, że »TP« jest piśmie »niebezpiecznym«, w znaczeniu »zagrożonym«, że nosi w sobie jakiś pierwiastek ryzyka. Ogólne jednak principium etyczne przyjmuje możliwość narażania się na niebezpieczeństwo moralne pod pewnymi warunkami. Otóż w imię tego principium chcemy brać odpowiedzialność za katolicyzm »TP« tak długo, jak długo nie ma dostatecznych podstaw do stwierdzenia, że niebezpieczeństwo zamieniło się w faktyczne zło, a niebezpieczeństwo błędu w faktyczny błąd”.

To podejście jest charakterystyczne także dla dalszych wystąpień Wojtyły w obronie środowiska „Tygodnika”. Wyraża się m.in. w podkreślaniu, że jest to środowisko katolików świeckich, którzy w duchu Soboru Watykańskiego II odzyskują i rozwijają swoją podmiotowość katolicką, a nie po prostu „kościelność”.

(Opracowanie na temat katolicyzmu „Tygodnika Powszechnego” przesłane prymasowi przez Karola Wojtyłę 7 marca 1962 r., by pomóc w „ustaleniu poglądów na temat katolicyzmu »Tygodnika Powszechnego« w gronie Dostojnego Episkopatu”).

Zapewne nie ułatwiał sprawy również wyczuwalny dystans krakowskiego środowiska do sztandaru pomysłu duszpasterskiego Stefana Wyszyńskiego, czyli Wielkiej Nowenny przed tysiącleciem chrztu Polski. To musiało w tym ostatnim powodować także negatywny oddźwięk emocjonalny.

Wreszcie negatywne emocje budziła elitarność „Tygodnika”: „elitaryzm czy nawet arystokratyzm odsuwający się raczej od tego, co zwyczajne i przeciętne, lub traktujący to z dystansu”, po to by docie-

rać do „inteligencji dechrystianizującej się i ulegającej zlaicyzowaniu, a także wręcz niekatolickiej, ateistów i indyferentów” (tamże).

Nie tu miejsce na relacjonowanie kolejnych odsłon „sporu o »Tygodnik«” podtrzymywanego przez kościelne środowiska tradycyjne i tradycjonalistyczne skupione wokół prymasa i przez znaczną część „Dostojnego Episkopatu”. Spróbuję raczej uchwycić sedno tego sporu.

Otóż sednem tym stało się pojęcie „katolicyzm” ograniczone przez Wyszyńskiego i jemu podobnych do wąskiej wyznaniowej ortodoksji. Tak jakby istniał określony zestaw poglądów i zachowań, które uznaje się za „katolickie”, podczas gdy poglądy i zachowania odmienne lub choćby tylko wykraczające poza ten zestaw katolickimi nie są.

Byłby to, mówiąc z grubsza, katechizmowy (w tradycyjnym znaczeniu tego słowa) obraz tzw. prawd wiary i rytualny zestaw zachowań osobistych i społecznych, przez które pokazuje się, że ktoś jest katolikiem (praktyki religijne, zwyczaje świąteczne, stosunek do „przedstawicieli Kościoła”, czyli duchownych itd.). To wystarczy. Znajdowało to skądinąd wyraz także w niechętnym stosunku Stefana Wyszyńskiego do mniejszości wyznaniowych i religijnych w Polsce (np. do ewangelickich Mazurów).

Tymczasem katolicyzm rozumiany zgodnie z pierwotnym znaczeniem tego słowa (od greckiego „kath’olou” – według całości) zupełnie nie mieści się w tak ograniczonym pojęciu wyznaniowym.

Jerzy Turowicz, jakkolwiek był ortodoksyjnym i gorliwym katolikiem, nigdy nie utknął w katolickości czysto wyznaniowej. Dzięki jego otwarciu katolickiej postawie nie utknął w niej także „Tygodnik Powszechny”. Dlatego środowisko „TP” było w stanie rozumieć „niekatolickie” komponenty polskiego życia publicznego, zwłaszcza kulturowego, zarówno w latach 70., jak i jeszcze bardziej po wprowadzeniu stanu wojennego, kiedy przysparzało wielu przedstawicieli polskiej kultury laickiej.

To jednak – jak już powiedziałem – ostatecznie się nie udało. W Polsce, niestety, wygrywa „katoli-



FOT. ŁUKASZ CYNALOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Tomasz Polak

• (do 2008 r. Węclawski) – ur. w 1952 r., teolog, filozof, pisarz. Były ksiądz katolicki, kapłaństwo porzucił w 2007 r. Wcześniej był m.in. rektorem seminarium duchownego w Poznaniu, dziekanem poznańskiego Papieskiego Wydziału Teologicznego, dziekanem Wydziału Teologicznego UAM, członkiem Międzynarodowej Komisji Teologicznej w Rzymie. Od 2006 r. kierownik Pracowni Pytań Granicznych UAM.

Tytuł tekstu (zapożyczony od Jana Turnaua) – „Wyborcza”.

cyzm wyznaniowy” Wyszyńskiego i jego ideowych następców lub wręcz „katolicyzm kulturowy”. Dopiero w obecnej nowej sytuacji politycznej rysują się nieśmiało próby wyjścia z tego zakłętego splotu czy też – jak powiedziałem na początku – „chochole-go tańca”.

Nie chcę być niesprawiedliwy wobec tych, którzy zachowali resztki wrażliwości „Kościoła otwartego”, ale w ogólnym rozrachunku Polska, tam gdzie jeszcze demonstduje katolicyzm, jest katolicka raczej „po Wyszyńskiemu” niż „po Turowiczowemu”...

Skutki

Konsekwencją konserwatywnej postawy Wyszyńskiego było oporne wprowadzanie zmian soborowych we wszystkich wspomnianych wyżej dziedzinach.

Ekumenizm pozostał i pozostaje do dzisiaj w Polsce działalnością prowadzoną przez stosunkowo niewielkie kręgi osób zainteresowanych. I dzieje się to nie bez oporów i regresów. Wystarczy wspomnieć niedawną odmowę duchownych prawosławnych uczestniczenia we wspólnej modlitwie, nabożeństwach i obradach z kobietami – duchowymi Kościoła luterkańskiego.

W tym kontekście trzeba dopowiedzieć, że nie powiodła się też próba Jerzego Turowicza zatrzymania odradzającego się polskiego kościelnego antysemityzmu, z którym walczył, m.in. promując w „Tygodniku” Jana Błońskiego („Biedni Polacy patrzą na getto”, „TP” nr 2/1987) i Stanisława Musiała („Czarne jest czarne”, „TP” nr 46/1997) oraz licząc na zmianę. To się zupełnie nie udało. Dziś w stosunku do „kwestii żydowskiej” Kościół ma twarz Waldemara Chrostowskiego i Pawła Lisickiego, a nie Turowicza.

Także zmiany w strukturach, w szczególności ich deklerykalizacja, idą opornie. Polscy biskupi w znacznej większości ignorują takie inicjatywy jak Kongres Katoliczek i Katolików albo w najlepszym razie traktują je z uprzejmym dystansem. Choć ostatnio pozytywnie odniósł się do kongresu Adrian Galbas, nowy arcybiskup warszawski. Co będzie, to będzie.

Reforma liturgii ciągnęła się latami – o wiele dłużej niż w innych krajach. Próbowano to uzasadniać „roztropnością”, a także obiektywnymi utrudnieniami w publikacji nowych ksiąg liturgicznych ze strony komunistycznych władz. Te uzasadnienia nie były całkiem bez racji, ale skutek owego zwlekania jest taki – zwłaszcza w połączeniu z utrzymującą się silną klerykalizacją liturgii – że polskie nabożeństwa są nadal bardziej „teatralne” niż żywe.

To pokazuje, jak oporne jest polskie życie kościelne na rozumienie tego, co się wokół naprawdę dzieje, a także na poważniejsze zmiany.

Może najbardziej dotyczy to wewnątrzkościelnej krytyki. Nawet tak ewidentne przekroczenia jak wykroczenia seksualne, materialne czy wysoki polityczne duchownych nadal są usilnie chronione, a ci, którym zdarzy się wyjść z „ramki”, muszą się liczyć z konsekwencjami.

Żeby nie odbiegać zbyt daleko od wizji Turowicza, posłużę się raz jeszcze cytatem z jego wypowiedzi „soborowych”: „Nie ma jakiegś absolutnej, bezwzględnej cywilizacji chrześcijańskiej, powszechnie ważnej, a są tylko twory historyczne, doczesne wcielenia chrześcijaństwa w formy cywilizacyjne”.

Odwolał się w związku z tym do wizji Teilharda de Chardina, według której „ludzkość, a więc i Kościół, znajdują się dopiero w początkach swego rozwoju, a zatem czekają je jeszcze liczne tysiąclecia i nieprzewidziane rozwoje i przekształcenia; wtedy trzeba przyjąć i to, że mamy przed sobą różne kształty i wcielenia chrześcijańskiej cywilizacji, może bardzo odmienne od dotychczasowych” („W godzinie Soboru”, „Pisma wybrane” Turowicza, t. I).

Co swoimi tekstami wносił w latach 70. i 80.

Nie będę tego nadmiernie rozbudowywał. To ogromne morze tekstów i spraw, najpierw z epoki gierkowskiej, kiedy „Tygodnik” był religijną, społeczną i kulturową latarnią. Następnie z czasów „Solidarności” i stanu wojennego, kiedy dodatkowo stał się azylem dla wielu twórców wypchniętych z obiegu oficjalnego.

To ostatnie dało pole do rozwinięcia dialogu z ludźmi niewierzącymi. W „Tygodniku” nie miał on charakteru oficjalno-okazjonalnego, jak o tym wspominałem wyżej w kontekście ekumenizmu, ale stał się swego rodzaju żywą tkanką żywego pisma.

Twórczość Turowicza zachowała w tych latach nadal ten sam charakter poważnej i krytycznej obserwacji. W stosunku do tego, co dzieje się w Kościele, pisze o wielkim fermencie, dezorientacji, polaryzacji stanowisk, sekularyzacji, laicyzmie, desakrali-

zacji życia, zaniku zmysłu religijnego, oddalaniu się wielu osób od Kościoła, rosnącej alienacji chrześcijaństwa w stosunku do świata, indyferentyzmie religijnym, dechrystianizacji, konflikcie między nauką i postępem technicznym a wiarą religijną, ateizmie i wielopostaciowym kryzysie. Inaczej mówiąc, soborowy optymizm został mocno podgryziony. Ale i tu powraca ton spokojnej nadziei:

„To wreszcie w imię chrześcijańskiego uniwersalizmu autentyczny chrześcijanin poczuwa się do ogólnoludzkiego braterstwa, odrzuca wszelką ksenofobię czy szowinizm, szanuje prawa mniejszości, szanuje ludzi inaczej myślących, wyznawców innych religii czy innych światopoglądów, w tym także ludzi niewierzących. Wszystkie te cnoty – że użyję anachronicznego na pozór pojęcia – nie są przecież obojętne dla życia całej społeczności ludzkiej” („Dobro i zło w Kościele”, „Pisma wybrane”, t. I).

Rzekome „załamanie się” relacji z Karolem Wojtyłą

Z okazji 50. rocznicy „Tygodnika Powszechnego” Jan Paweł II wysłał do Jerzego Turowicza list, który przez środowiska nieprzychylnie pismu i jego Redaktorowi został poważnie zmanipulowany. List był w przeważającej części afirmatywny, jednak zawierał również słowa krytyki. Jego najbardziej komentowany krytyczny fragment brzmiał następująco:

„Rok 1989 przyniósł w Polsce głębokie zmiany związane z upadkiem systemu komunistycznego. Odzyskanie wolności zbiegło się paradoksalnie ze wzmocnionym atakiem sił lewicy laickiej i ugrupowań liberalnych na Kościół, na Episkopat, a także na Papieża.

Wyczulem to zwłaszcza w kontekście moich ostatnich odwiedzin w Polsce w roku 1991. Chodziło o to, ażeby zatrzeć w pamięci społeczeństwa to, czym Kościół był w życiu Narodu na przestrzeni minionych lat. Mnożyły się oskarżenia czy pomówienia o klerykalizm, o rzekomą chęć rządzenia Polską ze strony Kościoła, czy też o hamowanie emancypacji politycznej polskiego społeczeństwa.

Pan daruje, jeżeli powiem, iż oddziaływanie tych wpływów odczuwało się jakoś także w »Tygodniku Powszechnym«. W tym trudnym momencie Kościół w »Tygodniku« nie znalazł, niestety, takiego wsparcia i obrony, jakiego miał poniekąd prawo oczekiwać; »nie czuł się dość miłowany« – jak kiedyś powiedziałem. Dzisiaj piszę o tym z bólem, gdyż los »Tygodnika Powszechnego« i jego przyszłość bardzo leżą mi na sercu”.

Nietrudno tu dostrzec zaostwienie wątpliwości, o których mówiłem wcześniej, odnosząc się do okresu soborowego i posoborowego. Skąd się to wzięło?

Jan Paweł II uchodził wprawdzie, nie całkiem bez racji, za człowieka otwartego na nowe horyzonty, za reprezentanta „Polski Jagiellońskiej”, a nie za klasyczną tradycję narodowo-katolickiej. Jednak nigdy poza tę ostatnią nie wyszedł – a kiedy po roku 1989 nastąpiły demokratyzacja i pluralizacja polskiego życia społecznego, w tym pluralizacja przestrzeni publicznej, kulturowej, etycznej i religijnej, odczuł to jako zagrożenie.

Natomiast kiedy patrzymy na miejsce Kościoła w Polsce według wizji Jerzego Turowicza, nie znajdujemy w niej nic z sosu narodowo-katolickiego. W języku „Tygodnika” w okresie posoborowym znikła słowo „naród” pisane zresztą małą literą, a w to miejsce pojawia się „społeczeństwo”. To musiało oznaczać nieusuwalny dysonans zarówno w stosunku do wizji papieża, jak i w stosunku do kościelnego mainstreamu w Polsce.

Czy Kościół Jerzego Turowicza był realny? Czy też realny polski Kościół NIE MÓGŁ chcieć „Kościoła Jerzego Turowicza”. Najwyraźniej to drugie. Czy wizja Turowicza poniosła w tym Kościele klęskę? W żadnym razie. Może być nadal istotnym odniesieniem i dlatego o tym piszemy.

Zakończę słowami Krzysztofa Kozłowskiego, jednego z najbliższych współpracowników Redaktora, który w posłowniu do pism wybranych Jerzego Turowicza (t. III) napisał tak:

„Wydaje mi się, że miewał momenty, kiedy zadawał sobie pytanie, czy całe jego życie, praca miały jakiś sens. Chodziło jednak o kwestie bardziej fundamentalne, np. czy świat stanie się choć odrobinę »bardziej ludzki«, o co nierzadko upominał się w swojej publicystyce”. ●

W artykule słowo „Kościół” – w znaczeniu instytucja – zgodnie z zasadami ortografii pisane jest dużą literą. Mimo że autor uważa, że także w tym znaczeniu – nie tylko jako świątynia – powinno być pisane od małego „k”. **Redakcja „Wolnej Soboty”**

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Jerzy Czech*

Margrabia Wielopolski

*Przez Plac Saski czerkieskie sotnie pędzą,
A przed zamkiem sto ognisk dziś płonie
Jak pan robi to, Wasza Ekscelencjo,
Że po każdej nienawidzą Cię stronie?*

*Pan, margrabio, nie myślisz na rozkaz,
Więc u cara toś już – podejrzany:
Nie uwierzą Petersburg ni Moskwa
Polakowi, co własne ma plany.*

*Pan margrabia wciąż kroczy po linie;
Niebezpiecznie tak wysoko chodzić.
Przecież klęska go w końcu nie minie,
Bo ma pecha, kto tutaj się rodzi.*

*Twej pogardy nikt ci nie wybaczy.
Myśmy ciemni, zapalni i łzawi,
A tyś dumny, tyś z nami nie raczył
W narodowym barszczu się pławić!*

*Po co w twarze logiką nam chlustasz?
Nie czytaliśmy Hegla, Jaśnie Panie!
Dla nas – Chopin, groch i kapusta,
A od czasu do czasu – powstanie.*

*Pan margrabia wciąż kroczy po linie,
Przepaść z lewej i przepaść po prawej.
Jeśli z ręki rodaka nie zginie,
To z urzędu odejdzie w niesławie.*

*Tyle pracy, panie hrabio, i na nic.
Nadaremna ta branka w rekruty.
Będzie to, co ma być – my zwyczajni:
Bój bez broni, katorga i knuty.*

*Pan narodu, margrabio, nie zmieni,
Tu rozsądku się rzadko używa.
A jedno, co naprawdę umiemy,
To najpiękniej na świecie przegrywać!*

*Pan margrabia wciąż kroczy po linie,
Choć niezgrabny i posturę ma dzika.
A gdy spadnie, to zyska jedynie
Miano zdrajcy zamiast pomnika.*

*Że spadłeś – to zwykły los polski,
Każdy w końcu z liny tej spadnie.
Tylko czemuś zapomniał, Wielopolski,
Że upadać też trzeba ładnie?*



*Jerzy Czech

– ur. w 1952 r., wybitny tłumacz literatury rosyjskojęzycznej, poeta, publicysta. Przetłądał m.in.: Okudżawę, Sołżenicyna, Nadieżdę Mandelsztam, Wasilija Grossmana, Akunina i Swietłanę Aleksijewicz. Laureat nagród Gdynia i Angelus. Wiersz z jego tomiku „Kamienie” (1991).

FOT. RAFAŁ MALKO / AGENCJA WYBORCZA.PL



• Władysław Gomułka przemawia na wojewódzkiej konferencji Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w Katowicach w 1967 roku
FOT. PAP/ZBIGNIEW MATUSZEWSKI

TO BYŁ CZŁOWIEK FASCYNUJĄCY

Nie był ani żadnym nacjonalistą, ani antysemitą.
Po prostu dbał o polski interes narodowy tak, jak go rozumiał.

Z ADAMEM MICHNIKIEM ROZMAWIA WALDEMAR KUMÓR

WALDEMARKUMÓR: 120 lat temu, 6 lutego 1905 r., urodził się Władysław Gomułka, komunista, I sekretarz PZPR. Poznałeś go?
ADAM MICHNIK: Nie.

Żalujesz?

– Żałuję, że nie powstała o nim pełna naukowa biografia. Bo to jedna z najciekawszych postaci w historii Polski, nie tylko PRL. Andrzej Werblan, jego współpracownik, napisał wprawdzie „Władysław Gomułka: sekretarz generalny PPR”, ale to ujmuje wydarzenia do roku 1948. Potem były publikowane m.in. rozmowy z nim czy reportaże.

Piotr Lipiński napisał książkę „Gomułka. Władzy nie oddamy” (Czarne).

– Ale to książka reporterska, bardzo ciekawa, ale reporterska, a nie naukowa – na podstawie archiwów i m.in. historii mówionej pełna biografia. Podobnie jak nie powstała taka pełna biografia Bolesława Bieruta, czy kardynała Stefana Wyszyńskiego.

Ubolewam, że nam te postaci jakoś umknęły i właściwie dziś nie ma chętnego, by się kompleksowo Gomułką zająć. Pytałem Werblana, dlaczego nie napisał pełnej biografii. Mówi, że nie mógł napisać, bo się z nim potem zaprzyjaźnił, dobrze poznał, byłby zapewne więc bezkrytyczny.

Przekonaj mnie, że jest bardzo ważny.

– Po pierwsze, mam pełną świadomość, że okrył się hańbą w 1968 roku i jest odpowiedzialny za strzelanie do robotników w 1970 roku. Wrócimy jeszcze do tego.

Mimo to – i właściwie dlatego – to był ciekawy człowiek. Nie mieści się w żadnej szufladzie; on wystaje z tych nawet dobrze wyrzeźbionych szuflad. Nie pasuje. On mnie interesował od zawsze.

I ty mówisz, że on cię „interesował”?! Nie byłeś wściekły na niego? Miałeś 16 lat, działałeś w Klubie Poszukiwaczy Sprzeczności, gdy w lipcu 1963 r. Gomułka wymienił cię – z nazwiska! – i ostrzegł przed tobą aktyw partyjny; że jesteś wrogiem ludu. A w 1968 roku wsadził do więzienia.

– No, byłem, byłem, ale powtarzam: on mnie interesował. Na początku jako człowiek, wobec którego miałem stosunek bardzo, bardzo krytyczny, bo rozbudził nadzieje w 1956 roku, jako symbol odejścia od stalinizmu, a on szybko od nich odszedł. Wtedy, gdy mnie wymieniał z nazwiska, byłem bardzo młodym, ideowym, zbuntowanym marksistą...

...a Jacek Kuroń, gdy ci mówił z nieukrywaną zazdrością i szacunkiem, że Gomułka wymienił cię po nazwisku, miałeś mu powiedzieć, żeby nie zwracał ci głowy, bo masz poprawkę z fizyki.

– ...on mnie interesował, bo był kompletnie inny niż towarzysze I sekretarze z bratnich krajów, taki Todor Żiwkow w Bułgarii czy Erich Honecker w NRD, inny niż Bolesław Bierut. Ci byli posłuszni wobec wszystkiego, czego chciał ZSRR.

Gomułka nie był takim książkowym kominternowskim bolszewikiem. Wprawdzie należał do Komunistycznej Partii Polski, ale tam żadnej kariery nie zrobił ani nie odgrywał znaczącej roli. Był oddelegowany do pracy w związku zawodowym.

Gdyby odgrywał, toby pewnie czystek stalinowskich nie przeżył w latach 30.

– Pewnie tak, ale niektórzy przeżyli. Gomułka, po pierwsze, był politykiem plebejskim, a nie inteligentem. Uwiódł go komunizm. Rozumiał robotników, ich realne problemy i myślenie, bo był z nimi blisko na co dzień. Wybrał komunizm, bo nie zgadzał się na to, co się działo w Polsce międzywojennej, a komunizm miał na to odpowiedzi. Nie tworzył idei, nie pisał ulotek, nie występował na wiecach, działał w związkach zawodowych.

Nie rozumiał, dlaczego w sierpniu 1938 roku Komintern na rozkaz Stalina rozwiązał KPP – partię, której on się poświęcił. Dla niego to był szok. Potem opowiadał, że był kompletnie bezradny, ale się nie buntował, zastanawiał się, co by zrobił Lenin.

Polscy komuniści byli kompletnie pogubieni, oczywiście poza tymi, którzy byli agentami sowieckimi. Nie bardzo wiedzieli, co robić. Tłumaczyli sobie decyzje Stalina na sto sposobów, każdy głupszy od drugiego.

Gdy wybuchła wojna, znalazł się we Lwowie. A gdy Niemcy napadły na Związek Radziecki, nie uciekł z Armią Czerwoną w głąb Rosji, ale wrócił do Generalnej Guberni.

Wtedy już – zdaje się – nie był taki bezradny. Napisał dokument programowy „O co walczymy”. – No tak, to już była kompletnie inna sytuacja. Jest 1943 rok, powstała Polska Partia Robotnicza. Gomułka włączył się w jej prace, znalazł się w podziemnym kierownictwie, były pierwsze problemy z Kominternem.

To znaczy?

– Znalazł się w PPR bez pełnej aprobaty i wiedzy Moskwy. Zginęli wówczas Marceli Nowotko i Bolesław Mołojec (zabili ich agenci NKWD najpewniej).

Miał wprawdzie świadomość, że po wojnie karty będzie rozdawał Związek Sowiecki, ale – mówiąc w skrócie – Polska jego zdaniem w ramach współpracy miała zachować podmiotowość, a nie być ślepo posłuszną Moskwie. Dlatego Bierut wysłał słynny telegram do Stalina, w którym ostrzegał przed Gomułką, że to niepewny towarzysz.

Gdy wojna się skończyła, Gomułka – zdaje się – był w kompletnym szoku, że Polska dostała tzw. ziemie zachodnie. Oczekiwał, że przypadnie jej może Górny Śląsk, może Gdańsk i trochę Prus Wschodnich. Ale Wrocław? Szczecin? Wykluczał. Stąd do końca jego kariery politycznej w 1970 roku bał się i troszczył o to, żeby Polska te ziemie miała na zawsze, by świat i Niemcy uznali granicę zachodnią. Obawiał się, że Niemcy będą chcieli je nam odebrać.

Stąd jego obsesja antyniemiecka? Zrozumiała nawet, bo pamięć o wojnie wciąż była świeża, ludzie się bali, że znów wybuchnie.

– Tak, pamięć o wojnie była silna. Niedługo po niej w PPR-owskiej prasie ukazał się artykuł Gomułki, w którym polemizował on ze stanowiskiem komunistycznej partii Niemiec wschodnich. Obiecywała, że tylko ona jest w stanie załatwić u Stalina, że Szczecin i Wrocław staną się niemieckie.

Gomułka napisał niezwykle ostrą polemikę. Niektórzy towarzysze w Polsce uznali, że to przykład „prawcowego odchylenia”, świadectwo nacjonalizmu Gomułki, potwierdzenie tego, przed czym ostrzegał Bierut. W „Nowych Drogach” zaatakował go Edward Ochab, prominentny wówczas działacz PPR. Stwierdził, że Gomułka, czyli towarzysze „Wiesław”, ma poglądy nacjonalistyczne, a nie internacjonalistyczne.

To też dowód na to, że Gomułka był inny, osobny. Już w czasie wojny próbował skupić wokół siebie nie tylko komunistów. Nie udało mu się, ale trochę takie socjalistyczne myślenie przejawiał. Oczywiście nie takie jak ludzie z PPS w typie Adama Ciołkosza czy Kazimierza Pużaka.

Gdybym miał go z kimś zestawić, to z Josifem Broz-Tita, który lepił Jugosławię z różnorodnych narodów; był mocno nieufny wobec Moskwy. Myśleli więc podobnie.

Stalin okazał się czujny i wymienił w końcu Gomułkę na Bieruta.

– W 1948 r. Gomułka podejmował jakieś swoje gry, zapewniał o lojalności, ale przegrał. Czytałem jego tzw. samokrytyki. Nie pomogły.

A dlaczego właściwie Bierut nie zorganizował mu pokazówki, nie oskarżył, że jest agentem Zachodu, i nie kazał zabić? Spotykało to przecież niepokornych towarzyszy w innych krajach.

– To pytanie stawiało wielu: jakim cudem przeżył? Do końca nie wiadomo dlaczego. Bo były za słabe dowody? Bo nie zdążyli? Najpierw w kolejce byli Jakub Berman i Hilary Minc. Potem kosmopolici, czyli Żydzi. A potem umarli Bierut i Stalin.

Gomułka dwa lata siedział uwięziony w domu w Miedzeszynie pod Warszawą. On na górze, a w piwnicy jego żona. Ani razu się nie widzieli. Filmowa scena.

– To mnie akurat nie zadziwia. W tym sensie, że to w sumie łagodniejsza kara niż posłanie żony Mołotowa do łagru. A Mołotow to najbliższy współpracownik Stalina! To był system, który łączył mentalność religijnej sekty i bandyckiego gangu – dwa w jednym.

Gomułka był z innej bajki – ani nie był fanatykiem, ani zwyczajnym bandytą. Miał w życiu czarne

karty, można nawet powiedzieć – bandyckie. Kazał strzelać do robotników. No i to, co się działo w Marcu '68. Mimo wszystko myślał o Polsce, że może zniszczyć ją anarchia, że szlacheckie liberum veto zniszczyło Polskę i dlatego na lata zniknęła z mapy świata. Takie – powtórzę – plebejskie myślenie jest ważne w jego życiorysie.

Wynikające z kompleksów wobec inteligentów? Jest takie opowiadanie Mariana Brandysa „Twardy człowiek” (wyszło w podziemiu w latach 80. bez zgody autora). Gomułka trafia do więzienia, w celi intelektualści Żydzi szydzą z niego, z jego słabego wykształcenia, traktują go z wyższością. On skończył tylko parę klas w szkole ludowej. Gomułka „wyniósł z tamtej celi dwa ciężkie urazy: przeciw Żydom i przeciw intelektualistom”. – Trochę taki był, Brandys tak go sobie wyobraził, ale to fikcja literacka.

Uważam, że on się przede wszystkim bał Związku Radzieckiego; bał się, że bunt młodzieży, robotników czy intelektualistów zawiedzionych, że nie ma swobód demokratycznych, że schodzi z drogi październikowej odwilży, doprowadzi do chaosu. A także do inwazji sowieckiej na Polskę i skończy się krwawo jak w Czechosłowacji w 1968 roku. Doskonale też pamiętał powstanie i koniec odwilży na Węgrzech w 1956 r. Śmiertelnie bał się Rosji.

Te jego samokrytyki, które złożył Sowietom, wyglądały miękko, mniej więcej tak: „Tak macie rację, ale u mnie nie ma prawcowego odchylenia. Ja nie doceniłem zagrożenia, jakie niesie dla naszego systemu Tito. Tak, przysnąłem, byłem bardzo ostrożny w sprawie kolektywizacji”.

Znów wychodzi z niego plebejskość, bo doskonale znał Polaków – wiedział, że nie da się u nas tak po prostu kolchozów zakładać. Nie ustąpił i nigdy – także, gdy już nie rządził – nie było u nas kolchozów, a na Węgrzech i Czechosłowacji były. Poza tym postępował ostrożnie z Kościołem – można go krytykować, nawet ostro, aresztować nawet obraz Matki Boskiej z okazji tysiąclecia chrztu Polski, ale żeby kardynała Wyszyńskiego do więzienia wsadzać? No nie, przecież to katolicki kraj, cudów nie ma, nie da się tego zwalczyć – uważał.

No i – myślał – trzeba ostrożnie z kwestią narodową. Bo Gomułka z punktu widzenia kominternowców był nacjonalistą. Ale z pewnością nie był żadnym nacjonalistą. On po prostu dbał o polski interes narodowy, tak jak go rozumiał. Wyklócał się o wywożone przez Rosjan całe zakłady przemysłowe; a kominternowcy – Bierut i Berman – uważali, że wszystko powinno należeć do Związku Radzieckiego. Jego opór był według nich dowodem na nacjonalizm Gomułki. Jego i Władysława Bieńkowskiego, też ważnego komunisty po wojnie. Bieńkowski nie był żadnym nacjonalistą, znałem go dobrze, świetny socjolog, do 1959 roku minister edukacji, potem wspierał i działał w opozycji demokratycznej.

Czyli Gomułka, tak jak Bieńkowski, nigdy nie był ortodoksyjnym bolszewikiem. Nie walczył z rolnikami, nie zwalczał religii w szkole. Uważał, że tego chce naród i to trzeba uszanować.

Ta plebejskość Gomułki to też jego antysemityzm?

– Nie był antysemitą. On zdawał sobie sprawę z tego, jakie skutki może przynieść wykorzystywanie antysemityzmu w Polsce. Przekonał się o tym dramatycznie w 1968 r. Był w głębokim sporze z kominternowcami, a tam sporo było działaczy pochodzenia żydowskiego. Oni w tyle głowy mieli, że Polska ma

być kolejną republiką radziecką, a Gomułka nie. Uważał, że Polska ma być państwem prosowieckim, ale niepodległym. Ponoć prosił też towarzyszy, by NKWD zrezygnowało z pokazowego tzw. procesu szesnastu, czyli przywódców Polskiego Państwa Podziemnego z czerwca 1945 r. W 1948 roku na kongresie zjednoczeniowym PPR z PPS. Na plenum mówił wtedy, że towarzysze muszą przyjąć, że PPS miał rację w sprawie narodowej niepodległości Polski.

I tego mu nie darowali, bo niepodległość PPS-u oznaczała dla nich antysowieckość. On tego tak nie czuł, bo przecież był plebejski, nie studiował pism Róży Luksemburg, nie znał się na tych wszystkich doktrynach. Uważał, że niepodległość po prostu trzeba pielęgnować i wspierać, w ramach systemu radzieckiego oczywiście.

On nie znał się kompletnie na dialektyce, a nasi kominternowcy w Moskwie przechodzili szkolenia m.in. o czterech prawach dialektyki. Gomułki to kompletnie nie obchodziło. On mówił, że nie zna się na „tym antysemityzmie”, nie trzeba o nim mówić, bo po co.

W końcu wyniosła go do władzy w 1956 r. tak zwana partia żydowska, czyli puławianie, w tym m.in. Roman Zambrowski, którzy chcieli skończyć ze stalinizmem i go rozliczyć.

Z drugiej strony Gomułka nigdy nie potępił pogromu kieleckiego, w przemówieniach nigdy nie padło słowo „Żydzi”. Uważał, że aparat partyjny należy „spolszczyć”, ale tu nie chodziło o antysemityzm, tylko o taki gomułkowski pragmatyzm, bo wiedział, jak można antysemityzm wykorzystywać.

Po śmierci Stalina świetnie lawirował w konfliktach ZSRR – Chiny. Rozumiał skomplikowaną sytuację, opowiedział się po stronie ZSRR, a nie Mao, choć Chiny go poparły, gdy zostawał I sekretarzem w 1956 r. Świetnie rozumiał też tzw. kryzys kubański i napięcie między USA a ZSRR. Wykazywał się lojalnością wobec Rosjan. I tu paradoks oraz moje zdziwienie: jak taki człowiek, który rozumiał złożoność i konsekwencje światowych konfliktów, nie był w stanie zrozumieć tego, co się dzieje w jego własnym kraju?

Rozumiał konflikt chińsko-radziecki czy kubański. Natomiast nie rozumiał zmian, które w latach 60. zachodziły w Polsce i Polakach, i tępił je. Po co mu były awantury z intelektualistami, pisarzami, młodymi? W efekcie powstał antyrządowy List 34, a Gomułka się wściekł, że ktoś mu się sprzeciwił. Nie był w stanie odpuścić. Chciał zarządzać wszystkim – tym, jaka ma być muzyka, co ma być pisane i jak wystawiany Mickiewicz. Był natomiast dość wyrozumiały wobec katolików. Pozwolił, by powstał i działał klub poselski Znak czy inne organizacje społeczne świeckich katolików. Zresztą wybitny człowiek, poseł Znaku Jerzy Zawieyski uważał – przed rokiem 1968 – że jest dwóch wybitnych Polaków: Wyszyński i Gomułka.

Ale listu biskupów polskich do niemieckich z listopada 1965 r. nie darował. „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie” – to mu się w głowie nie mieściło.

– To jeden z najwybitniejszych dokumentów w całej historii Polski. Gomułka go nie docenił zupełnie, zaatakował z grubej rury. Przysnął, że ja też nie doceniałem jego doniosłości, potem uświadomili mi to mądrzejsi ode mnie, m.in. Janek Lityński. Ten list spowodował początek mojego innego myślenia o roli Kościoła, ale to dopiero po latach.

Z początku wydawało się, że zwykli ludzie znów są po stronie Gomułki. Ale z czasem okazało się,

Jak człowiek, który rozumiał złożoność i konsekwencje światowych konfliktów, nie był w stanie zrozumieć tego, co się dzieje w jego własnym kraju? Rozumiał konflikt chińsko-radziecki czy kubański. Natomiast nie rozumiał zmian, które w latach 60. zachodziły w Polsce i Polakach, i tępił je

że pójście na zderzenie czołowe z Kościołem się nie opłaca i z prymasem się nie wygra. A Gomulka uważał, że to on powinien mieć rząd dusz, a nie Wyszyński.

W '68 prymas i Kościół stanęli za studentami, których Gomulka kazał pałować. Choć były jednocześnie głosy, że Kościół zbyt słabo wsparł protestujących.

Ale nie potępił jednoznacznie rozpetanego przez partię antysemityzmu.

– Z takich samych powodów, z jakich Gomulka – polityk plebejski, czujący lud – nie potępił pogromu kieleckiego, choć – powtórzmy – ani prymas, ani I sekretarz nie byli antysemitami.

Gomulka jednym rozkazem spowodował, że antysemitckie pisanie w gazetach natychmiast się skończyło.

– Pamiętam, siedziałem w więzieniu i nagle w gazetach nie czytałem już tego ohydztwa. Gomulka w pewnym momencie zobaczył, że sytuacja wymknęła mu się spod kontroli. On niedostatecznie rozumiał, że antysemityzm to jest coś, czym się nie wolno bawić. Że podpalić ognisko jest stosunkowo łatwo, ale zgasić je trudno.

Ktoś mu to zasugerował?

– On był samodzielny. Wprawdzie rozmawiał z Mieczysławem Moczałem czy najbliższym mu wtedy Zenonem Kliszką, ale decyzyje podejmował samodzielnie.

W Grudniu '70, gdy zdecydował o strzelaniu do robotników w Gdańsku – też?

– To, co wtedy zrobił, spowodowało, że szybko przestał być najważniejszy w kraju, nikt w partii nie stanął w jego obronie. W parę dni runął jego mit. I to w tym samym czasie, gdy odniósł największy w życiu sukces: wynegocjował i podpisał traktat z Niemcami zachodnimi gwarantujący nienaruszalność naszych zachodnich granic. Tu śmierć robotników i koniec jego kariery, a tu wreszcie gwarancje granic. Sytuacja paradoksalna i tragiczna.

Gomulka był w szoku – każdy bunt traktował jako zamach na niepodległość Polski, ci, którzy się buntowali, byli dla niego jak szlachta, która spowodowała, że Polska była pod zaborami. Cały czas myślał w tych kategoriach plus ten strach przed Moskwą.

Nie mogę sobie wyobrazić, że Gomulka mógł porwać tłumy i być bohaterem w 1956 r. Taki nudziarz i słaby mówca?

– Wtedy nie był nudziarzem. Był dla wielu bohaterem narodowym. Ludzie słuchali tego, co mówił, byli nim zachwyceni. „Uratuj nam Polskę!” – mówili gotowi oddawać swoje obrączki ślubne, byleby w Polsce było normalnie. Nie dopuścił, by powstały kołchozy, AK-owcy i PSL-owcy wyszli z więzień. To był nowy początek, którego symbolem stał się Gomulka.

Myślę podobnie jak Werblan, że Gomulka jest nieusuwalny z polskiej historii ze wszystkimi jego paradoksami, ze wszystkimi jego wewnętrznymi sprzecznościami, z jego jakąś wybitnością, ale i tragicznymi pomyłkami.

Wciąż pamiętam jego haniebne zachowanie w 1968 r. wobec Romana Zambrowskiego – oskar-

żył go o spisek i podważenie władzy PZPR. Zdradził go. Tego, któremu zawdzięczał władzę. A potem sponiewierał jego syna Antoniego w zemście za ojca, chociaż miał on niewiele wspólnego z komandosami, czyli ludźmi z mojego kręgu. Zналиśmy się, ale on niczego „wrogiego” nie organizował. Cała ta historia świadczy o mściwości Gomulki.

Plebejskość? Antyinteligenc-kość?

– Nie wiem, nie potrafię powiedzieć. Nie dlatego, żebym takich odczuć nie miewał, ale one mnie dołują. Staram się je odrzucać od siebie.

Miałeś większe pretensje do Gomulki czy Moczała, że siedzisz w więzieniu?

– Uważałem, że Moczar faszyzuje Polskę, a Gomulka mu na to pozwala i nie rozumie, że robienie ogólnopolskiej awantury wokół spektaklu „Dziadów” Mickiewicza, to dowód na kompletną głuchotę na kulturę polską. Że zaraz powie, jak ma się grać Chopina! Szaleństwo.

1968 to rok jego hańby, co nie zmienia faktu, że był to człowiek wybitny.

W więzieniu też byłeś taki wyrozumiały dla oprawcy?

– W więzieniu nie jest się aż tak wyrozumiałym, również wobec tych pisemników marcowych – Gontarz, Kur, Krzywobłocka z „Trybuny Ludu”.

Ci, którzy znali Gomulkę – m.in. Maria Turlejska, Bieńkowski – mówili mi, że on wtedy oszalał. Wówczas przestali go szanować. On ich wszystkich powyrzucał, zmarginalizował, zostawił moczarowców, którzy go – jak opowiadał gen. Wojciech Jaruzelski – „otorbili”, stale mu szeptali to, co powinien robić, umiejętnie trwali przy władzy. Zbudowali wokół niego mur, a jednocześnie Moczar nie chciał przejąć po nim władzy, chciał być drugi, ale z wpływami. I w końcu Gomulka przestraszył się skutków tego, co wyprawiał Moczar ze swoimi ludźmi – odwołał go więc ze stanowiska szefa MSW i zrobił bezzębnym szefem NIK.

Po drodze – jakoś po 1958 roku – zaczął odsuwać od siebie ludzi, którzy byli mu bliscy, pomagali mu i wspierali go.

– Zabrakło mu wyobraźni, krok po kroku degradował ludzi. Nie wiem, czy charakterologicznie, czy z innych powodów, nie chcę psychologizować.

Klasycznym hańbiącym przykładem jest sprawa Henryka Hollanda; świetną książkę napisał o tym Krzysztof Persak w 2006 r. Za wszystkim stał Gomulka, to on osobiście kazał go aresztować, a śledztwo prowadzić tak, by wykazać, że Holland, dziennikarz, był imperialistycznym szpiegiem, który zdradza tajemnice zachodnim gazetom. Gomulka, który sam siedział w więzieniu, preparował dowody na to, czego nie zrobił?! W głowie się nie mieści. W dodatku znał Hollanda, więcej – to Holland bodaj jako pierwszy publicznie, na zebraniu partyjnym w kwietniu 1956 r., stwierdził, że Gomulkę trzeba uwolnić, zrehabilitować i przyjąć do partii. Holland w tajemniczych okolicznościach popełnił samobójstwo.

Historia krzepi

Wrogowie konkordatu

Przeciw uchwalonemu sto lat temu konkordatowi najmocniej knuli biskupi.

Natęcz



Podpisany 10 lutego 1925 r. konkordat obrósł negatywnymi mitami. Krytycy nie pozostawili na nim suchej nitki. Najcięższe oskarżenia mówiły o ograniczeniu suwerenności Polski na rzecz Watykanu, o ustanowieniu państwa wyznaniowego zdominowanego przez duchowieństwo oraz o uczynieniu niekatolików obywatelami drugiej kategorii.

Z najcięższych dział strzelała lewica reprezentowana w Sejmie przez socjalistów i radykalnych ludowców. Chcieli oni rozdziału Kościoła od państwa na wzór ówczesnej Francji. Polska takim krajem jednak nie była.

A przesądził o tym nie konkordat, ale konstytucja z 17 marca 1921 r. Widać to zwłaszcza w świetle artykułów III-III6 regulujących relacje między Kościołami a państwem. Art. 71 wręcz zaś nakazywał władzom zawarcie układu z Watykanem, co dawało mu przewagę negocjacyjną.

Lewica konstytucji nie oprotestowała. Co więcej, miała duży udział w jej uchwaleniu i z każdym rokiem coraz mocniej jej broniła coraz silniejszą prawicą.

Lewicowa wojna z konkordatem była więc tylko propagandowym spektaklem dla antyklerykalnych wyborców.

O wiele groźniejsza od lewicowych gestów była rebelia wszczęta przez biskupów, którą sprzyjający Kościołowi autorzy przemilczają. „W czasie rokowań o konkordat – zanotował 17 lutego 1925 r. marszałek Sejmu Maciej Rataj – chcieli przyjechać do papieża z remonstracjami [zwrócenie uwagi na niesłuszną cześć, w tym wypadku ustanawianego prawa] arcybiskup Teodorowicz i biskup Sapieha”. O protestach hierarchów Rataj wspomina kilkakrotnie, odnotowując pacyfikowanie tego oporu przez nuncjusza Lorenzo Lauriego.

Ślady antykonkordatowej krucjaty biskupów odnaleźć też można w pamiętnikach polityków zaprzyjaźnionych ze Stanisławem Grabskim prowadzącym negocjacje w Watykanie. „Najdrażliwszym punktem umowy dla naszych biskupów – notował 7 grudnia 1924 r. Juliusz Zdanowski, szef klubu endekich senatorów – zdaje się być sprawa dóbr kościelnych, których część chce Grabski zarezerwować dla reformy rolnej”.

O majątki i pieniądze biskupi walczyli do upadłego. Robili to kosztem wiernych, czyli wielomilionowych rzesz chłopskich klepiących biedę i chcących podzielenia dóbr obszarńicznych i kościelnych.

Oburzony postawą hierarchów watykański negocjator praelat Francesco Duca powiedział Grabskiemu. „To nie duchowni, ale wierni są prawdziwymi podporami Kościoła”.

Biskupi walczyli też z uzależnieniem od władz państwowych. Chcieli dźierżyć rząd dusz jak w czasach zaborów, kiedy Kościół był najważniejszą redutą broniącą interesów narodowych. Z lichwiarskim procen-

tem domagali się za to zapłaty w postaci uprzywilejowanej pozycji w państwie.

Przegrali, bo ich żądania za zbyt rozpasane uznał nie tylko rząd Władysława Grabskiego, ale także papież Pius XI. Znal Polskę, był w niej nuncjuszem do 1921 r. Dbal o dobre relacje z polskimi władzami. W przeciwieństwie do biskupów cenil Józefa Piłsudskiego i neutralizował intrygi mające zaszkodzić mu w Rzymie.

To sprawiło, że Pius XI sam nadzorował negocjowanie konkordatu, sterując Francesco Duca. Kryły się też za tym głębsze zamiary. Konkordat z Warszawą miał zachęcić do pójścia jej śladami inne państwa powstałe w Europie po I wojnie światowej. Rekompensował też sobie papież gwałtowne pogorszenie stosunków z Francją, gdzie w czerwcu 1924 r. wybory wygrała lewica, zwolenniczka świeckiego państwa.

Dzięki tym czynnikom konkordat nie był dyktatem narzuconym Polsce. Owszem, gwarantował Kościołowi swobodne regulowanie jego spraw, w tym obsady stanowisk i jurysdykcji. Tyle tylko, że zapewniła to już konstytucja marcowa, i to w odniesieniu do wszystkich wyznań. W delikatnej sprawie obsady stanowisk Watykan zobowiązał się działać w porozumieniu z władzami państwowymi, i to w korzystniejszy dla Warszawy sposób niż w innych konkordatach.

Kwestie majątkowe uregulowane zostały zgodnie z życzeniem władz polskich. Biskupom, proboszczom, zakonom i instytucjom kościelnym potwierdzono prawo posiadania gospodarstw rolnych, ale o umiarkowanej wielkości ustalonej w ustawie o reformie rolnej. Rekompensatą za ziemię przeznaczoną do parcelacji były państwowe pensje.

Konkordat dostosował organizację terytorialną Kościoła do granic Rzeczypospolitej. Żadna część państwa nie zależała już od obcego biskupa. Papież stanął po stronie Polski, nie licząc się ze zdaniem Niemiec ani Litwy. Ku wściekłości Berlina to nuncjuszowi w Warszawie podlegało Wolne Miasto Gdańsk.

Mocne wsparcie Watykanu dla odrodzonego państwa wzmocniło jego pozycję na arenie międzynarodowej. Nowy podział na arcybiskupstwa łamał podziały zaborowe, co przyspieszyło unifikację kraju. Nic dziwnego, że w tej sytuacji konkordat został zatwierdzony przez Sejm i Senat ogromną większością głosów.

Wyważona ocena konkordatu nie oznacza rozgrzeszenia zawłaszczania państwa przez Kościół katolicki w następnych latach, aż po schyłek II Rzeczypospolitej. W równym stopniu winne temu były zachłanność hierarchów, jak i kolejne ekipy rządzące korumpujące duchowieństwo. Dość powiedzieć, że w 1926 r., po zamachu majowym, poszedł tą drogą pięciokrotny piłsudczykowski premier Kazimierz Bartel, wcześniej liberal i mason, krytyk konkordatu i zwolennik rozdziału Kościoła i państwa. Już jesienią 1926 r. wydał on rozporządzenie zobowiązujące uczniów do uczestniczenia w życiu religijnym pod kontrolą księży prefektów. Wykraczało to poza konkordat i zwiększało wpływ Kościoła na szkołę.

Służalność polityków była znacznie groźniejsza od postanowień konkordatu i nie cechowało to tylko II Rzeczypospolitej. ●

60 lat „Rękopisu znalezione w Saragossie”

SZKATUŁKI WOJCIECHA HASA

Siedem powodów,
dla których warto
obejrzeć arcydzieło
polskiego kina.

Wojciech Szot

– Czy słyszałeś o „Rękopisie znalezionym w Saragossie”? To pytanie – mając na myśli film Wojciecha Hasa – zadaje Wittmanowi, fanatycznemu miłośnikowi kina, Charles D. Shaw, matematyk i aktor. Choć obaj są postaciami fikcyjnymi wymyślonymi przez Maxine Hong Kingston, amerykańską pisarkę chińskiego pochodzenia, to powyższe pytanie warto w tych dniach zadać każdemu.

Zapytajcie znajomych, zapytajcie rodzinę, współpracowników na fajrancie. Zapytajcie – może w pierwszej kolejności – samych siebie. Czy słyszałeś o „Rękopisie znalezionym w Saragossie?” w reżyserii Hasa? Odpowiedź z pewnością będzie pozytywna.

Ale czy oglądałeś?

Niesprawiedliwy bywa los dla dzieł określanych mianem arcydzieła. Słowo to skazuje je – często wbrew intencjom tych, którzy użyli go jako pierwsi – na niebyt, niedoczytanie, nieobejrzenie. Nie możemy przecież narzekać na brak pchających się przed nasze oczy arcydzieł. „Nowy wspaniały świat” Huxleya to „kolejne arcydzieło literatury światowej”, a „Dekalog” Kieślowskiego jest arcydziełem kina. Mamy arcydzieła Strzemińskiego i Matejki w muzeach, a opery zapraszają na „muzyczne wyprawy w świat arcydzieł”.

Po co poświęcać zatem aż trzy godziny na filmowe arcydzieło polskiego reżysera? Bo chwalił je Scorsese i Coppola? Tak, to jest argument.

Jednak, gdyby ten argument nie zadziałał w waszych rozmowach ze znajomymi, mamy dla was siedem podpowiedzi. Po co oglądać i czego w będącym jak ruchomy labirynt filmie Hasa szukać?

POWÓD 1. BY ZOBACZYĆ, DLACZEGO ZACHWYCA, JEŚLI NIE ZACHWYCA

19 lutego mija 60. rocznica premiery „Rękopisu...”. Był 1965 rok, a premiera odbyła się w Sali Kongresowej Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie. I choć Wojciech Has, uznany już wówczas reżyser, zgromadził na planie filmowym wybitnych twórców, widzowie nie byli zachwyceni. Jak wspominał historyk kina Stanisław Janicki, wychodzili z seansów znudzeni długością i zmęczeni formułą filmu.

„Film wyprzedzał swoją epokę. Było mi żal, że nie został należycie odebrany i doce-



• **Alfons van Worden (Zbigniew Cybulski) i księżniczka Emina (Iga Cembrzyńska) w scenie „jaskiniowej”. Alfons i Emina, a także niewiódca na zdjęciu jej siostra Zibelda (Joanna Jędryka) są spokrewnieni, pochodzą ze wspaniałej rodziny Gomelezów z Grenady**

FOT. EAST NEWS/POLFILM

niony” – mówiła po latach Joanna Jędryka grająca jedną z głównych ról.

Dzisiaj, w czasach postępującej netfliksyzacji kina, zalewu seriali realizujących proste schematy i narzucających niezwykle tempo wydarzeń, „Rękopis...” wydawałby się jeszcze większym wyzwaniem. Paradoksalnie okazuje się, że jego szkatułkowa konstrukcja, „żart dramaturgiczny”, jak mówił Has w wywiadzie udzielonym magazynowi „Film” tuż przed premierą, dzisiaj ma hipnotyzującą siłę. Warto się o tym przekonać i potraktować „Rękopis...” jako wyzwanie rzucone samemu sobie. Jak nie zachwyci – trzy godziny to nie jest aż tak dużo. Jeśli zachwyci – trafiamy do klubu zarażonych filmem Hasa i wtedy dopiero zaczyna się przygoda!

POWÓD 2. BY W TRZY GODZINY POZNAĆ HISTORIĘ POLSKIEGO KINA

2 „Rękopis...” to historia polskiego kina. Wiem, nie brzmi to zbyt sexy. Ale może jednak warto trochę o tej historii wiedzieć, w końcu nie byłoby „Listów do M.”, gdyby nie bracia Lumière.

W filmie Hasa zagraли: Gustaw Holoubek, Iga Cembrzyńska, Elżbieta Czyżewska, Bogumił Kobiela, Zdzisław Maklakiewicz, Franciszek Pieczka, Jan Machulski, Barbara Krafftówna, Wiesław Gołas, Beata Tyszkiewicz, Adam Pawlikowski, Pola Rak-

sa, Witold Pyrkosz... A do tego Zbigniew Cybulski w głównej roli. Roli, dodajmy, odmiennej od tych, z którymi był kojarzony.

Cybulski – niezapomniany Maciek Chelmicki z „Popiołu i diamentu” czy Edmund z „Niewinnych czarodziejów” Wajdy – wcielił się u Hasa w postać Alfonsa van Wordena, podróżującego przez wzgórze Kastylii gwardzisty króla Hiszpanii. Nieprzywykły do kostiumu historycznego Cybulski zagrał „amanta komicznego”. Ponoć nie cierpiał tej roli.

Klasa aktorstwa, doskonale zagrane role drugoplanowe, a do tego niezwykła wręcz możliwość zobaczenia wielkich polskiego kina w jednym filmie – tego nie oferuje żadna inna produkcja.

POWÓD 3. BY WEJŚĆ W GŁOWĘ POTOCKIEGO

3 Wreszcie wielkie, polskie kino, które niekoniecznie jest komentarzem do aktualności, ekranizacją lektury, nie ma być lekarstwem na narodowe zranienia.

Dzisiaj wydaje się, że „Rękopis...” nie przyciągnął do kin, bo nie współgrał z emocjami widzów. Nie była to ekranizacja narodowej epopei, czy narodowego, posuwistego dramatu. Była to ekranizacja niezbyt popularnej książki, do tego napisanej po francusku i na początku XIX stulecia. Co prawda przez autora,

który – jako pierwszy Polak – wzbił się w przestworza, ale trudno byłoby tą informacją promować film. Przynajmniej w połowie lat 60. XX wieku.

Autorem książki pierwowzoru jest Jan Potocki, urodzony w 1761 roku syn krajczego wielkiego koronnego Józefa, członek magnackiej rodziny. Jan, a raczej jeszcze Jaś, z Rzeczypospolitej wyjechał razem z młodszym o rok bratem w wieku siedmiu lat. Uczyl się w Szwajcarii i Francji, a do kraju wrócił dopiero po dekadzie, praktycznie nie znając polskiego.

Życie Potockiego było pełne przygód. Podróżował do Turcji, Egiptu, Maroka, był na Kaukazie. Zasilił szeregi austriackiej armii, a jako kawaler zakonu maltańskiego walczył z piratami. Wszystko to opisywał. Potockiemu zawdzięczamy też badania nad historią Słowiańszczyzny. W 1790 roku stał się pierwszym Polakiem, który na dłużej wzniósł się w powietrze. Wszystko to dzięki Jeanowi Blanchardowi, pionierowi baloniarstwa, który kilkakrotnie odwiedzał Warszawę. W locie Potockiemu towarzyszyli turecki służący Ibrahim i biały pudelek.

O życiu Potockiego, a zwłaszcza locie w przestworza, brawurowo napisał Krzysztof Mrowcewicz w książce „Rękopis znaleziony na ścianie”. Jeśli znają państwo film czy książkę, to muszą państwo poznać dzieło Mrowcewicza.

Obejrzeć „Rękopis...” – by spróbować wejść w głowę Potockiego, jednego z największych oryginałów swojej epoki? To nie jest kiepska idea.



• **Natret i łotr Don Roqe Busqueros (Zdzisław Maklakiewicz), kawaler Toledo (Bogumił Kobiela), senior Avadero, przywódca taboru cygańskiego (Leon Niemczyk). Sceny uliczne kręcono m.in. we wrocławskim parku Morskie Oko, gdzie postawiono ogromne dekoracje** FOT. EAST NEWS/POLFILM

POWÓD 4. BY ZOBACZYĆ COŚ SZALONEGO

4 Akcja powieści i filmu dzieje się w czasie wojen napoleońskich. Młody kapitan gwardii przedziera się przez góry Sierra Morena w stronę Madrytu. To najkrótsza, a zarazem najtrudniejsza droga. Na naszego bohatera czekają pułapki i niespodzianki. Zanim jednak poznamy Alfonsa van Wordena, pewien oficer trafi do opuszczonej gospody, gdzie odkryje zakurzony manuskrypt. Wsiąknie w lekturę i nie zauważy żołnierzy wrogiej strony, którzy zamierzają go aresztować. „Jeszcze chwileczkę, panie kolego, tylko dokończ oglądać te wspaniałe ryciny” – mówi.

„I oto staje się rzecz dziwna. Jak za sprawą magicznej różdżki stary manuskrypt połączy przy jednym stole zwycięzcę i pokonanego. Podczas gdy za oknami gospody toczy się walka, a śmierć zbiera swoje żniwo, dwaj oficerowie dwu wrogich armii pochylają się zgodnie nad rycinami właśnie znalezionego manuskryptu” – pisała Iwona Kolasieńska.

Znalazca manuskryptu nie zna hiszpańskiego. Dopiero jego towarzyszkowi udaje się odczytać treść. „O! Tu jest o moim dziadku... hrabia...” – wykrzykuje.

I wtedy przenosimy się do nowej historii.

Szalona, choć bardzo konsekwentna konstrukcja „Rękopisu...” Hasa współcześnie może przypaść do gustu wszystkim, którzy pokochali równie szalone, nągrozdzone Oscarami „Wszystko wszędzie naraz” Daniela Kwana i Daniela Scheinerta. Jeśli szukacie nietuzinkowych filmów,

w których nie wszystko musi być zrozumiałe – „Rękopis...” to idealny film dla was.

POWÓD 5. BY POSŁUCHAĆ MUZYKI PENDERECKIEGO I POŚMIAĆ SIĘ Z NIEJ

5 Choć przyzwyczajeni jesteśmy do muzyki filmowej, która stanowi uzupełnienie, dopowiedzenie filmu lub udanie towarzyszy akcji filmu, to w napisanej przez Krzysztofa Pendereckiego muzyce do filmu Hasa spotkamy się z czymś niezwykłym. Otóż spotkamy się z dowcipem.

Gdy akcja filmu jest poważna, muzyka – wręcz przeciwnie, pobrzmiewa drwiną. „Oda do radości” towarzysząca kadrom z obleganej Saragossy? Trudno nie dostrzec w tym ironii. Bywa też odwrotnie – gdy reżyser sięga po komedię, warstwa muzyczna odpowiada jej powagą i uderza w niemal patetyczne tony. W efekcie nie wiemy, co tu jest żartem, co ironią, prawdą i zmyśleniem.

Warto wsłuchać się w muzykę Pendereckiego. Nietrudno usłyszeć w niej parodię muzyki epoki baroku i klasycyzmu. Znajdziecie tu fragmenty „Ody do radości”, utworów Mozarta czy Haydna. Na to wszystko nałożono przetworzone elektronicznie dźwięki – galop konia, grzmot błyskawicy czy spadające krople wody. „Wszystkie zabiegi kompozytorskie stają się ekwiwalentem buntu przeciw konwencjom i odbiorczym przyzwyczajeniom. Muzyka, podobnie jak oprawa scenograficzna, dialogi czy struktura narracyjna, ma występować przeciw szablonowości” – pisała Iwona Grodz.

„Rękopis...” był debiutem Krzysztofa Pendereckiego w roli autora muzyki do filmu fabularnego. Wcześniej współpracował z twórcami animacji. Kompozytor napisze jeszcze muzykę do dwóch innych filmów: „Szyfrów” Hasa i „Zejścia do piekła” w reżyserii Zbigniewa Kuźmińskiego. Oba miały w 1966 roku.

Film przeciw szablonowości. I do tego z Pendereckim. Dobra zachęta?

POWÓD 6. BY ZNALEŹĆ DZBAN

6 Dzban. Najcenniejszym rekwizytem na planie „Rękopisu...” był ponoć złoty renesansowy dzban. Jak donosił w okolicach premiery filmu „Przekrój”, podobnych dzbanów na świecie było zaledwie cztery. Użyte na planie filmu naczynie zostało ukryte we Wrocławiu.

Znaleziono je rok przed zdjęciami dzięki pomocy niemieckiej zakonnicy. Naczynie na planie miał pilnować specjalnie do tego oddelegowany milicjant.

Na liście rekwizytów znalazły się również dwie prawdziwe ludzkie czaszki (ciekawe, co zrobiono z nimi po zdjęciach), srebra z Kórnika i wrocławskiej katedry, meble z Muzeum Czartoryskich. Srebrną łyżkę, którą grany przez Leona Niemczyka Avadero karmi Lopeza Suareza (Krzysztof Litwin) wypożyczono z muzeum w Wilanowie. Ponoć jadł nią sam Jan III Sobieski.

Za kostiumy i scenografię odpowiadali Lidia i Jerzy Skarżyński oraz Tadeusz Myszorek. Podziwianie ich pracy jest niezwykłą przygodą. Oglądając, można też postawić sobie za cel znalezienie rzadkiego dzbana.

POWÓD 7. TOWARZYSZ NA CAŁE OBLĄKAŃCZE ŻYCIE

7 Wróćmy do pytania Shawa: „Czy słyszałeś o »Rękopisie znalezionym w Saragossie?«. Bohater powieści „Tripmaster Monkey” Maxine Hong Kingston tłumaczy swojemu rozmówcy siłę filmu Hasa tak: „Za każdym razem, kiedy go oglądałem, spadała mi kolejna łuska z oczu. Zmieniałem się. (...) Olsniła mnie jego logika. (...) Sprawdziłem, jak głęboko zanurzamy się w opowieść o opowieści, a w niej w jeszcze jedną opowieść i jeszcze jedną, i jeszcze. Nagle odkryłem sens tego wszystkiego. (...) Chciałem znów zobaczyć »Rękopis«, ale zszedł z ekranów. Szukam go wciąż od tamtej chwili. (...) Jeśli ktokolwiek trafi na ślad tego filmu, niech natychmiast do mnie zadzwoni, na mój koszt, o każdej porze dnia i nocy. Chciałbym, aby moja pamięć ponownie zmierzyła się z jego bogactwem i zwodniczością”.

Jeśli chcecie dołączyć do zakonu wyznawców lub dowiedzieć się, że nigdy do niego nie przystąpicie – obejrzyjcie „Rękopis...”. W najgorszym przypadku po godzinie-dwóch znajdziecie sobie inne rozrywki. W innym – zyskacie towarzysza na całe życie.

Gross, bohater „Szyfrów”, następnego po „Rękopisie...” filmu Hasa, mówi, że „wypadki następowały wedle porządku chorobliwych skojarzeń... inaczej mówiąc, rzeczywistość była obląkana”.

Nie ma lepszego towarzysza na obląkańcze czasy niż arcydzieło Hasa. ●

*tłum. Maria Kornatowska

PO ZŁEJ STRONIE GRANICY

Ojciec Karola był Polakiem, matka Ukrainką. Byli zgodnym małżeństwem. Ale w dzień wyjazdu matka nagle stała się milcząca i nieobecna. Gdy już pociąg ruszał, wyskoczyła z wagonu.

Andrzej Brzeziecki

Z tak wielkim zrozumieniem dla bohaterów wydarzeń sprzed lat, ale także z dużą dozą swobody, potrafi pisać tylko historyk, który naprawdę zgłębił interesujący go temat. Damian K. Markowski, pisząc o relacjach polsko-ukraińskich w XX wieku, potrafi właśnie tak pisać.

WYRWANI Z KORZENIAMI

Gdy śledziliśmy w mediach czystki etniczne w byłej Jugosławii, wypędzenia Ormian i Azerów na Kaukazie Południowym albo gdy teraz czytamy o polityce Rosji na zajętych ziemiach Ukrainy, wszystko to wydawało się i wydaje historią z innego świata. Tymczasem do podobnych wysiedleń doszło w Polsce i Ukrainie – wtedy republiki radzieckiej – tuż po II wojnie światowej.

Decyzją mocarstw, które pokonały III Rzeszę, ale przede wszystkim decyzją samego Stalina polsko-ukraińską granicę musiało przekroczyć w sumie półtora miliona ludzi. Każdy człowiek zmuszony do opuszczenia domu przeżywał osobną, własną tragedię. Wiele z tych tragedii poprzedzonych było jeszcze większymi – zbrodniami, mordami, rabunkami i gwałtami.

Nieraz wcześniej ofiary stawały się oprawcami, nieraz na odwrót. Najczęściej jednak cierpieli ludzie niewinni. Ich winą było jedynie to, że znaleźli się po złej stronie granicy.

Damian K. Markowski mający za sobą już szereg cenionych i nagradzanych książek tym razem zebrał relacje Polaków i Ukraińców, którzy opowiedzieli mu o swych przeżyciach związanych z powojennymi wysiedleniami. Znający doskonale historię polsko-ukraińską, sam związany z Podkarpaciem autor porusza się zarówno po historii, jak i po geografii miejsc, o których pisze, nie tylko o pewnością siebie, ale też z gracją.

GDZIE JEST MOJA OJCZYZNA?

Nie bawi się w sędziego. Nie ocenia ani Polaków, ani Ukraińców – choć nieraz doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że autorzy wspomnień często zapominają o niewygodnych faktach i idealizują życie przed wypędzeniem. Markowski słucha ich cierpliwie, dla wielu być może niechęć stał się pierwszym terapeutą, którego w życiu spotkali.

Jego poprzednie książki były nieraz znacznie obszerniejsze, bardziej erudycyjne, wymagały głębszej kwerendy, ale ta – będąca zapisem rozmów z wiekowymi już ludźmi – jest chyba najbardziej poruszająca. Odautorski komentarz wyjaśnia nam różne zawiłości,



• Wysiedlenia Ukraińców do Związku radzieckiego, marzec 1946 roku FOT. MUZEUM HISTORYCZNE W SANOKU

Bo poza represyjnymi działaniami komunistów po obu stronach kordonu zarówno Polaków, jak i Ukraińców prześladował terror walk etnicznych, które prowadziły podziemne formacje

ukazuje szerszy kontekst wspomnień ludzi, którzy dziś stoją nad grobem, a wtedy byli dziećmi.

Markowski trzeźwo pisze, że dla polskich i ukraińskich przesiedleńców porzucona pod przymusem mała ojczyzna już na zawsze pozostanie albo Polską, albo Ukrainą. Nie zmieniają tego żadne granice państwowe, bo te granice, które oni noszą w umysłach i sercach, są już niezmiennie. „Byłoby czymś pozbawionym sensu, skazanym z góry na porażkę próbować to zmienić. Bo i po?”.

DRAMATYCZNE WYBORY

Bohaterowie jego książki mieszkali przez lata obok siebie, nie wszyscy się znali – a najpewniej mijali się tylko podczas przesiedleń. Oba narody jechały wówczas w przeciwnych kierunkach, łączyły ich tylko tytułowe zwrotnice kolejowe. Przekraczali granicę ustaloną znacznie wcześniej przez George’a Curzona, brytyjskiego dyplomata, który nigdy nawet nie był w Europie Wschodniej.

Opuszczając swe domy, wsie i miasta, tracili część siebie. Polacy wyjeżdżali na Zachód, gdzie czekało ich, jak pisze Markowski, „morze ruin i nieszczęść innych, własny nieuśmierzony ból i trauma niewyleczona do końca życia. Nie wyjeżdżali z Polski do Polski. Wypędzano ich z ich Polski na ziemię dla nich zupełnie nieznaną i obcą. Cóż bowiem mógł mieć wspólnego chłop z podolskiej wioski pod Czortkowem z Kamieniem Pomorskim lub Legnicą?”.

Wysiedlenia jednak czasem szły w poprzek rodzin. Tak rozpadła się rodzina Karola, jednego z bohaterów książki. Jego ojciec był Polakiem, matka – Ukrainką. Według Karola rodzice byli zgodnym małżeństwem. W dzień wyjazdu matka nagle stała się milcząca i nieobecna. Już pociąg ruszał, gdy wyskoczyła z wagonu... Wybrała Huculszczyznę, bycie Ukrainką, może uznała, że musi zostać przy swoim samotnym ojcu? Nie wiemy i się nie dowiemy. Karol nigdy już matki nie zobaczył.

Z kolei Ukraińcy przesiedlani z Polski lądowali w totalnej nędzy.

Państwo radzieckie nie przejmowało się losem nowych obywateli. Jeszcze w 1948 roku w samym Lwowie na lokum oczekiwało ponad 600 rodzin przesiedlonych z Polski.

TY POLAKU JEDEN!

Oksana, która wraz z rodziną z wioski w zakolu Sanu została przesiedlona do Barszczowic, wspominała, że w oczach miejscowych Ukraińców nowi mieszkańcy stali się Polakami. Za Oksaną tak pogardliwie wolano w szkole. A przecież jej rodzina zdecydowała się opuścić rodzinną wieś ze strachu przed brutalnymi akcjami odwetowymi polskich oddziałów.

Tyle że gdy jej ojciec próbował interweniować w kwestii przydziału drewna na opał, które było rozkradane, usłyszał od jednego z miejscowych: „Ja komunist, mienia nie tykaj, bandersyn!”. Oskarżenie o sprzyjanie banderowcom mogło się naprawdę źle skończyć.

Gorzej więc być nie mogło – w oczach miejscowych byli albo Polakami, albo – gdy tak było wygodniej – banderowcami. W obu przypadkach byli po prostu obywatelami drugiej kategorii.

Bo poza represyjnymi działaniami komunistów po obu stronach kordonu zarówno Polaków, jak i Ukraińców prześladował terror walk etnicznych, które prowadziły podziemne formacje. I codziennością były więc rabunki, mordy, gwałty i podpalenia.

Inaczej ułożyły się losy Heleny, której ojciec zaparł się i postanowił pozostać we Lwowie. Helena odprowadzała kolejne przyjaciółki na dworzec, skąd ruszały do nowej Polski. Z czasem polska społeczność w tym mieście zamknęła się w swoim gronie i „próbowała biernie, po cichu negocjować to, co już się wydarzyło i odstać się żadną miarą nie mogło”. Polacy oddali się od nowych mieszkańców

miasta, a gdy Helena zakochała się w Rosjaninie i postanowiła za niego wyjść, rodacy przyjęli to z nieskrywaną niechęcią.

OSTATNIE OPOWIEŚCI

Żyją już nieliczni ostatni świadkowie tamtych konfliktów – niektórzy zresztą zmarli w czasie pisania przez Markowskiego książki. Nikt z nimi już nie porozmawia, zebrane relacje są ich ostatnimi opowieściami o życiu. Niestety w innych częściach świata podobne dramaty rozgrywają się i będą się rozgrywać.

Także w Ukrainie, gdzie do Lwowa zjechali uchodźcy ze wschodnich obwodów, przywożąc ze sobą swoje zwyczaje.

„Mniej było przestępstw i mniej pijaństwa, zanim się to sprowadziło” – mówi ukraińska rozmówczyni Markowskiego. Dziś lwowianka, kiedyś mieszkanka wsi pod Przemyślem.

Więc z pewnością politycy i wojskowi jeszcze nieraz będą przerzucać, deportować, wysiedlać, lokować tysiące ludzi. Dobrze, by wszystkie pokrzywdzone przez polityków społeczności – te mniejsze i większe – miały chociaż szczęście do takich kronikarzy jak Damian K. Markowski. ●



Zwrotnice. Rozstanie narodów, reportaż historyczny

Damian K. Markowski

Wydawnictwo Pałac Dożów, 2024

TO JEST Góra Taranaki!

Nazwa szczytu w Nowej Zelandii nadana przez angielskiego żeglarza znika z map. „Nasze dzieci będą znały tylko jego rodzimą nazwę”.

Bartosz Hlebowicz

Zgodnie z maoryskim światopoglądem góra, a także naturalne formy krajobrazu wokół niej są żywymi istotami i przodkami dziś żyjących ludzi. 30 stycznia parlament uwzględnił ten punkt widzenia w nowozelandzkim prawie. Zgromadzenie w Wellington uchwaliło ustawę, na mocy której leżąca na zachodnim wybrzeżu Wyspy Północnej, jednej z dwóch głównych tworzących Nową Zelandię, Taranaki Maunga, czyli góra Taranaki, zyskała osobowość prawną. Stała się osobą taką samą jak człowiek.

EGMONT? ZAPOMNIJCIE

Jednocześnie Taranaki Maunga stało się nazwą oficjalną i zastąpiła imię Egmont, które nadał szczytowi kapitan James Cook w 1770 roku na cześć admirała, który wspierał eksplorację oceanów i poszukiwanie kontynentu na południu. A zatem Nowa Zelandia podąża w odwrotnym kierunku niż Ameryka Donalda Trumpa, który postanowił zabrać Alasce rodzimą nazwę jej najwyższej góry Denali i na powrót zastąpić ją nazwiskiem prezydenta, który prowadził ekspansywne wojny i chronił amerykańską gospodarkę wysokimi clamami. I który na Alasce nigdy nie postawił stopy. Liana Poutu, jedna z maoryskich negocjatorek, uważa za „wyjątkowe” to, że jej dzieci „nigdy nie dowiedzą się, że Taranaki kiedykolwiek nazywało się Egmont”. – Dla nich nasza maunga (góra) nie będzie niczym innym niż Taranaki. – W latach 80. Egmont był naprawdę znany tylko poza społecznością maoryską – dodaje Wharehoka Wano, lider iwi (plemienia) Taranaki. – Ale obecnie coraz więcej nie-Maorysów także stosuje Taranaki, a nie Egmont, jako właściwą nazwę, a kolejne pokolenie jeszcze bardziej to oczyści (dosł. wypłucze). To, że nasi ludzie będą współzarządzać maunga, to jedna sprawa, ale jeszcze ważniejsze jest przywracanie naszych nazw. Maorysi, przybysze z północnej Polinezyi, zaludnili Aotearoa – Kraj Długiej Białej

Chmury, czyli Nową Zelandię – w XIV wieku. Kolonizacja europejska wysp dokonała się w XIX wieku.

DZIADEK MAORYSÓW

W tej samej ustawie Królestwo Nowej Zelandii [Nowa Zelandia należy do Wspólnoty Narodów, której głową jest Karol III] przeprosiło maoryskie iwi za odebranie mu w przeszłości góry, a także 1,2 mln akrów w okolicy. Góra Taranaki to pokryty śniegiem wulkan drzemiący od 200 tys. lat, drugi pod względem wysokości na Wyspie Północnej – mierzy 2518 m n.p.m. To popularny cel turystów, miłośników sportów zimowych i wspinaczki. A dla Maorysów – i nie tylko – święta góra. Uchwaleniu ustawy asystowało w parlamencie około 400 obywateli tubylczych wspólnot z okolic Taranaki, którzy zjechali się do Wellington specjalnie na tę okazję. Pochodzą oni z ośmiu iwi: Ngaa Rauru Kiihahi, Ngāruahine, Ngāti Maru, Ngāti Mutunga, Ngāti Ruanui, Ngāti Tama, Taranaki iwi i Te Ātiawa. Po ostatecznym głosowaniu odśpiewali z balkonu dla publiczności waiata – maoryską pieśń. Ustawa parlamentu stanowi także, że osobowość prawną uzyskuje nie tylko góra, ale też cała okolica: „żywa i niepodzielna całość obejmująca Taranaki Maunga i inne tūpuna maunga [góry przodków], w tym Pouākai i Kaitake, od ich szczytów po wszystkie okoliczne ziemie i obejmująca wszystkie ich fizyczne i metafizyczne elementy”. Nazwa całej tej „osobowości prawnej” składającej się z warstwy fizycznej i duchowej ma nazwę Te Kāhui Tupua. Według internetowego słownika angielsko-maoryskiego „kāhui” oznacza grupę, rój, a „tupua” ma kilka znaczeń: wielki, nadprzyrodzony, obcy, wzbudzający strach. Nowo utworzony podmiot prawny będzie i głosem góry, a reprezentować go będzie osiem osób: czterech członków lokalnych iwi i czterech członków mianowanych przez nowozelandzkiego ministra ochrony przyrody. Te Kāhui Tupua może teraz bronić się w sądzie i staje się właścicielem Te Papa-Kura-o-Taranaki, czyli Parku Narodowego,

który wcześniej także nosił imię Egmonta. Będzie też mógł rozszerzyć powierzchnię parku, który będzie zarządzany przez radę powierniczą nominowaną przez iwi i ministra ochrony środowiska. Osiem maoryskich plemion żyjących w okolicy uważa Taranaki Maunga za swego tipunę (tupunę), czyli przodka. Mówią o niej Koro, czyli dziadek. Media zacytowały komentarz Debbie Ngarewy-Packer, jednej z liderek Pāti Māori (Parti Maoryskiej): – Dzisiaj Taranaki zostało uwolnione z kajdan. Główny negocjator ze strony maoryskiej Jamie Tuuta powiedział z kolei, że nadanie górze osobowości prawnej oficjalnie uznaje to, co mieszkańcy Taranaki wiedzieli od zawsze. – Zgodnie z naszym światopoglądem nasi maunga są przodkami, nie są zasobami, ale żywymi istotami, więc pojęcie osobowości prawnej dobrze pasuje do naszego światopoglądu.

SPÓR O TRAKTAT Z WAITANGI

Tuuta użył też kluczowego słowa „partnerstwo” na określenie stosunków między Koroną a maoryskimi plemionami: – Cieszę się, że rząd miał odwagę nadal wspierać partnerstwo. Wyjaśnił, że to, co wydarzyło się 30 stycznia w parlamencie, „potwierdza to, co zostało przewidziane w Te Tiriti, czyli traktacie z Waitangi – że iwi i Korona współpracują jako partnerzy. [Ustawa] podaje przepis na model współzarządzania, w którym iwi i Korona starają się współpracować przede wszystkim na rzecz zdrowia i dobrostanu maunga”. Ustawę poparli jednogłośnie wszyscy 123 członkowie parlamentu, ale inni negocjatorzy przypomnieli, że osiągnięcie porozumienia wcale nie było łatwe. – Nasz zespół negocjacyjny szczęśliwie zakończył dzieło, które przez lata podejmował zarząd Taranaki Māori, składając petycje do parlamentu – oświadczyła Liana Poutu. – Ale wcześniej do parlamentu wysłano ponad 200 petycji dokładnie w tej samej sprawie. To była długa podróż i tych, którzy byli przed nami, którzy wykonali ciężką pracę, nie ma wśród nas, żeby zobaczyć jej rezultat. Ale są tutaj ich wnuki, ich mokopuna.

• **Taranaki Maunga, czyli Góra Taranaki. 30 stycznia nadano jej osobowość prawną i odzyskała prawdziwą nazwę**
FOT. HOT PIXELS PHOTOGRAPHY / SHUTTERSTOCK

Ustawa jest efektem wieloletnich negocjacji między Maorysami a Pakeha – białymi, potomkami imigrantów z Wielkiej Brytanii i północnej Europy. Uchwalono ją dopiero teraz, choć o tym, że Taranaki ma otrzymać osobowość prawną, postanowiono już w 2017 roku. Taranaki jest trzecim nowozelandzkim krajobrazem, który uzyskał osobowość prawną. W 2017 osobą stała się rzeka Whangami. A jako pierwszy status ten otrzymał górzysty teren Urewera zarządzany wspólnie przez plemię Tuhoe i rząd. Wszystkie trzy krajobrazy-osoby znajdują się na Wyspie Północnej. Partnerstwo, o którym wspomniał maoryski negocjator, odwołuje się do traktatu w Waitangi z 1840 roku, jednego z najważniejszych dokumentów określających zasady funkcjonowania Nowej Zelandii także dzisiaj. Traktat zawarły brytyjska Korona i maoryscy wodzowie. Istniały jego dwie wersje językowe: angielska i maoryska, i każda brzmiała nieco inaczej. Dla Maorysów traktat oznaczał przede wszystkim prawo do samodzielności w ramach nowo powstającego państwa, dla Pakeha, czyli białych Europejczyków, kontrolę nad całym terytorium. Różnice zdań doprowadziły do wojen i odebrania Maorysom większości ziem, w tym całej okolicy Taranaki. Za to przeprasza ustawa z 30 stycznia. Góra stała się terenem rekreacyjnym dla klubów sportowych i wspinaczkowych, a jej pierwotni strażnicy Maorysi przez ponad 100 lat nie mieli nic do powiedzenia. Zaczęło się to zmieniać w latach 70. XX wieku wraz z narodzinami ruchów przebudzenia etnicznego na całym świecie. W czwartkowym przemówieniu w parlamencie Paul Goldsmith, poseł Partii Narodowej (główna partia rządząca) i minister odpowiedzialny za ugody między rządem a plemionami Maorysów, powiedział, że górę Taranaki Maorysi „od dawna czcili jako przodka, źródło fizycznej, kulturowej i duchowej mocy oraz była ona miejscem ostatecznego spoczynku”.



Mimo wszystko współpraca dzisiaj wcale nie jest oczywista, a obchody Waitangi Day, dnia, w którym podpisano traktat – 6 lutego – zapowiadają się burzliwie.

Wielu Maorysów nie podobają się wprowadzone w październiku zeszłego roku oraz 17 stycznia tego roku zmiany w składzie Trybunału Waitangi, instytucji powołanej do życia 50 lat temu, której celem jest rozpatrywanie roszczeń Maorysów o nieprzestrzeganie warunków traktatu z 1840 roku. Rząd nie przedłużył kadencji kilku maoryskich ekspertów, a w ich miejsce desygnował kilku byłych białych ministrów.

„Tegoroczny Dzień Waitangi musi być czasem refleksji nad znaczeniem Te Tiriti (traktatu Waitangi), uhonorowania jego spuścizny i zobowiązania się do spełnienia jego obietnicy – pisze na łamach „New Zealand Herald” Rawiri Waititi, jeden z przywódców Partii Maoryskiej. – Dopiero kiedy pojmniemy, że Te Tiriti jest dokumentem jedności, a nie podziału, zbliżymy się do realizacji jego prawdziwego potencjału”.

Waititi przekonuje, że traktat w Waitangi był „bastionem przeciwko korporacyjnej eksploatacji”, „chronił nasze zasoby naturalne i tożsamość kulturową” i że „bez Te Tiriti byłibyśmy biedniejszym narodem”.

Lider Partii Maoryskiej obawia się, że osłabienie znaczenia traktatu może doprowadzić do prywatyzacji takich sektorów jak zdrowie, mieszkalnictwo i edukacja, „służąc międzynarodowym interesom, a nie interesom naszego narodu”.

Traktat do dziś wzbudza kontrowersje. Świadczy o tym pomysł referendum sprzed dwóch lat zgłoszony przez prawicową ACT Party wchodzącą w skład rządzącej koalicji. ACT chciała, aby punkt o partnerstwie Korony i Maorysów zastąpić zapisami o „niedyskryminowaniu opartym na etniczności”. Pomysł ACT nie zdobył poparcia innych partii.

ACT jednak wciąż próbuje doprowadzić do uchwalenia ustawy, która miałaby zawęzić interpretację traktatu na niekorzyść Maorysów – rzekomo w imię równości wszystkich obywateli.

Rewiri Waititi jednak nawołuje w „New Zealand Herald”: „Podczas obchodów Dnia Waitangi pamiętajmy, że Te Tiriti nie jest tylko historycznym artefaktem stworzonym przez Maorysów, ale należy do wszystkich Nowozelandczyków. Jest przysięgą, którą składamy sobie nawzajem, aby chronić wspólną przyszłość”.

Według najnowszego spisu Nowa Zelandia ma ponad 5,3 mln mieszkańców. Pakeha stanowią 68 proc., Maorysi niecałe 18 proc. (pozostałe dwie grupy to Azjaci oraz Pasifika – potomkowie mieszkańców innych wysp Pacyfiku).

KTO BRONI NATURY?

W 2017 roku na Taranaki wspięła się modelka „Playboya” Jaylene Cook (zbieżność nazwisk ze słynnym żeglarzem zapewne przypadkowa, ale znacząca). Na Instagramie napisała, że ponad półtorakilometrowa pionowa wspinaczka zajęła jej 12 godzin, wiatr na szczycie wiał z prędkością 35 km/h, a temperatura wynosiła 11 stopni Celsjusza. Towarzyszył jej narzeczony, fotograf Josh Shaw, który uwiecznił zdobycie szczytu artystycznym zdjęciem nagiej dziewczyny spoglądającej na zapierający dech w piersiach płaskowyż Central Plateau. Jaylene Cook w podpisie zdjęcia nie użyła nazwy Egmont, lecz Taranaki

Część opinii publicznej oskarżyła Cook o profanowanie świętej góry, głos zabrał maoryski badacz Dennis Ngawhare, twierdząc, że jego znajomi i krewni postrzegają akt modelki za obraźliwy dla góry.

Siedem lat później w naukowym piśmie „Religions” dwójka autorów: Michael J. Toy i Michaela M. Richards, analizując dyskusję, jaką wywołała fotografia modelki, próbując, jak się wydaje, bronić maoryskiego światopoglądu zagrożonego przez ześwieczoną, liberalną kulturę białego człowieka. Autorzy przypominają, że Maorysi postrzegają szczyt Taranaki jako głowę Koro, czyli dziadka, a więc najważniejszą część ciała osoby, zaś postawienie na niej stopy jest zakazane. Ale w takim razie tabu chyba dotyczy wszystkich, nie tylko tych, co po wejściu na górę zrzucili ubranie?

Opozycja wydaje się fałszywa także dlatego, że sami autorzy cytują opinie internautów podających się za Maorysów, którzy deklarują, że czyn Cook wcale nie jest obraźliwy.

Modelka skomentowała zaś zgodnie z prawdą, że zdjęcie nie jest „dosłowne” (w istocie fotograf uchwycił ją odwróconą bokiem do aparatu, poza tym dziewczyna ma na sobie buty, czapkę i rękawiczki), a „nagość jest naturalną i potężną przyjemnością, która nie może obrażać”. ●

Okruchy historii

Ostatnie strzały wojny

Co uznać za symboliczny koniec II wojny światowej? Mam takie wydarzenie

Motyka



Każdy w Polsce wie, że II wojna światowa rozpoczęła się 1 września 1939 roku obroną Westerplatte. W 80. rocznicę jej zakończenia warto zastanowić się nad tym, jakie wydarzenie można uznać za symboliczny jej koniec. Moim zdaniem była to egzekucja na żołnierzach Polski Podziemnej w Lasach Augustowskich w lipcu 1945.

Na Pacyfiku wojna trwała wówczas w najlepsze, natomiast w Europie przymierzano się do konferencji w Poczdamie. Miała zadecydować o kształcie powojennego porządku lub o nowej wojnie, do której alianci i Sowietci czynili dyskretnie przygotowania. Nie przypadkiem Stalin, kiedy gratulowano mu zdobycia Berlina, odburknął, że car Aleksander I dotarł do Paryża.

W celu zabezpieczenia tyłów wojsk sowieckich na wypadek ewentualnego nowego konfliktu zbrojnego Stalin zdecydował, by w przededniu konferencji w pasie od Bałtyku do Karpat przeprowadzić operacje przeciwpartyzanckie. Miały one, jeśli nie rozbić, to przynajmniej osłabić lokalne narodowe ruchy partyzanckie.

Najbardziej dramatyczny przebieg miała oblawa augustowska zorganizowana przez 3. Front Białoruski (była to ostatnia operacja tego związku taktycznego, zaraz po jej zakończeniu został rozwiązany). Od 12 do 18 lipca 1945 roku 50. Armia gen. Fiodora Ozierowa w sile 45-50 tys. żołnierzy prowadziła systematyczne przeczesywanie terenu Puszczy Augustowskiej.

Zatrzymywano osoby figurujące na listach proskrypcyjnych przygotowanych przez urzędy bezpieczeństwa oraz wszystkich mężczyzn zdolnych do noszenia broni.

W rejonie jeziora Brożane Sowietci napotkali poakowski oddział partyzancki i po krótkiej walce doszczętnie go rozbili. W sumie zatrzymali w ciągu kilku dni ponad siedem tysięcy osób, które sowiecki kontrwywiad wojskowy Smiersz poddał filtracji. Większość pojmanych zwolniono, lecz około sześciuset uznanych za członków podziemia postanowiono zgładzić bez sądu, na podstawie decyzji administracyjnej.

Egzekucją zajął się specjalny batalion Smiersz pod nadzorem

dwóch generałów NKWD: Iwana Gorgonowa i Pawła Zielenina. Ciała zostały pochowane w nieznanym miejscu i pomimo rozlicznych starań nie zostały odnalezione do dziś.

Do niedawna myślałem, że nawet na Pacyfiku w tych ostatnich dniach wojny nie popełniano już zbrodni na tak dużą skalę. Wygląda jednak na to, że w azjatyckim teatrze działań zbrojnych ostatnia duża egzekucja miała miejsce na Wyspach Andamańskich. 13 sierpnia 1945 roku Japończycy przywieźli na wyspę Tarmugli 750 osób i 19-osobowy pluton egzekucyjny dokonał zbrodni. Gdy 14 sierpnia cesarz Japonii ogłosił kapitulację, dowódca pododdziału otrzymał kolejny rozkaz: miał wrócić na Tarmugli, wykopać ciała ofiar i je spalić. Kazano mu też rozpuścić plotkę, że aresztowanych puszczono wolno.

Komendant japońskiej grupy egzekucyjnej stanął po wojnie przed sądem i został skazany raptem na dwa lata więzienia. Uznano, że po prostu wykonywał rozkazy. Brytyjski historyk lord Russell of Liverpool, komentując ten wyrok w książce „Rycerze Bushido”, stwierdził, iż budzi on wątpliwości oraz „nie znajduje uzasadnienia w tym, że był to udział w zbrodni dokonanej na rozkaz”.

Jednak w wypadku funkcjonariuszy NKWD odpowiedzialnych za masowy mord na polskich żołnierzach ujętych w oblawie augustowskiej nikt nie poniósł nawet tak symbolicznej odpowiedzialności.

Ten pozasądowy mord dokonany w Puszczy Augustowskiej zakończył okres masowych zbrodni dokonanych w czasie II wojny światowej w Europie. Co ciekawe, do kolejnej tak dużej zbrodni dokonanej przez armię rosyjską, która jest prostą kontynuacją Armii Czerwonej, doszło w 2022 roku w podkijowskiej Buczy. W tym miasteczku w wyniku filtracji prowadzonej przez kontrwywiad wojskowy w ciągu paru tygodni okupacji rosyjscy żołnierze zabili kilkuset Ukraińców.

Ujawnione wtedy zachowania sprawców zbrodni do złudzenia przypominały sceny, jakie można było zobaczyć na terenach zajętych w 1945 roku przez Armię Czerwoną.

W lipcu 2025 roku w dawnej siedzibie UB w Augustowie Instytut Pileckiego otworzy muzeum oblawy augustowskiej. To bardzo dobra inicjatywa, bo o żołnierzach zabitych tylko za to, że byli w AK, należy pamiętać tak jak o obrońcach Westerplatte. Ostatnie strzały II wojny światowej padły podczas egzekucji w Lasach Augustowskich. ●



Nigdy w życiu nie zdobyłbym nagrody za »nie uwielbianie pizzy« – powiedział aktor Dwayne Johnson.

„Dzięki pizzzy myślę, że wszystko jest możliwe” – to muzyk, Henry Rollins.

A wy jak myślicie? Też macie tak, że nie wyobrażacie sobie menu – może nie codziennego, ale choćby tygodniowego – bez placka posmarowanego sosem i przysypanego mozzarellą (albo pokrytego innymi ingrediencjami?)

Jeśli tak, to z pewnością wiecie, że takich osób jest więcej. Szacuje się, że co roku na całym świecie sprzedaje się 5 miliardów pizz rocznie, z czego 3 mld w USA. Prym w spożyciu pizzy na głowę wie dzie jednak Norwegia – każdy Norweg co roku ma konsumować ok 5 kg pizzy.

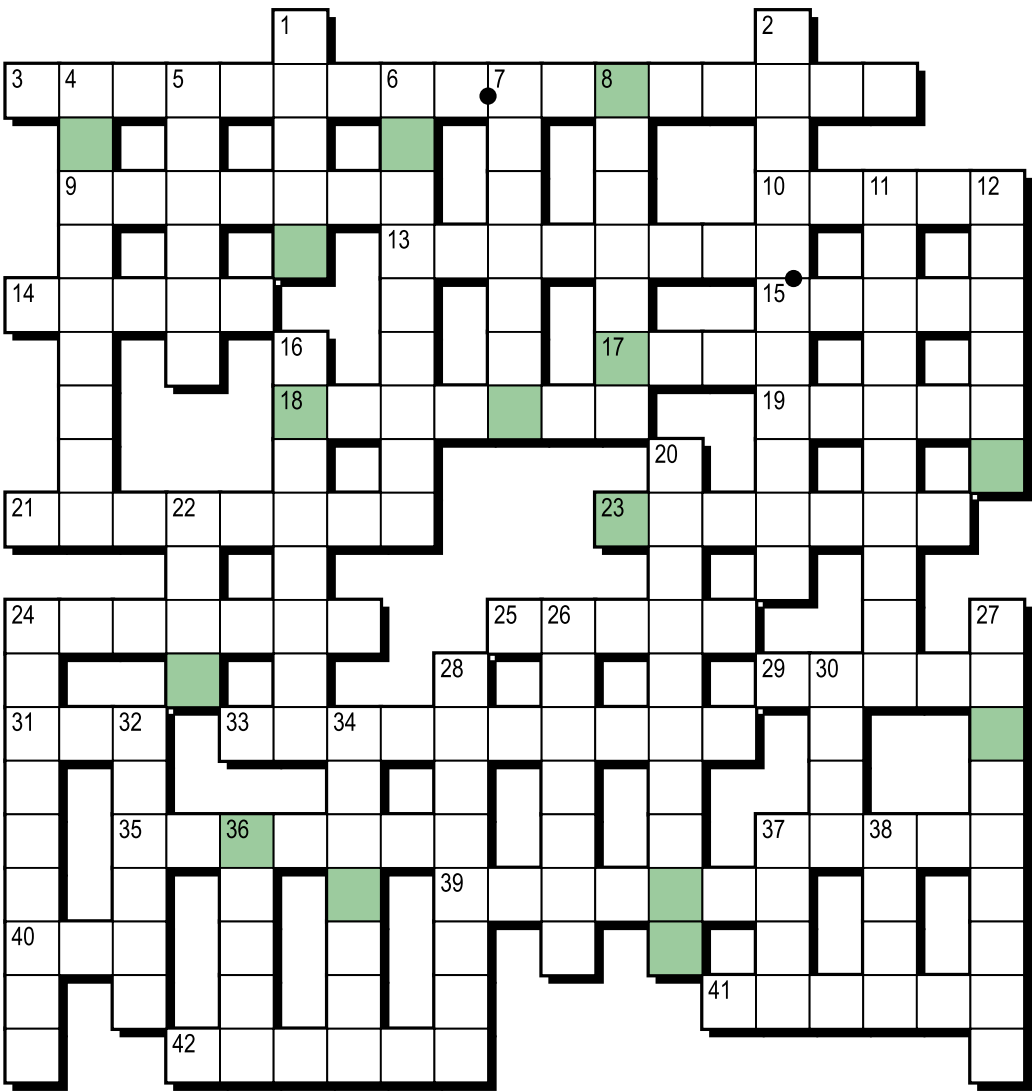
Najpopularniejszą pizzą na świecie jest prawdopodobnie ta najprostsza – margherita. Nazwana tak na cześć Małgorzaty Sabaudzkiej, królowej Włoch, małżonki króla Umberto I. Stworzyć ją miał pizzaiolo Raffaele Esposito, kiedy Małgorzata przybyła z wizytą do Neapolu w czerwcu 1889 roku.

A co z niesławą, zdaniem sporej grupy, a na pewno zdaniem samych Włochów, którzy pizzę wymyślili, hawajską? Rodowód ma znacznie skromniejszy, a powstała wcale nie na Hawajach, a w Kanadzie. Wymyślił ją grecki imigrant Sam Panopoulos. Prowadził wraz z braćmi kilka restauracji w Kanadzie, i w jednej z nich, zlokalizowanej w Chatham w Ontario, pewnie dnia 1962 roku, „dla draki” położyli na pizzzy kawałki ananasa z puszki. I draka faktycznie się zrobiła. Zresztą oburzeni byli nie tylko mieszkańcy Italii - Guðni Thorlacius Jóhannesson, prezydent Islandii, w 2017 wezwał do zdelegalizowania pizzy hawajskiej. Dla żartu niby, ale...

Znacznie lepszą prasę ma pizza nazwana Ludwik XIII. Do jej wyrobu Renato Viola z włoskiego miasta Agropoli użył w 20027 roku samych wyszukanych składników: specjalnego gatunku krewetki squilla mantis, czerwonej soli australijskiej Murray River, mięsa homara, trzech rodzajów kawioru, mozzarelli di bufala (z bawolego mleka się znaczy) oraz specjalnego rodzaju maki. Nazwa pizzy pochodzi od nazwy koniaku Louis XIII Remy Martin, który serwowany był razem z pizzą. Cena ekskluzywnego placka? 8300 euro. Ciekawe, czy można było zamówić z dowozem, czy tylko odbiór własny.

A czemu my tak smacznie dziś rozprawiamy? Otóż jutro, 9 lutego wypada Międzynarodowy Dzień Pizzy. Nie jest do końca pewne, jakie są początki tego święta, tym bardziej, że sami Włosi wolą świętować 17 stycznia, kiedy przypada "La Giornata Mondiale della Pizza". Wtedy to bowiem w Kościele katolickim wspominamy jest Św. Antoni, patron m.in. piekarzy. Ale co nam szkodzi celebrować ten dzień więcej niż raz? Z tej okazji dziś „Weekendówka” poświęcona włoskim specjalom. Smacznego!

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki” nr 140 z 1.02:

Pozioomo:
4) kobra, 7) Parszywek, 11) Ameryka, 12) zwierzątko, 13) Dżuma, 14) drzewo, 15) norki, 16) lemingi, 17) Serafin, 18) Maanam, 21) bobry, 22) pętla, 24) kareta, 25) norniki, 27) żer, 29) kawia, 31) plaga, 33) Aleksander, 35) pop, 37) tablica, 38) Cher, 39) kita, 40) ryjek, 41) Milka.

Pionowo:
1) badyłarka, 2) mysz, polna, 3) testy, 5) bieganie, 6) właściciel, 8) akwrium, 9) sreberka, 10) rodentologia, 11) aguti, 17) Syria, 19) Afryka, 20) nutria, 22) piżmak, 23) aktorka, 24) komputer, 26) ekipa, 28) rodzina, 30) Alicja, 32) golce, 34) kret, 36) Phil.

HASŁO:
KOSZATNICZKA

GRYZONIE
Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.
Pozioomo:
3) filmy takie jak „Za garść dolarów”, „Colorado”, „Pewnego razu na Dzikim Zachodzie”
9) potrawa z maki lub kaszy kukurydzianej, gotowana na gęsto i zapiekana z parmezanem
10) Włosi
13) region, w którym warto skosztować crostini albo pane toscano
14) włoski sos ziołowy
15) ... cotta, deser z podgrzewanej śmietanki
17) cappuccino albo espresso
18) słodkie sycylijskie wino
19) śródziemnomorska lub ścisła
21) lokal, w którym można zamówić margheritę na cienkim cieście

23) ciastka w kształcie rurek nadziewanych słodkim kremem, popularne na Sycylii
24) kulki z mielonego mięsa (nazwa z języka włoskiego)
25) może być dwudaniowy
29) tłuszcz typowy dla kuchni śródziemnomorskiej
31) pecorino, ricotta, mozzarella lub parmezan
33) ser podpuszczkowy poprzerastany pleśnią
35) ... włoska, warzywo o jadalnych liściach
37) np. Sardynia kojarząca się z sardynkami
39) włoskie wino wytrawne
40) przyprawa niezbędna, by przyrządzić lardo
41) ... brokuła, można je podać jako przystawkę
42) roślina na pastę e fagioli

Pionowo:
1) makaron w postaci ciętych ukośnie rurek
2) twarde włoski ser z krowiego mleka
4) ostro przyprawiona kiełbasa
5) lody włoskie
6) włoska gospoda
7) jedna z kilku w lazanii
8) np. z mozzarellą i pomidorami (caprese)
11) makaron w postaci rurek nadziewanych mięsem mielonym i sosami
12) nieodzowny na pizzzy hawajskiej
16) likier w przepisie na deser tiramisu
20) lody waniliowe z alkoholem albo deser z żółtek ubijanych na parze z winem i cukrem
22) ... minestrone
24) zapiekanka nazywana grecką wersją lazanii

26) przyprawa w składzie typowego włoskiego 14 poziomu
27) danie z surowego mięsa, w sam raz na przystawkę
28) rodzaj drożdżowego pieczywa
20) cassate (w formie półkuli, z bitą śmietaną i bakalią) lub stracciatella
32) ziele o postrzępionych liściach, zaostri smak potrawy
34) danie z gotowanego ryżu zapiekanego z warzywami, mięsem
36) oryginalny makaron włoski
37) martini albo prosecco
38) bolognese i carbonara

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Rozwiąż gdzie chcesz i kiedy chcesz

Pobierz w App Store

POBIERZ Z Google Play

Zeskanuj QR kod i pobierz aplikację

Kraj/34354617